

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 6 (878)

CZERWIEC 2019

ISSN 0867-4523

TEMAT NUMERU

FLOTA PRZYSZŁOŚCI

JAK DRONY ZMIENIAJĄ
WSPÓŁCZESNE POLE
WALKI?

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



9 770867 452908

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre



MSPO

XXVII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

WYSTAWA NARODOWA USA



3-6.09.2019, Kielce

Partner strategiczny



www.msपो.pl



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” ŚLEDZĄ, ROZPOZNAJĄ, PRZEKA-
ZUJĄ INFORMACJE, TRANSPORTU-
JĄ, LIKWIDUJĄ CEL. BEZZAŁOGO-
WE STATKI POWIETRZNE WYKO-
RZYSTYWANE SĄ DZIŚ NA CAŁYM ŚWIECIE
ZARÓWNO PRZEZ ŻOŁNIERZY, JAK I CYWILÓW.

Najmniejsze mierzą tylko kilka centymetrów i ważą kilka gramów, technologicznie są jednak, mimo niepozornych rozmiarów, dopracowane niemal do perfekcji. Są już powszechnie używane na całym świecie, zwiększa się ich znaczenie w zapewnianiu bezpieczeństwa, w rolnictwie, budownictwie i innych branżach usługowych. Szczególnie jednak już od wielu lat są doceniane i wykorzystywane w wojsku. Bezzałogowe statki powietrzne odegrały ważną rolę w wielu konfliktach na świecie, a przemysł zbrojeniowy intensywnie pracuje nad coraz to nowszymi modelami. Przedstawiamy Państwu kompleksowe zestawienie informacji na temat użytkowania i wizji rozwoju bezzałogowców.

Sto lat temu powstała pierwsza uczelnia wojskowa w niepodległej Polsce. Jej mury do 1939 roku opuściło ponad tysiąc świetnie wykształconych oficerów, wielu z nich odegrało kluczowe role w trakcie II wojny światowej. To tam wszechstronne wykształcenie odebrali m.in. generałowie Stanisław Maczek, Stanisław Sosabowski oraz Ignacy Matuszewski. Dziś tradycje Wyższej Szkoły Wojennej dziedziczy i kontynuuje Akademia Sztuki Wojennej.

Jak podkreśla w rozmowie z „Polską Zbrojną” płk dr hab. Juliusz S. Tym, absolwenci Wyższej Szkoły Wojennej nie tylko wyróżniali się na tle korpusu oficerskiego wiedzą i szerokimi horyzontami, lecz także byli motorem zmian w wojsku. „Ich atutami były jednolite wyższe wykształcenie oraz fakt, że reprezentowali wspólne kategorie myślowe i poglądy na sztukę wojenną”.



**TEMAT
NUMERU**

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK,
ROBERT SENDEK
12 Flota przyszłości

Bezzałogowce
i ich wykorzystanie
w siłach zbrojnych

KRZYSZTOF WILEWSKI
**19
Rewolucja
w locie**

MARCIN GÓRKA
22 Mirosławiec up

ROBERT SENDEK
25 Maluchy do ataku



ARMIA

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**28 Latanie
z efektem wow**

Podchorążowie
z Dębina szkolą się
na M-346 Bielik

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
34 Zamki na poligonach

MICHAŁ ZIELIŃSKI
**38 Desant poza
strefę komfortu**

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
42 Szturm na miasto

EWA KORSAK
**45 Pokażcie,
co potraficie**
Rozmowa z pilotami
7 Eskadry Działających
Specjalnych

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
48 Prawa ręka oficera

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER
52 Żandarm na tropie

EWA KORSAK
58 Praca na czysto

BOGUSŁAW POLITOWSKI
**61 Gotowi ruszyć
na wschód**
Rozmowa
z Arturem Pikoniem



MILITARIA

RAFAŁ CIASTOŃ
64 Drony w natarciu
Chińczycy inwestują
w bezzałogowce

TOMASZ OTŁOWSKI
69 Podręczna artyleria

KRZYSZTOF WILEWSKI
**72 Narew powinna
być polska**
Rozmowa
z Tomaszem Zawadą

TADEUSZ WRÓBEL
**74
Podstarzały
wojownik**

KRZYSZTOF WILEWSKI
80 Wojna o orbitę



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI
84 Rydwany dżihadu
Terrorysty islamscy
w Azji Południowej

TADEUSZ WRÓBEL
90 Raj utracony

WITOLD REPETOWICZ
**94 Dyktatury
do liftingu**

ROBERT SENDEK
**99 Moskiewski
model demokracji**

MICHAŁ ZIELIŃSKI
**102 Sługa na czele
narodu**

MICHAŁ ZIELIŃSKI
105 Kurs kolizyjny





HISTORIA

MAGDALENA MIERNICKA

108 Ciekawi Polski

Żołnierze z natowskich jednostek poznają dzieje naszego kraju

PIOTR KORCZYŃSKI

114 Za to warto było się bić

Rozmowa
z Franciszkiem Tokarzem

ANNA DĄBROWSKA

122 Oni zmieniali wojsko

Rozmowa
z Juliuszem S. Tymem

ROBERT SENDEK

126 Jednooki generał

KRZYSZTOF KUBIAK

129 Partyzanci z dachu świata



PO SŁUŻBIE

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

130 Pamięć dodaje skrzydeł

VII Bieg Pamięci
Poległych Żołnierzy
Żandarmerii Wojskowej

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

135 Wkręcenie w grę

ANDRZEJ FAŁARA

138 Czterdziestu poległych



Zdjęcie na okładce:
Sibsky2016/Shutterstock

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,
Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,
Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata
Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciastoń, Andrzej Fąfara, Marcin
Górka, Krzysztof Kubiak, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski,
Witold Repetowicz, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka
Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,
Małgorzata Szustkowska, tel.: 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 27.05.2019 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.

WYRZUTNIA

Może być zintegrowana z różnymi typami pocisków przeciwlotniczych i zamontowana na różnych platformach.

- Zakres odległości skutecznego zwalczania celów powietrznych – 500–5500 m
- Zakres wysokości skutecznego zwalczania celów powietrznych – 10–3500 m
- Liczba pocisków na wyrzutni – 4
- Liczba pocisków zapasowych – 4
- Zakres temperatur pracy zestawu – od -35°C do +50°C
- Załoga – dowódca-operator, kierowca



POPRAD

SAMOBIEŻNY PRZECIWŁOTNICZY ZESTAW RAKIETOWY

System złożony z wyrzutni rakiet Grom zamontowanej na podwoziu samochodu Żubr-P 4x4 ma zwalczać cele powietrzne na małych wysokościach i w niewielkich odległościach. W 2021 roku wojsko będzie miało 79 popradów, w tym dwa prototypowe.



ŚWIĘTOWANIE NA ŚLĄSKU

15 sierpnia
w Katowicach
odbędzie się defilada.



Główne uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego odbędą się w tym roku na Śląsku. Żołnierze przemarszują 15 sierpnia ulicami Katowic. W ten sposób Ministerstwo Obrony Narodowej uczci starania Ślązaków o przyłączenie do odradzającej się Polski. „Defilada odbędzie się dzień przed setną rocznicą wybuchu I powstania śląskiego”, informuje Mariusz Błaszczak. Ponadto Sejm uznał 2019 Rokiem Powstań Śląskich. PZ, SZUS ■

Wzmocnienie obronności

Si szefowie resortów obrony i spraw zagranicznych państw Unii Europejskiej rozmawiali w Brukseli o współpracy Unii Europejskiej z NATO oraz projektach PESCO, czyli międzynarodowych programach, których celem jest m.in. rozwój technologii wojskowych i wzmocnienie przemysłu obronnego. Dotychczas powstały 34 projekty, a Polska

partycypuje w 18 – w siedmiu jest uczestnikiem, a w 11 obserwatorem. Minister **Mariusz Błaszczak** poinformował, że być może Polska będzie uczestniczyć w kolejnych programach.

„Rozpoczyna się trzecia transza tej inicjatywy, analizujemy nasz udział. Jesteśmy zainteresowani projektem dotyczącym czołgu nowej generacji”, mówił. PZ, MM ■

NOWE WYROPLATY

Śmigłowce dla **marynarki wojennej**.

Cztery śmigłowce AW101 przeznaczone do zwalczania okrętów podwodnych (ZOP), wyposażone dodatkowo w sprzęt medyczny, który pozwoli prowadzić akcje poszukiwawczo-ratownicze (CSAR), dostarczy polskiej armii PZL-Świdnik. Umowę w tej sprawie podpisali minister Mariusz Błaszczak i Alessandro Profumo, dyrektor koncernu Leonardo, do którego należy spółka PZL-Świdnik. Siły zbroj-



ne dostaną też pakiet logistyczny, m.in. zapas części zamiennych i sprzęt do obsługi naziemnej maszyny, oraz pakiet szkoleniowy dla pilotów i personelu technicznego. Śmigłowce trafią do armii do końca 2022 roku. W kwietniu MON podpisało z firmą Leonardo umowę offsetową wartą prawie 400 mln zł. Jej beneficjentami są Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 1 w Łodzi oraz Centrum Morskich Technologii Militarnych Politechniki Gdańskiej. Zgodnie z nią w Łodzi powstanie centrum wsparcia eksploatacji śmigłowców do obsługi technicznej, serwisów i napraw sprzętu. PZ, PR ■



**Z OKAZJI ŚWIĘTA
NARODOWEGO
TRZECIEGO MAJA,
15-LECIA CZŁONKOSTWA
POLSKI W UNII EUROPEJSKIEJ
ORAZ 20-LECIA OBECNOŚCI
W NATO ULICAMI WARSZAWY
PRZESZŁA DEFILADA WOJSKA
I SŁUŻB MUNDUROWYCH.
WZIEŁO W NIEJ UDZIAŁ
OKOŁO 2 TYS. ŻOŁNIERZY
I FUNKCJONARIUSZY**

MICHAŁ NIWICZ

PIERWSZE GWIAZDKI

Czterech nowych generałów

Wasze nominacje to wielki moment wejścia do elity armii, ukoronowanie wojskowej kariery, ale to też wielkie zobowiązanie", mówił prezydent Andrzej Duda, kiedy wręczał w Dniu Flagi nominacje generalskie czterem oficerom.

Pierwsze generalskie gwiazdki dostał płk Adam Marczak,

dowódca 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Wcześniej służył m.in. w 6 Brygadzie Desantowo-Szturmowej (dziś 6 Brygada Powietrzno-desantowa), a następnie w Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych. Nominację odebrał także płk pil. Ireneusz Nowak, dowódca 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycz-

nego. Oficer służył m.in. w 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku oraz Dowództwie Sił Powietrznych i Dowództwie Generalnym RSZ. Generałem brygady został też płk Zbigniew Powęska, zastępca szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, szef sztabu Inspektoratu. Wcześniej kierował Oddziałem

Specjalnym Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim, był szefem sztabu – zastępcą komendanta głównego Żandarmerii Wojskowej, a następnie dyrektorem Centrum Normalizacji, Jakości i Kodyfikacji w MON. Prezydent wręczył też nominację płk. Janowi Wojnie, dowódcy 1 Brygady Pancernej. Oficer był szefem szkolenia 15 Brygady Zmechanizowanej oraz szefem Oddziału Systemu Funkcjonalnego Szkolenia w Sztabie Generalnym WP. PZ, PG

Zwycięski przelot

Pomnik „Victory Fly Past Memorial” można oglądać w wiosce Plumetot.

W ten sposób w 75. rocznicę D-Day uczczono polskich lotników walczących o Normandię w czasie II wojny światowej. Podstawą rzeźby jest znak rozpoznawczy RAF-u. Osadzono na nim literę „V” od angielskiego wyrazu „Victory”, czyli zwycięstwo. Na żyłkach rozpiętych między ramionami litery zostały umieszczone trzy samoloty myśliwskie Spitfire, symbolizujące trzy polskie dywizjony stacjonujące w Plumetot. Pomysłodawcą pomnika jest Ryszard Kornicki, którego ojciec, gen. bryg. pil. Franciszek Kornicki, był dowódcą 308 Dywizjonu Myśliwskiego „Krakowskiego”, a następnie 317 Dywizjonu Myśliwskiego „Wileńskiego”. Autorem projektu zaś jest Aleksander Smaga. szus



GRUPY BOJOWE UE SĄ PRZEWIDZIANE DO UDZIAŁU W MISJACH HUMANITARNYCH I PREWENCYJNYCH ORAZ STABILIZACYJNYCH, W TYM WYMUSZANIA I UTRZYMANIA POKOJU.

A. DWULATEK / COMBAT CAMERA DORSZ

WYZWANIE PRZED DYŻUREM

Grupa bojowa Unii Europejskiej przygotowana do działania.

Ćwiczenia „Common Challenge ’19” w Nowej Dębie potwierdziły wyszkolenie żołnierzy tworzących grupę bojową Unii Europejskiej. W międzynarodowych ćwiczeniach dowódczo-sztabowych wzięło udział ponad 900 żołnierzy, w tym około 160 z państw sojuszniczych. Podczas ćwiczeń oceniano m.in. umiejętności planowania, organizowania i prowadzenia działań mandatowych przez dowództwo i sztab grupy. Półroczny dyżur grupa obejmie

1 lipca 2019 roku. Tworzą ją żołnierze z Polski, Węgier, Czech, Słowacji i Chorwacji. Główną siłą grupy, którą dowodzi gen. bryg. Szymon Koziatek (na co dzień dowódca 6 Brygady Powietrznodesantowej), jest batalion marnetowy.

W skład pododdziału wchodzi żołnierze m.in. z 6 Brygady Powietrznodesantowej, 12 Brygady Zmechanizowanej i 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. PZ, MKS



Zgodnie z planem do końca 2021 roku w WOT będzie służyć 53 tys. żołnierzy w 17 brygadach. 5 tys. to

żołnierze zawodowi, reszta pełnić będzie terytorialną służbę wojskową. PZ, MZ

W SZEREGACH WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ JEST JUŻ PONAD **20 TYS.** ŻOŁNIERZY

Sztafeta pamięci

Hołd dla bohaterów spod Monte Cassino.

Na wzgórzu, o które walczili Polacy, w 75. rocznicę tej bitwy na Polskim Cmentarzu Wojennym biskup polowy WP gen. bryg. Józef Guzdek odprawił mszę. Odbył się też apel poległych. „Oddajemy hołd bohaterom jednej z najbardziej zaciętych bitew II wojny światowej”,

mówił podczas uroczystości prezydent Andrzej Duda. Zaznaczył, że choć ówczesne zwycięstwo nie przyniosło Polsce wolności, dziś nasz kraj jest niepodległy, o czym marzyli żołnierze 2 Korpusu Polskiego. „To także dzięki nim jesteśmy członkiem NATO i Unii Europejskiej,



Wiosenna burza

Dziewięć tysięcy żołnierzy z 13 państw uczestniczyło w manewrach „Spring Storm '19” w północno-wschodniej Estonii. Oprócz przedstawicieli krajów NATO byli tam też żołnierze spoza Sojuszu, np. z Ukrainy czy Gruzji. Polskę reprezentowały pododdziały z 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego, 12 Dywizji Zmechanizowanej, 3 Flotylli Okrętów, 8 Flotylli Obrony Wybrzeża, 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych, 9 Pułku Rozpoznawczego, 5 Pułku Inżynierii oraz Morskiej Jed-

nostki Raketowej. Po raz pierwszy żołnierze tej jednostki uczestniczyli w międzynarodowych ćwiczeniach poza granicami Polski.

„Naszym celem jest nabywanie i doskonalenie umiejętności związanych z prowadzeniem działań powietrznych i rozpoznawczych, zgrywanie wydzielonych elementów marynarki wojennej w załadunku i wyładunku sprzętu wojskowego”, tłumaczył kmdr ppor. Radosław Pioch, rzecznik 3 Flotylli Okrętów. PZ, ŁZ ■

Dla kombatantów

Wdziężni bohaterom” pod takim hasłem resort obrony ogłosił dwa konkursy. Projekty dotyczące upamiętnienia wojny obronnej 1939 roku oraz powstania warszawskiego, a także wsparcia dla kombatantów mają szansę na dofinansowa-

nie z MON-u. Zgłoszenia można wysłać do 10 czerwca, resort obrony przeznaczy na realizację przedsięwzięć w sumie 2 mln zł. W konkursach mogą wystartować stowarzyszenia, organizacje pozarządowe i instytucje pożytku publicznego. AD ■

i możemy się tym radować, chyląc głowy nad ich grobami”, dodał prezydent. Z kolei prezydent Włoch, Sergio Mattarella podkreślił, że minione trzy czwarte wieku nie naruszyło głębokiej wdzięczności Włochów, którą żywią oni wobec walczących na tej ziemi polskich żołnierzy.

W uroczystości uczestniczyli m.in. minister obrony, parlamentarzyści, 1500 harcerzy, uczniów klas mundurowych i członków organiza-

cji proobronnych oraz kombatanci. Weterani przekazali młodzieży replikę proporca 12 Pułku Ułanów Podolskich, który 18 maja 1944 roku żołnierze zawiesili na szczycie Monte Cassino jako symbol zwycięstwa.

„Chcemy mieć pewność, że gdy ostatni z nas opuści ziemski padół, zostaną ci, którzy będą o tych wydarzeniach pamiętać”, mówił ppłk Wojciech Narebski, żołnierz 2 Korpusu. PZ, MM ■

NA STRAŻY NIEBA

Zakończyła się kolejna misja PKW „Orlik” na Litwie.

Przez cztery miesiące piloci Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Orlik” wykonali 22 misje na sygnał „Alfa Scramble”, czyli podrywali pary dyżurne myśliwców F-16, reagując w ten sposób, gdy rosyjskie samoloty niebezpiecznie zbliżały się do

przestrzeni powietrznej państw bałtyckich. Polscy piloci z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach podczas dyżuru w Baltic Air Policing pilnowali przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii. Ich miejsce zajęli lotnicy z Węgier. PZ, EK ■

**TEMAT
NUMERU**

/ BEZZAŁOGOWCE

Małe
bezzałogowce
nie będą atakowały
dużych celów czy elemen-
tów infrastruktury krytycz-
nej. Takie statki powietrzne
doskonale sprawdzają się
bowiem we wsparciu ma-
łych pododdziałów jed-
nostek lądowych.

FLOTA PRZYSZŁOŚCI

Konflikty w Afganistanie, Syrii czy na Ukrainie pokazały, jak bardzo drony są wojsku przydatne. Wszystko wskazuje na to, że na współczesnym polu walki rola bezzałogowców wciąż będzie rosła.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
ROBERT SENDEK



SHUTTERSTOCK



W

Stanach Zjednoczonych, które mają najwięcej na świecie bezzałogowych systemów powietrznych, mówi się, że ostatni pilot myśliwca już się urodził. Czy to oznacza, że za jakiś czas bojowe lotnictwo za-

łogowe zostanie zastąpione maszynami zdalnie sterowanymi? Sprawa nie jest oczywista. Część ekspertów uważa, że lotnictwa załogowego nie da się całkowicie wyeliminować. Niewątpliwie jednak zakres użycia bezzałogowców ciągle rośnie.

DAĆ RZECZY SŁOWO

Bezzałogowy statek powietrzny (BSP), bezzałogowiec czy po prostu dron – która z tych nazw jest najbardziej odpowiednia? „Spotykam się z różnym nazewnictwem, zwłaszcza w mediach. Oczywiście najbardziej rozpowszechnione jest ostatnie określenie, zarówno w zastosowaniu militarnym, jak i niemilitarnym. Według mnie najbardziej adekwatne pojęcie to »bezzałogowy system powietrzny«. Słowo »system« jest tu istotne, bo sugeruje, że całość składa się z wielu elementów”, wyjaśnia płk dr hab. Tadeusz Zieliński, prorektor do spraw naukowych Akademii Sztuki Wojennej. Podkreśla, że sam statek powietrzny – czyli dron – jest tylko jego częścią. „Organizacja Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego [International Civil Aviation Organization – ICAO] używa z kolei pojęcia »zdalnie sterowane systemy powietrzne«. Taka forma akcentuje z kolei to, że nad bezzałogowcem, czyli zdalnie sterowanym statkiem powietrznym, zawsze musi być sprawowana kontrola”, wyjaśnia płk Zieliński. Na inny problem zwraca uwagę płk pil. dr inż. Władysław Leśnikowski, adiunkt w Katedrze Zarządzania Lotnictwem Cywilnym ASzWoj, pierwszy polski oficer pracujący w specjalnej natowskiej grupie, zajmującej się klasyfikacją bezzałogowców. Jego zdaniem przyczyną chaosu nazewniczego jest również to, że obok polskich form często pojawiają się anglojęzyczne, takie jak skrótowce typu: UAV (Unmanned Aerial Vehicle), UCAV (Unmanned Combat Aerial Vehicle) czy RPA (Remotely Piloted Aircraft). Tymczasem nazewnictwo zmienia się dynamicznie. Jak zaznacza płk Zieliński, jakiś czas temu amerykańskie



Płk pil. dr inż. WŁADYSŁAW LEŚNIKOWSKI: „Pierwszym etapem wprowadzania do eksploatacji bezzałogowych platform powietrznych [ze sztuczną inteligencją] będzie pozwolenie na to, aby robot autonomicznie wykonywał swoją misję, aż do momentu podjęcia decyzji o zniszczeniu celu”.



NORTHROP GRUMMAN

MQ-8 FIRE SCOUT

siły powietrzne nazwę „bezzałogowy statek lub system powietrzny” zastąpiły określeniem „zdalnie sterowany system lub statek powietrzny”. Podobno amerykańskie władze nie potrafiły wytłumaczyć podatnikom, że aparat bezzałogowy nie jest bezzałogowy i jego obsługa wymaga nieraz więcej ludzi niż w zwykłym samolocie.

Użyteczność bezzałogowców pokazały konflikty w rejonie Zatoki Perskiej, w Iraku, a potem Afganistanie. Według danych udostępnionych przez siły powietrzne USA w latach 2002–2008 liczba dronów wzrosła w armii amerykańskiej ze 167 do 6 tys., a liczba wylatanych godzin podwoiła się w latach 2007–2008 z 200 tys. do 400 tys. „Zapotrzebowanie na bezzałogowe statki powietrzne pojawiło się w konfliktach o małej intensywności lub w operacjach reagowania kryzysowego, czyli nie w klasycznych wojnach. Drony tak naprawdę doceniliśmy dopiero w Afganistanie. Okazało się bowiem, że zaawansowane systemy uzbrojenia były niewystarczające w starciu z terrorystami. Bojownicy systematycznie działali na szkodę wojsk koalicji, ale trudno ich było wykryć. Dlatego zaczęto na masową skalę używać bezzałogowych statków powietrznych”, uzasadnia płk Tadeusz Zieliński.

MQ-1 PREDATOR

MQ-9 REAPER

W NAJNOWSZYCH MODELACH BEZZAŁOGOWCÓW AKCENTUJE SIĘ ICH AUTONOMICZNOŚĆ.

CHODZI O TO, ABY DRON JAK NAJWIĘCEJ ZADAŃ WYKONYWAŁ BEZ UDZIAŁU OPERATORA

U S A F (2)

Znaczącą rolę odegrały także podczas konfliktów na Ukrainie i w Syrii. Nie używano tam jednak dużych maszyn, typu MQ-1 Predator czy MQ-9 Reaper, lecz małych, komercyjnych urządzeń doraźnie dostosowywanych do potrzeb i zadań wojskowych. „Małe bezzałogowce nie będą atakowały dużych celów czy elementów infrastruktury krytycznej. Widzę w nich jednak ogromne zagrożenie. Takie statki powietrzne doskonale sprawdzają się bowiem we wsparciu małych pododdziałów jednostek lądowych. Są doniesienia, że w Syrii na lotnisku zniszczono wiele statków powietrznych strony rosyjskiej dzięki skoordynowanemu i zmasowanemu atakowi małych dronów. Podobnie było na Ukrainie, gdzie do takich aparatów doczepiano granaty zapalające i w ten sposób zniszczono np. składy amunicji wojsk ukraińskich”, zauważa prof. Zieliński.

O KROK DALEJ

W przyszłości rola dronów może jeszcze wzrosnąć. Już wiadomo, że będą w stanie wypełniać nowe zadania. Jedną z ten-

dencji rozwojowych jest współpraca lotnictwa załogowego z bezzałogowym. „Maszyny te będą się uzupełniać. Bo o ile część misji zawsze będzie wykonywana przez pilotów, o tyle w niektórych wypadkach lepiej do operacji skierować bezzałogowiec. Zminimalizuje to zagrożenie dla załogi samolotu, bo dron wykona najniebezpieczniejsze manewry i misje”, zaznacza płk Zieliński. Tak może być np. podczas pokonywania obrony powietrznej przeciwnika. „BSP są też przeznaczone do zastępowania lotnictwa załogowego wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi życie załóg, gdzie jest duże nagromadzenie środków ogniowych, np. działanie w ramach SEAD, czyli pokonywania obrony przeciwlotniczej, czy tam, gdzie misje są monotonne i długotrwałe”, dodaje płk Leśnikowski.

Już teraz rozwijane są projekty, w których załogowe lotnictwo myśliwskie ma ściśle współpracować z dronami. Wiosną 2019 roku Amerykanie oblatali bezzałogowy demonstrator technologii o nazwie XQ-58A Valkyrie (Walkiria), co było częścią projektu „Loyal Wingman”. Maszyna ma współpracować





MQ-9 REAPER

Od marca 2019 roku w pełnej gotowości operacyjnej znajduje się baza reaperów w Miroslawcu gdzie stacjonuje wydzielona jednostka 52 Operacyjnej Grupy Ekspedycyjnej, stanowiącej część 52 Skrzydła Lotnictwa Myśliwskiego USA.

U S A F (2)

z samolotami myśliwskimi piątej generacji F-22 lub F-35. Przystosowana do misji wywiadowczych, obserwacyjnych i rozpoznawczych, wygląda jak smukły myśliwiec bez kokpitu. „Pilot w czasie wykonywania zadań musi w krótkim czasie i przy dużych przeciążeniach reagować na wiele sygnałów i analizować napływające informacje. Bezzałogowiec – skrzydłowy mógłby go wspomóc. To jest właśnie przyszłość lotnictwa”, podkreśla płk Zieliński.

GREMLINEM GO!

Inną z kilku rozwijanych koncepcji zastosowania dronów na polu walki jest użycie ich w większej liczbie, w tzw. rojach. Niezbędna jest w tym wypadku koordynacja, dlatego rozwija się technologie, które zapewniają połączenie wielu aparatów w pewnego rodzaju sieć po to, aby wspólnie wykonywały jedno zadanie. Badania nad skoordynowanym lotem bezzałogowców prowadzą głównie Amerykanie, ale także np. Chińczycy. Już od kilku lat roje dronów wykorzystuje się komercyjnie do efektownych pokazów. Podczas ceremonii otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich w południowokoreańskim Pjongczangu zaprezentowano ponad 1,2 tys. bezzałogowców latających synchronicznie w sposób całkowicie zautomatyzowany. Oświetlone, tworzyły na nocnym niebie ruchome figury. Ten sposób operowania jest bardzo obiecujący, nic więc dziwnego, że bardzo intensywnie testowane są również zastosowania bojowe roju dronów.

Ciekawym przykładem jest rozwijany od kilku lat amerykański program LOCUST (co oznacza

WIOSNĄ 2019 ROKU AMERYKANIE OBLATALI BEZZAŁOGOWY DEMONSTRATOR TECHNOLOGII O NAZWIE **XQ-58A VALKYRIE** (WALKIRIA), CO BYŁO CZĘŚCIĄ PROJEKTU „LOYAL WINGMAN”

szarańczę, a jednocześnie jest skrótownicą od Low-Cost UAV Swarming Technology). Zakłada on uwolnienie z łatwych do transportu zasobników grupy niewielkich bezpilotowców o nazwie Perdix. Wystrzelone drony są zdolne do lotu autonomicznego, a dzięki komunikowaniu się ze sobą mogą wspólnie wykonać wskazaną misję. Z terenu objętego obserwacją są w stanie przekazać obraz ujęty z wielu perspektyw, dzięki czemu informacja jest bardziej szczegółowa niż w wypadku jednego bezzałogowca. Początkowo perdixy uwalniano z wyrzutni naziemnych, później przeprowadzo-



RQ-4 GLOBAL HAWK

NORTHROP GRUMMAN

Zrób kolejny krok w swojej karierze

Amazon poszukuje talentów także wśród byłych wojskowych.



Płk dr hab. TADEUSZ ZIELIŃSKI:
„Zapotrzebowanie na bezzałogowe statki powietrzne pojawiło się w konfliktach o małej intensywności lub w operacjach reagowania kryzysowego, czyli nie w klasycznych wojnach. Drony tak naprawdę doceniliśmy dopiero w Afganistanie”.

no testy powietrzne: jesienią 2016 roku z trzech samolotów F/A-18 Super Hornet zrzucono rój ponad stu takich aparatów.

Amerykańska Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności (Defense Advanced Research Projects Agency – DARPA) rozwija również program Gremlin. Przewiduje on budowę niedużych (choć większych niż perdixy) dronów bojowych, które byłyby zdolne do autonomicznego lotu, a przy tym mogłyby startować z platformy powietrznej, np. samolotu transportowego czy nawet myśliwskiego. Plany zakładają wyposażenie gremlinów w rozmaite zestawy wyspecjalizowanego wyposażenia, dzięki któremu możliwe byłoby realizowanie różnorodnych misji bojowych.

Walkirie, gremliny i perdixy to niskokosztowe maszyny. Chodzi o to, by sprzęt był wytwarzany z niedrogich i dostępnych materiałów, a do tego względnie łatwy w produkcji. Dzięki temu strata drona nie jest mocno odczuwalna. Jest to reakcja na niezwykle kosztowne i bardzo skomplikowane projekty w rodzaju myśliwców najnowszej generacji. Utrata nawet pięciu walkirii, których cenę szacuje się na około 2–3 mln dolarów za egzemplarz, nie będzie aż tak problematyczna jak jednego nowoczesnego myśliwca o wartości setek milionów dolarów.

W najnowszych modelach bezzałogowców akcentuje się ich autonomiczność. Chodzi o to, aby dron jak najwięcej zadań wykonywał bez udziału operatora. Systemy kontrolujące parametry lotu są w użyciu już od dawna, natomiast w najnowszych projektach chodzi już o coś więcej: nie tylko o zautomatyzowanie powtarzalnych czynności, jak start czy lądowanie, lecz raczej o właściwe reagowanie w nietypowych okolicznościach czy dostosowywanie się do sytuacji na polu walki. Do tego potrzebne są bardziej zaawansowane systemy, stąd zaczęto mówić o zastosowaniu sztucznej inteligencji. Aparat ma samodzielnie wykrywać zagrożenie, czyli np. identyfikować, czy zbliżający się obiekt to ptak, dziecięcy balon, czy raczej dron przeciwnika, a następnie odpowiednio zareagować. „Pierwszym →

Dowiedz się więcej na:

amazon.jobs





BLACK HORNET NANO JEST BARDZO

PORĘCZNY, A PRZY
TYM UŻYTECZNY.
LATA NA WYSOKOŚCI
30–40 METRÓW
I TRUDNO GO
DOSTRZEC GOŁYM
OKIEM

U S
A R M Y

etapem wprowadzania do eksploatacji tego typu bezzałogowych platform powietrznych będzie pozwolenie na to, aby robot autonomicznie wykonywał swoją misję, aż do momentu podjęcia decyzji o zniszczeniu celu. Ostatecznym elementem takiej decyzji będzie człowiek, będący tzw. kill-switcherem. W kolejnych fazach rozwoju i doskonalenia bezzałogowych platform ze sztuczną inteligencją otrzymają one pełną autonomię w podejmowaniu i wykonaniu decyzji dotyczącej zniszczenia celu”, wyjaśnia płk Leśnikowski.

PANOWIE ŻYCIA I ŚMIERCI

Szerokie wykorzystywanie dronów na polu walki niesie także pewne zagrożenia. Jednym z nich jest przejęcie maszyny przez przeciwnika. Może ona wpaść w jego ręce, na przykład gdy zostanie zhakowane łącze między stacją kontroli a dronem. Znane są już takie wypadki, m.in. z terenu Stanów Zjednoczonych, gdy wojskowi tracili kontrolę nad swoimi statkami. Wynikiem ataku hakerów może być również przejęcie danych, które są gromadzone w czasie misji rozpoznawczych BSP.

Zdaniem płk. Zielińskiego drony na coraz większą skalę będą używane zarówno przez podmioty niepaństwowe, jak i przez siły zbrojne czy terrorystów. W sierpniu 2018 roku podjęto na przykład próbę zamachu na prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro z użyciem kilku bezzałogowców. Prezydent atak przeżył, ale w wyniku eksplozji dronów kilka osób zostało rannych. Według eksperta, „pokazuje to potencjał w tym negatywnym znaczeniu użycia takich małych, komercyjnie dostępnych BSP”.

Innym problemem wynikającym z użycia dronów są zaburzenia pojawiające się u operatorów systemów bezzałogowych. Znana jest historia Brandona Bryanta, podoficera US Air Force. Był on operatorem predatora, który z wojskowej bazy w Nevadzie namierzał cele w Afganistanie. Pierwszych talibów zlikwidował w 2007 roku, gdy sam miał 21 lat. Po latach służby zdiagnozowano u niego zespół stresu pourazowego. Płk Leśnikowski wyjaśnia: „Wykonanie ataku z użyciem realnego uzbrojenia bojowego, potwierdzenie efektów wykonania ataku bojowego w momencie, gdy występują skutki uboczne w postaci zabitych cywilów niebiorących udziału w działaniach militarnych, wywołuje taki sam stres pourazowy, jak u żołnierzy będących w bezpośrednim, fizycznym kontakcie z wrogiem”.

To jedna strona medalu. Badania naukowe dowodzą, że niepokój mogą także odczuwać ludzie żyjący w rejonie, gdzie operują BSP. Do takich właśnie wniosków doszli psychiatrzy z Uniwersytetu Stanforda, którzy w 2012 roku przeprowadzili badania w Pakistanie. Wynikało z nich, że życie „pod dronami” wiąże się ze stresem i permanentnym poczuciem zagrożenia

nia i ludzie mieszkający w rejonie działania BSP częściej niż inni zapadają na neurozę i psychozę.

Są też wątpliwości etyczne związane z rozwojem systemów autonomicznych. Wprawdzie na rynku nie ma jeszcze takich urządzeń, które mogłyby podejmować decyzje za człowieka, eksperci przyznają jednak, że to tylko kwestia czasu. „Uważam, że ludzie nigdy nie powinni pozwolić na stworzenie całkowicie

autonomicznych dronów bojowych. W 2015 roku ponad 3 tys. naukowców zajmujących się sztuczną inteligencją podpisało petycję dotyczącą zakazu badań i rozwoju technologii związanych z AI w odniesieniu do systemów bojowych”, podkreśla płk Zieliński i dodaje: „Dająca do myślenia jest wypowiedź sekretarza generalnego ONZ z marca 2019 roku, który stwierdził, że politycznie niedopuszczalne i moralnie odrażające jest używanie maszyn mających swobodę w podejmowaniu decyzji o życiu lub śmierci ludzi, dlatego powinny być zakazane przez prawo międzynarodowe”.

Trzeba przy tym pamiętać, że zastosowanie dronów na polu walki nie jest dowolne. Wprawdzie regulacji prawnych, które bezpośrednio odnoszą się do bezzałogowców, nie ma, ale zdaniem płk. Zielińskiego, nie są one potrzebne. Użycie dronów powinno być zgodne z międzynarodowym prawem dotyczącym konfliktów zbrojnych. Bezzałogowce należy bowiem traktować jak każdy statek powietrzny, zatem – tak jak samoloty załogowe – nie mogą atakować celów niewojskowych, mają przy tym unikać strat i zniszczeń niezamierzonych, czyli tych przeciwko cywilom lub obiektom, w których znajdują się cywile. „W przyszłości, jeśli te systemy staną się autonomiczne, to rzeczywiście należy zastanowić się nad wprowadzeniem odpowiednich zmian w prawie międzynarodowym”, podkreśla oficer. Kontrowersje może budzić wykorzystanie bojowych dronów do tzw. selektywnej eliminacji. Płk Zieliński wyjaśnia, że należy przez to rozumieć śmiertelny atak na daną osobę bez względu na jej bezpośrednie zaangażowanie w działania wojenne, a raczej dlatego, że stwarza ona potencjalne zagrożenie. Selektywna eliminacja bywa stosowana zarówno w czasie wojny, jak i pokoju. Użyto jej wobec powiązanego z Al-Kaidą terrorysty Anwara al-Awlakiego. Dokonano tego z pokładu bezzałogowca MQ-1 Predator we wrześniu 2011 roku.

Mimo to przyszłość należy do dronów. Płk Leśnikowski zaznacza: „Bezzałogowe platformy stają się coraz częstszymi aktorami na teatrze działań wojennych. W bardzo dużym stopniu zapewniają one bezpieczeństwo zarówno systemów obronnych, jak i ochronnych. Stwierdza się, że bezzałogowe platformy walki i wsparcia będą jednym ze strategicznych kierunków rozwoju Sił Zbrojnych RP obok środków cyberobrony i satelitarnej technologii bezpieczeństwa”.

Rewolucja w locie

Niektóre ważą 15 ton, a inne 16 gramów. Latają na wysokości aż 20 kilometrów albo zaledwie kilkudziesięciu metrów. Służą do rozpoznania, ale też jako maszyny bojowe. Bezzałogowe statki powietrzne to dziś jedno z najbardziej uniwersalnych narzędzi wojennych.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Gdy na początku lat dwudziestych ubiegłego stulecia przestano traktować lotnictwo jak technologiczną nowinkę dla bogaczy, inżynierowie na całym świecie zaczęli szukać dla awiacji nowych, często biznesowych zastosowań. Pojawiały się bardzo różne pomysły. Brytyjski aktor Reginald Denny wymyślił na przykład, żeby sprzedawać małe, sterowane radiowo samolociki zamożniejszym rodzicom jako prezent z wyższej półki dla dzieci. Gdy na początku lat trzydziestych zaczął szukać nowych rynków zbytu, stwierdził, że idealnym odbiorcą może być wojsko – nieco większe samolociki miały być doskonałymi celami szkolnymi dla obsługi dział przeciwlotniczych.

Amerykańskie wojsko zachwyciło się tym pomysłem, ale postawiło tak wysokie wymagania techniczne, że Denny musiał poszukać inżynierskiego wsparcia wśród specjalistów pracujących dla Lockheeda. Efekt jednak okazał się wart zachodu. W 1941 roku US Army zamówiła kilka tysięcy zdalnie sterowanych celów RP-5, które zostały pierwszymi wojskowymi masowo produkowanymi dronami. Co ciekawe, oni tak ich nie nazywali. Określenia „dron” po raz pierwszy użyli oficerowie US Navy, pracujący z ramienia US Army przy projekcie brytyjskiego samolotu-celu DH-82B Queen Bee, który powstał w 1935 roku na bazie DH-82A Tiger Moth Mk.II.

Sto lat później możemy mówić już wręcz o inwazji dronów we wszystkich armiach świata, bez względu na rodzaj wojsk – począwszy od sił powietrznych, przez wojska lądowe i marynarkę wojenną, na wojskach specjalnych skończywszy. Nie ma dziś chyba liczącej się armii na świecie, niemającej w wyposażeniu kilku czy kilkunastu typów dronów (Amerykanie mają kilkadziesiąt typów).

Pionierami w użyciu tych maszyn kiedyś byli żołnierze wojsk specjalnych, dziś natomiast są oni jednymi z wielu użytkowników i często nie dysponują najnowocześniejszymi konstrukcjami. W ostatnich latach zmieniła się również paleta zastosowań bezzałogowców. Początkowo były one przeznaczone tylko do rozpoznania i zwiadu, a dziś wykonują również zadania uderzeniowe, transportowe, wskazując cele artylerii, rozpoznają skażenia, niosą pomoc medyczną. Jednym słowem, sta-

ły się jednymi z najbardziej uniwersalnych wojennych narzędzi na polu walki.

KLASYFIKACYJNY BAŁAGAN

Różnorodność zastosowań i zadań znajduje odzwierciedlenie w klasyfikacji tych maszyn. Do 2010 roku amerykańskie wojsko stosowało dwa podziały bezzałogowych statków powietrznych, ale głównie odnoszono się do podziału na poziomy („tiers”). Siły powietrzne rozróżniały pięć takich poziomów. Tier N/A obejmował małe urządzenia i microdrony (Wasp Block III), Tier I – należące do kategorii: niska wysokość, długi lot (low altitude, long endurance, np. RQ-2 Pioneer), Tier II – czyli średnia wysokość, długi lot (medium altitude, long endurance – MALE, np. MQ-1 Predator, IAI Heron), Tier II+ – najwyższa wysokość, długi lot (high altitude, long endurance – HALE, RQ-4 Global Hawk), Tier III – maksymalna wysokość, długi lot przy niskiej wykrywalności (high altitude, long endurance low-observable, RQ-170 Sentinel). Korpus piechoty morskiej i siły lądowe stosowały zawężoną klasyfikację, czyli trzy poziomy. Tier N/A obejmował najmniejsze z nich, Tier I – niewielkie drony taktyczne (Scan Eagle), a Tier III – wszystkie pozostałe konstrukcje.

Od 2010 roku zarówno USA, jak i całe NATO stosują jeden podział klasyfikacyjny wojskowych bezzałogowych statków powietrznych na trzy grupy. Class I obejmuje konstrukcje ważące do 150 kg o maksymalnym zasięgu do 50 km i dzieli się na trzy podkategorie: small – obejmującą drony ważące od 20 do 50 kg o zasięgu około 50 km (Hermes 90); mini – konstrukcje ważące od 2 do 20 kg i zasięgu do 25 km (Acan Eagle, Skylark, Raven, Strix); micro – drony mniejsze niż 2 kg o zasięgu do 5 km (Black Hornet). Class II obejmuje wszystkie konstrukcje ważące od 150 do 600 kg o zasięgu do 200 km (Hermes 450, Ranger), a Class III – drony ważące powyżej 600 kg. Ta trzecia grupa dzieli się na trzy podkategorie: Strike/Combat – do której zaliczane są wszystkie drony bojowe ważące więcej niż 600 kg bez względu na ich zasięg (MQ-1 Predator, MQ-9 Reaper); HALE (Global Hawk); MALE (Heron TP, Hermes 900).



Orbiter

wersja kupiona
przez WP
w 2005 roku

Rozpiętość skrzydeł – 2,2 m
Długość – 1,0 m
Wysokość – 0,12 m
Ładunek użyteczny – 1,5 kg
Masa całkowita – 6,5 kg
Maksymalna prędkość – 139 km/h
Maksymalny pułap – 5000 m
Zasięg działania – około 15 km
Maksymalny czas lotu – około 1,5 h

POLSKI ŚLAD

RQ-21A Blackjack

Rozpiętość skrzydeł – 4,9 m
Długość – 2,5 m
Ładunek użyteczny – około 18 kg
Masa całkowita – 37 kg
Maksymalna prędkość – 137 km/h
Maksymalny pułap – około 5900 m
Zasięg działania – około 90 km
od stacji naziemnej
Maksymalny czas lotu – około 16 h

Scan Eagle

Rozpiętość skrzydeł – 3,11 m
Długość – 1,37 m
Ładunek użyteczny – około 3 kg
Masa całkowita – 13 kg
Maksymalna prędkość – 148 km/h
Maksymalny pułap – około 6000 m
Zasięg działania – około 100 km od stacji naziemnej
Maksymalny czas lotu – około 20 h

Od liliputa do giganta

Black Hornet Nano (PD-100)

Najmniejszy dron wojskowy na świecie wprowadzony do seryjnej produkcji:
Długość – 10 cm
Wysokość – 2,5 cm
Waga – 16 g
Maksymalna prędkość – 18 km/h
Pułap maksymalny – 50 m
Zasięg – 1000 m
Czas lotu – 30 min

RQ-4 Global Hawk (najnowsza wersja RQ-4B Block 30/40)

Największy dron wojskowy na świecie:
Rozpiętość skrzydeł – 35,42 m (39,9 m)
Długość – 13,4 m (14,5 m)
Wysokość – 4,6 m (4,7 m)
Masa własna – 4014 kg (6781 kg)

Masa całkowita – 11 612 kg (14 628 kg)
Maksymalna prędkość – 650 km/h (629 km/h)
Pułap – 19 800 m (18 000 m)
Maksymalny czas lotu – 42 h na pułapie 19 800 (32 h na pułapie 18 000 m)



Fly Eye (najnowsza wersja kupiona w 2018 roku dla WOT-u)

Rozpiętość skrzydeł – 3,6 m
Długość – 1,9 m
Ładunek użyteczny – 4 kg
Masa całkowita – 12 kg
Maksymalna prędkość – 120 km/h
Maksymalny pułap – 4000 m
Zasięg działania – około 50 km od stacji naziemnej
Maksymalny czas lotu – około 3 h



Warmate (amunicja krążąca)

Rozpiętość skrzydeł – 1,59 m
Długość – 1,17 m
Ładunek użyteczny – około 1 kg
Masa całkowita – 5 kg
Maksymalna prędkość – 150 km/h
Maksymalny pułap – około 500 m
Zasięg działania – około 12 km od operatora
Maksymalny czas lotu – około 60 min

Latający cel



RP-5 (OQ-2 lub TDD-1)

Rozpiętość skrzydeł – 3,72 m
Długość – 2,65 m
Waga – 47 kg
Napęd – silnik Righter Type O-15-1 o mocy 6 KM
Maksymalna prędkość – 135 km/h
Maksymalny czas lotu – 70 min

Oprócz klasyfikacji przyjętych przez NATO i amerykańską armię drony są bardzo często grupowane ze względu na ich właściwości techniczne. Jednym z parametrów jest np. waga. Wówczas dzielą się na: micro (mniej niż 5 kg), light (od 5 do 50 kg), medium (od 50 do 200 kg), heavy (od 200 do 2000 kg), super heavy (powyżej 2000 kg). Jeśli parametrem oceny dronów jest czas pracy w powietrzu, to dzielą się na trzy grupy: high endurance (powyżej 24 godzin), medium endurance (od 5 do 24 godzin) oraz low endurance (poniżej 5 godzin). Podobnym kryterium jest wysokość lotu. Wówczas także dzielimy je na trzy grupy: low altitude (poniżej kilometra), medium altitude (od 1 do 10 km), high altitude (powyżej 10 km). Jeśli kryterium klasyfikacji jest zasięg pracy, to także wyróżniamy podział na trzy grupy: low range (do 100 km), medium range (od 100 do 400 km), high range (powyżej 400 km).

RODZIME ZAPLECZE

Nasza armia ma pięć typów dronów. Wszystkie według topologii NATO należą do Class I. Mamy 15 zestawów zwiadowczych orbiterów, tyle samo Fly Eye, po jednym zestawie Scan Eagle oraz RQ-21A Blackjack. Z maszyn uderzeniowych – tylko Warmate. Planuje się także wprowadzić do służby orliki oraz drony nano.

PGZ-19R, bo taką noszą nazwę produkcyjną orliki, o długości ponad 4 m i przeszło metrze wysokości, będą ważyły około 90 kg i miały skrzydła o rozpiętości ponad 5 m. Osiągną wysokość do 5 tys. m i rozwiną maksymalną prędkość 180 km/h. W powietrzu spędzą do 12 godzin, a promień ich działania wyniesie 150 km. Zostaną wyposażone albo w głowicę optoelektroniczną składającą się z kamery dziennej, albo w kamery na podczerwień, dalmierz laserowy i laserowy wskaźnik celu, albo w radar szczelinowy. Umowę na zakup podpisano w 2018 roku, a pierwsze maszyny trafią do żołnierzy w 2021 roku. Jeśli zaś chodzi o drony nano, czyli ważące mniej niż 100 gramów, to procedurę ich zakupu realizuje obecnie Jednostka Wojskowa Komandosów, która chce pozyskać ich 40 zestawów. Zwycięzcą przetargu została pod koniec kwietnia br. firma UMO, która najprawdopodobniej zaoferowała specjalsom drony Flir PD-100 Black Hornet 3 (czyli trzecią generację bezałogowców PD-100).

PIEŚŃ PRZYSZŁOŚCI

Choć w tak dynamicznie rozwijającej się gałęzi uzbrojenia jaką są bezałogowe statki powietrzne, trudno jest wskazywać kierunki rozwoju, to można przyjąć, że w najbliższych latach będą dominować dwie tendencje. Pierwsza to maszyny bardzo małe i przez to tanie w produkcji oraz eksploatacji, takie jak Black Hornet Nano. Latają one na wysokości 30–40 m i z kilkudziesięciu metrów nie można ich dostrzec gołym okiem. Druga to konstrukcje będące w stanie latać wysoko lub daleko od pozycji nieprzyjaciela, uniemożliwiając w ten sposób ich zestrzelenie, np. Global Hawk, który może prowadzić rozpoznanie celów oddalonych aż o 200 km. Trzeba się jednak liczyć z bardzo wysoką ceną takich dronów. Global Hawk, ze względu na radary, kosztuje około 200 mln dolarów! ■

MIROSLAWIEC UP



W Mirosławcu nie narzekają na obecność Amerykanów. Kur nie płoszą, śmieją się mieszkańcy. Rozruszali natomiast tę niewielką miejscowość – gospodarczo i społecznie.

MARCIN GÓRKA

Niewielka miejscowość położona na skraju drawskiego poligonu już od lat pięćdziesiątych XX wieku była związana z wojskiem, czego ślady widać do dziś. W centrum Mirosławca stoi jeden pomnik – czołg T-34 na cokole, w Mirosławcu Górnym kolejny – samolot Su-22. Pod miasteczkiem zaś znajduje się pomnik ofiar katastrofy samolotu CASA. Od 2000 roku istniała tam duża jednostka: 12 Baza Lotnicza z samolotami Su-22. Wcześniej był to 8 Pułk Lotnictwa Myśliwsko-Bombowego z maszynami Il-2, Il-10, Lim-2, Lim-6, a potem Su-22. Lotnicy zajmowali wioskę enklawę, Górny Mirosławiec, z własnymi sklepami, szkołą, przedszkolem, pocztą i kasynem wojskowym.

Kryzys zaczął się nagle, po katastrofie samolotu C-295M. 23 stycznia 2008 roku maszyna przewoziła oficerów sił powietrznych, wracających z 50. Konferencji Bezpieczeństwa Lotów Lotnictwa Sił Zbrojnych. Uderzyła w ziemię pod Mirosławcem. Nie przeżył nikt. Wtedy niewiele brakowało, by wojско zniknęło z miejscowości. Stało się jednak inaczej. Na początku 2017 roku, ze względu na jej strategiczne położenie i istniejącą infrastrukturę, Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało się umieścić tam nowoczesną jednostkę: 12 Bazę Bezzałogowych Statków Powietrznych (BBSP). Na razie z niewielkimi bezzałogowcami Orbiter, ale z perspektywą wyposażenia bazy w bezzałogowce klasy MALE, o rozpiętości

skrzydeł kilku metrów, zdolne do prowadzenia długotrwałego rozpoznania z wysokości kilku tysięcy metrów. Przyspieszenie nastąpiło przed rokiem.

BAZA W BAZIE

Na terenie 12 BBSP w Mirosławcu Górnym swoją „bazę w bazie” założyli Amerykanie z 52 Grupy Ekspedycyjnej US Air Force (52nd Expeditionary Operations Group Detachment 2). Żołnierze na stałe stacjonują w niemieckim Spangdahlem. Bazę w Polsce nazywają między sobą „Mirosławiec Up”, czyli dosłownie tłumaczą nazwę Mirosławiec Górny. Baza to tak naprawdę nowoczesny hangar dla bezzałogowców i kontenery, w których pracują m.in. operatorzy reaperów. Wjazd na teren 12 BBSP w Mirosławcu nie oznacza, że bez problemu dostaniemy się do bazy amerykańskiej. Ta znajduje się tuż przy pasie startowym. Od reszty terenu odgradzą ją zasieki i wysokie ogrodzenie. Wjazdu przy szlabanie pilnuje uzbrojony amerykański żołnierz.

Tym razem to kobieta, jej mundur jest niemal cały w pamiątkowych naszywkach z misji w różnych częściach świata. Z uśmiechem otwiera szlaban i wpuszcza mnie do środka. Hangar, w którym stoją dwa amerykańskie MQ-9 Reaper, lśni czystością. Obok znajdują się pomieszczenia załóg – obsługi bezzałogowców i pokój dowódcy. Z boku hali żołnierze mają nawet niewielką siłownię. Na zewnątrz jest kolejne ogrodzenie,



MARCIN GÓRKA (3)



Kontener, z którego operatorzy kierują bezzałogowcami.

23



Dowódca 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych w Mirosławcu, płk pil. Łukasz Andrzejewski i dowódca amerykańskiego kontyngentu, płk Andrew Eiler. W tle MQ Reaper

BEZZAŁOGOWCE Z MIROSŁAWCA WYKONUJĄ MISJE ROZPOZNAWCZE I PATROLOWE NAD WSCHODNIĄ FLANKĄ NATO



Tu zaglądać nie wolno.

za które można się dostać przez furtkę zabezpieczoną elektronicznym zamkiem. Tam są kontenery identyczne jak te, które można było zobaczyć na misjach. Żołnierze US Air Force mają ze sobą wszystko, co jest potrzebne do życia w normalnej bazie – toalety, prysznice, generatory prądu, a nawet własne ujęcie wody. Najważniejsze są jednak kontenery, z których operatorzy kierują bezzałogowcami, i te z łącznością, wyróżniające się zamontowanymi obok antenami satelitarnymi. Tam jednak zaglądać nie wolno.

POTEŹNY ZASIĘG

Amerykański personel stacjonuje w Mirosławcu od maja 2018 roku. Wcześniej przebywała tam grupa rekonesansowa. Dobiega końca już druga zmiana kontyngentu, bo żołnierze przyjeżdżają do Mirosławca na pół roku. „Ćwiczyliśmy już z partnerami z innych armii podczas »Saber Strike« oraz »Clear Sky« na Ukrainie”, wymienia dowódca amerykańskiego kontyngentu płk Andrew Eiler. W tych drugich manewrach wzięły udział siły powietrzne siedmiu państw NATO.

Przywieźli ze sobą sprzęt, jaki polscy żołnierze mogli dotąd oglądać tylko przebywając na misjach

w Iraku czy Afganistanie. To potężne MQ-9 Reaper – jedne z największych na świecie i najnowocześniejszych bezzałogowców klasy MALE. Ich zasięg wynosi aż 1850 km, a rozpiętość skrzydeł – 20 m. Maszyna pracuje na wysokości kilku tysięcy metrów. Może przenosić zarówno aparaturę służącą elektronicznemu rozpoznaniu, jak i uzbrojenie.

W marcu 2019 roku Amerykanie w Mirosławcu osiągnęli tzw. gotowość operacyjną. „Zakończyliśmy proces instalacji całej infrastruktury oraz maszyn znajdujących się w wyposażeniu naszego kontyngentu. Działają wszystkie procedury związane z zabezpieczeniem, m.in. łączność szyfrowana do najwyższego stopnia tajności NATO, a bezzałogowce latają i wypełniają swoje misje”, mówi dowódca amerykańskiego kontyngentu w Mirosławcu.

Bezzałogowce z Mirosławca wykonują misje rozpoznawcze i patrolowe nad wschodnią flanką NATO. „Monitorujemy sytuację w kilku krajach w trybie 24/7”, mówi płk Andrew Eiler. I dodaje: „Będziemy tu tak długo, jak będzie potrzeba. Mirosławiec to strategiczne miejsce dla bezpieczeństwa całego regionu, a my mamy strzec stąd jego stabilności”. I dodaje, że loty rozpoznawcze są wykonywane nad sześcioma krajami Europy Środko-



PŁK ANDREW EILER: „POMOC POLAKÓW JEST NIEOCENIONA, MAJĄ ŚWIETNĄ WIE- DZĘ O REGIONIE, CO POZWALA NAM EFEK- TYWNIIE WYKONY- WAĆ ZADANIA”

wo-Wschodniej, m.in. Polską i krajami bałtyckimi. Pozwala na to potężny zasięg MQ-9 Reaper.

Ilu Amerykanów stacjonuje w tej chwili w Mirosławcu? Tej informacji płk Eiler nie podaje. Można powiedzieć tylko, że jest to kilkadziesiąt osób. „W każdej chwili zarówno maszyn, jak i personelu może być więcej lub mniej. Wszystko zależy od bieżącej sytuacji i potrzeb naszej misji”, wyjaśnia. „Teraz latają bezzałogowce nieuzbrojone. Wyposażone są jedynie w aparaturę służącą do prowadzenia rozpoznania”, mówi płk Eiler. Obsługuje je głównie personel cywilny. „Żołnierze Gwardii Narodowej mają szersze uprawnienia niż pracownicy”, wyjaśnia pułkownik. Gdyby maszyny miały wykonywać loty bojowe z użyciem uzbrojenia pokładowego, cywile zostaliby zastąpieni przez żołnierzy.

KUR NIE PŁOSZA

„Reaperów na co dzień nie widać, choć wiemy, że są nad naszymi głowami. Kur jednak nie płoszą”, żartuje Piotr Pawlik, burmistrz Mirosławca. „Za to miasto jest pełne Amerykanów. Co prawda, nie w mundurach, ale łatwo odróżnić ich choćby po samochodach, bo poruszają się SUV-ami na polskich rejestracjach. Stali się częścią społeczności i świetnie zintegrowali z mieszkańcami miasta i całego regionu”.

Amerykanie mieszkają rozsiani po całej gminie. Większość wojskowych zajęła lokale w blokach należących do Agencji Mienia Wojskowego w Mirosławcu Górnym. „To nasze stałe miejsce zamieszkania w Polsce. Co prawda czas spędzamy głównie w bazie, ale po pracy wyjeżdżamy do miasta albo i dalej”. Cywilni kontraktorzy zamieszkali natomiast w zajeździe pod Mirosławcem. Opuszczają to miejsce przede wszystkim wtedy, gdy jadą na zakupy i do lokali gastronomicznych. Amerykanów znają właściciele wszystkich pizzerii w okolicy. Nie tylko tych w Mirosławcu, ale też w Drawsku czy Kaliszu Pomorskim. Zakupy robią w lokalnych piekarniach, sklepach spożywczych, odwiedzają fryzjera i inne zakłady usługowe. „Kilkadziesiąt osób to za mało, by rozruszać gospodarkę miasta, ale ci, którzy prowadzą swój biznes, nie mogą narzekać na brak utargu”, cieszy się burmistrz. Podkreśla, że na handlu integracja z Amerykanami się jednak nie kończy. „Są aktywni także podczas wszystkich lokalnych imprez, uroczystości, pikników czy akcji charytatywnych. My jesteśmy gośćmi, kiedy oni urządzają swoje. Byłem zaproszony na obchody Święta Dziękczynienia czy z okazji Dnia Niepodległości 4 lipca”.

Niedawno Amerykanie odwiedzili przedszkole, które zbierało pieniądze na doposażenie placówki. Ofiarowali kilka tysięcy dolarów. Byli hojni także podczas zbiórki w czasie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Biorą również udział w lokalnych imprezach sportowych: biegach i rajdach rowerowych.

Miejski dom kultury dwa razy w tygodniu gości amerykańskich żołnierzy, którzy nieodpłatnie udzielają lekcji angielskiego dzieciom i dorosłym. „W grupach początkującej i zaawansowanej uczestnicy tych zajęć mają konwersacje”, mówi Anna Dzida, dyrektorka domu kultury. „Amerykanie też korzystają, bo od nas uczą się języka polskiego. Te wspólne zajęcia dla naszych mieszkań-

ców są też okazją do poznania świata i przełamywania barier, nie tylko językowych. Widzą, że są też inni ludzie, o innym kolorze skóry. Wspólnie organizujemy różnego rodzaju warsztaty, np. malowania na szkle. Miasto ich wessało”, podkreśla Anna Dzida. Potwierdza to płk Andrew Eiler: „Staliśmy się częścią tej społeczności. Bierzemy udział we wszystkich wydarzeniach w Mirosławcu. Poznajemy historię regionu. Razem z mieszkańcami jeździmy na rowerach, biegamy. Mamy świetne relacje ze szkołami, domem kultury. Ludzie znają nas i uśmiechają się do nas na ulicach. To bardzo ważne, kiedy żyjemy w tak małej społeczności, gdzie każdy zna każdego”.

ZBIERANIE DOŚWIADCZEŃ

Współpraca układa się świetnie także na poziomie jednostki wojskowej. Płk pil. Łukasz Andrzejewski, dowódca 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych w Mirosławcu, podkreśla, że obecność Amerykanów bardzo się przydaje w przededniu przyjęcia do jednostki nowoczesnych, dużych bezzałogowców. „Obecność żołnierzy amerykańskich wymagała od nas sporo wysiłku. Minął już ponad rok od czasu, kiedy przyjechała pierwsza grupa rekonesansowa. Pomagamy im na każdym poziomie, począwszy od udostępnienia infrastruktury, przez sprawy socjalne, skończywszy na wykonywaniu operacji lotniczych, w tym zarządzania przestrzenią powietrzną”, mówi płk pil. Andrzejewski. „My zaś staramy się jak najwięcej skorzystać z ich obecności, nabierając doświadczenia”.

12 BBSP na razie dysponuje małymi bezzałogowcami Orbiter, ale przygotowuje się do przyjęcia maszyn podobnych do reaperów. Realizowany jest już program operacyjny pod kryptonimem „Orlik”, który zakłada dostarczenie do Mirosławca PGZ-19R, bezzałogowców o rozpiętości skrzydeł około 10 m. Ich dostawy planowane są po 2021 roku. „W dużej mierze jesteśmy już przygotowani do przyjęcia tego systemu”, zapewnia płk Andrzejewski.

„Pomoc naszych polskich sojuszników jest nieoceniona, mają świetną wiedzę o regionie, co pozwala nam efektywnie wykonywać zadania. Ale staliśmy się też dla siebie bliskimi przyjaciółmi, nie tylko sojusznikami”, podkreśla płk Andrew Eiler. „Zapraszają mnie do domów. Ostatnio jeden z pilotów powiedział: »Andrew, przyjdź do nas do domu na wieczór gofrowy«. Takich spotkań jest bardzo dużo”.

Maluchy do ataku

Postępująca miniaturyzacja sprzętu elektronicznego pozwala budować latające drony wielkości małych ptaków lub dużych owadów. Lilipucie urządzenia mają sporo zalet.

ROBERT SENDEK

Jest naprawdę mały, nie większy niż pudełko papierosów. Łatwo ukryć go w dłoni albo przenieść w kieszeni. Wygląda jak zabawka, ale nią nie jest: to miniaturowy dron zabójca. Bateria pozwala na kilka minut lotu, silniczki zapewniają niezbędną prędkość i manewrowość, mikroskopijne kamery umożliwiają prowadzenie obserwacji. Jest w pełni autonomiczny, unika w locie przeszkód, potrafi również rozpoznawać twarze, bez problemu więc identyfikuje wskazany cel. Po rozpoznaniu terrorysty aparat zmierza w jego kierunku, uderza w czoło, trzygramowy materiał wybuchowy uwalnia pocisk. Wybuch przypomina strzał z kapiszona. Cel zlikwidowany.

To jeszcze nie jest rzeczywistość, choć już niewiele brakuje, by opisany scenariusz wydarzył się naprawdę. Tak wyglądają pierwsze kadry filmu opublikowanego w serwisie Youtube przez grupę naukowców, przestrzegających świat przed autonomicznymi robotami. Film nosi tytuł „Slaughterbots” (co można by przetłumaczyć np. jako rzeźnioboty) i w ciągu dwu lat od opublikowania miał niemal 3 mln wyświetleń. Film wywołał również dyskusję na temat autonomicznych technologii wojskowych, pokazywano go m.in. w Genewie w 2017 roku podczas debat nad wprowadzeniem konwencji zakazującej budowy autonomicznych zabójców. Mniejsza jednak o autonomiczność, miniaturowe drony to już nie fantastyka, a wszystkie technologie przedstawione w filmie już istnieją.

WAŻKA Z MIKROFONEM

Eksperymenty z miniaturowymi dronami trwają już od dłuższego czasu i przynoszą dość ciekawe rozwiązania, udowadniając, że takie maluchy mogą mieć wiele zalet. Niektóre z nich wciąż jeszcze są w fazie testów, choć pierwsze już zdążyły wejść do użycia i pojawić się na polu walki. Jednym z nich był Insectothopter, aparat wielkości ważki, opracowany w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia przez CIA (Central Intelligence Agency) do celów szpiegowskich. Był niezwykle lekki, ważył bowiem zaledwie... gram. Zakła-

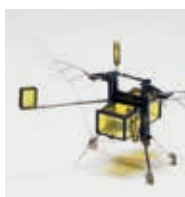
dano, że w jego ogonie znajdzie się mikrofon. Aparat miał jednak dużą wadę: najbliższy nawet wiatr uniemożliwiał kontrolowanie lotu. Było to na tyle problematyczne, że mimo obiecujących wyników z dalszych badań zrezygnowano. Tymczasem w związku z postępującą miniaturyzacją urządzeń elektrycznych w ostatnich latach zaczęto budować mikrodrony o takich osiągnięciach i możliwościach, że zostały uznane przez wojsko za przydatne w praktycznym użyciu.

ŻADŁA SZERSZENI

Do najbardziej zaawansowanych projektów tego typu należy mikrodron obserwacyjny PD-100, znany także pod angielską nazwą Black Hornet Nano (czarny szerszeń). Został on opracowany w 2008 roku przez norweską firmę Prox Dynamics we współpracy z Brytyjczykami z Marlborough Communications. Wygląda jak miniaturowy śmigłowiec ze sklepu z zabawkami. Szerszeń wszedł do produkcji seryjnej już w 2012 roku. Brytyjczycy, którzy jako pierwsi dostali te aparaty, stosowali je w Afganistanie m.in. do rozpoznania w terenie zurbanizowanym czy lokalizowania stanowisk strzelców przeciwnika. Na zakup tych dronów zdecydowały się później m.in. armia norweska, amerykańska i australijska.

Black Hornet Nano waży zaledwie 16 g i ma 10 cm długości. Bateria pozwala na 20–25 minut lotu w zasięgu około 1,6 km. W aparacie są aż trzy kamery, zamontowane z przodu, z dołu i pod kątem 45 stopni. Dzięki nadajnikowi obraz z nich jest w czasie rzeczywistym transmitowany do przenośnego tabletu, który pozwala także na sterowanie aparatem. Zestaw obejmuje dwa drony, ekran wraz z dżojstikiem sterowniczym oraz ładowarkę ze stacją dokującą. Istnieje też wersja z noktowizorem lub kamerą termowizyjną.

W 2016 roku firmę Prox Dynamics wykupiło amerykańskie przedsiębiorstwo FLIR Systems. Wtedy powstały nowsze, cięższe wersje szerszeni z poprawionymi osiągnięciami. Drony mogą działać bez sygnału GPS, dzięki czemu możliwe jest penetrowanie



Do najmniejszych mikrodronów należy eksperymentalny RoboBee, mający rozpiętość 3 cm i wagę zaledwie 80 mg!



np. tuneli, jaskiń lub podziemi. Oferowane są jako indywidualny system rozpoznania (Personal Reconnaissance System – PRS) oraz w zestawach do montowania na pojazdach wojskowych (Vehicle Reconnaissance System – VRS).

PO CO KOMU MIKRODRON

Badania nad tymi maleństwami prowadzi się z wielu powodów. Ze względu na rozmiary i możliwości mikrodrony mogą stanowić doskonały element wyposażenia indywidualnego każdego żołnierza. Zresztą już teraz w armii amerykańskiej realizowany jest program „Soldier Borne Sensor” (SBS), przewidujący wyposażenie w zestaw obserwacyjnych bezzałogowców każdej drużyny piechoty. Mikrodrony wciąż jeszcze mają stosunkowo krótki czas lotu, ale wystarczający na przeprowadzenie niewielkiego rekonesansu i podjęcie decyzji np. o rozpoczęciu szturm na kryjówkę przeciwnika, wycofaniu się lub ewentualną prośbę o wsparcie. Szczególnie przydatne mogą się okazać podczas walk w terenie zurbanizowanym.

Zasadniczym problemem konstrukcyjnym w maszynach tego typu są ich niewielkie rozmiary. Mikrodrzon powinien być lekki, poręczny, łatwy w transporcie oraz możliwie prosty w obsłudze. Ma przy tym zachowywać zdolność przynajmniej do kilkuminutowego lotu, dlatego konieczna jest jednostka napędowa oraz zasilające ją baterie, co zmniejsza udźwig użytkowy maszyny. Musi jednocześnie zabrać niezbędny sprzęt w postaci kamer, urządzeń nadawczych i odbiorczych oraz innego sprzętu, m.in. procesorów, czujników, wykrywaczy itp. W wypadku urządzeń autonomicznych konieczny jest również system zapewniający samodzielność oraz stosowne oprogramowanie. Mikrodrony zabójcy będą musiały też unieść ładunek wybuchowy.

NIEBEZPIECZNY RÓJ

Badania nad mikrodrzonami rozwijane są wielokierunkowo. Chodzi o nieustanne poprawianie ich osiągnięć, zwiększanie zasięgu i udźwigu, ulepszenie komunikacji z operatorem, udoskonalanie jakości połączenia i dostarczanych informacji (lepszą jakość obrazu i dźwięku). Rezultaty są imponujące. Do najmniejszych mikrodrzonów należy opracowany w Harvardzie eksperymentalny RoboBee, mający rozpiętość ledwie 3 cm i wagę zaledwie 80 mg! Musi mieć co prawda zasilanie zewnętrzne, dostarczane przez łącze, ale lata. Opracowano mikrodrony, które są zdolne do autonomicznego lotu, potrafią przy tym chodzić, chwycić i przenosić drobne przedmioty (np. Pico-bug). Mikrodrzon FlyCroTug potrafi podnieść (po



INSECTOHOPTER, aparat wielkości ważki, opracowany w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia przez CIA do celów szpiegowskich

ZE WZGLĘDU NA ROZMIARY I MOŻLIWOŚCI MIKRODRONY MOGĄ STANOWIĆ DOSKONAŁY ELEMENT WYPOSAŻENIA INDYWIDUALNEGO KAŻDEGO ŻOŁNIERZA

uprzednim zakotwiczeniu, więc nie w locie) ciężar do 40 razy większy od własnej wagi czy nawet otwierać zamknięte drzwi.

Najnowsze i skuteczne technologie nie są tanie, taki np. Black Hornet w nowszych wersjach może kosztować nawet kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Podejmuje się jednak próby budowania dronów z tanich, powszechnie dostępnych materiałów. Bardzo ciekawie wygląda np. rozwijany w amerykańskich laboratoriach projekt o nazwie CICADA (cykada, a także skrót od Close-In Covert Autonomous Disposable Aircraft). Obejmuje on kilka modeli mikrodrzonów rozpoznawczo-obserwacyjnych, w których postawiono na prostotę konstrukcji. Powstają one m.in. z wyko-



PROX DYNAMICS

rzystaniem drukarek 3D, co bardzo obniża cenę jednostkową do około 200–300 dolarów za sztukę, z czego znaczną część stanowi koszt elektroniki.

Cykady nie mają własnego napędu, więc do wynoszenia ich w powietrze służy platforma nosiciel (dron, samolot lub balon). Po osiągnięciu właściwego pułapu uwalniane są w grupach po kilka, kilkunastu egzemplarzy. Lecą następnie bezgłośnie lotem ślizgowym jak szybowce i zbierają informacje nad danym terenem. Po wykonaniu zadania lądują w pobliżu wskazanego za pomocą GPS-u punktu docelowego. Cykady są urządzeniami testowymi, za pomocą których badane jest łączenie poszczególnych aparatów w sieć. Chodzi o analizę przydatności dla wojska pojedynczych, niewielkich dronów, które mogłyby latać w stadzie czy może raczej w roju). Dzięki urządzeniom nadawczym i odbiorczym są

one w stanie komunikować się ze sobą po to, aby wspólnie wykonać zadanie.

W 2018 roku szwajcarski ośrodek badawczy zajmujący się robotyką i dronami (Schweizer Drohnen-und Robotik-Zentrum) w mieście Thun przeprowadził eksperyment zainspirowany filmem „Slaughterbots”. Z folii miedzianej zwiniętej w stożek szwajcarscy inżynierowie przygotowali pocisk, który przymocowali taśmą do poliuretanowej kuli, wypełnionej żelatyną i mającej symulować ludzką głowę. Pocisk zawierał – tak jak w filmie – 3 g materiału wybuchowego oraz zapalnik. Po odpaleniu przebił on żelatynową kulę niemal na wylot, co oznacza, że gdyby to była ludzka głowa, człowiek nie miałby większych szans na przeżycie. Najpewniej oznacza to, że wkrótce mogą pojawić się na rynku mikrodrony do jednostkowego eliminowania przeciwnika w ten właśnie sposób. ■

ARMIA

/ LOTNICTWO



LATANIE Z EFEKTEM WOW



Podchorążowie Lotniczej Akademii Wojskowej chwycili za stery bielików. Studenci już latają na M-346, jednej z najnowocześniejszych maszyn szkolnych na świecie. Przygotowują się do służby w eskadrach taktycznych wyposażonych w F-16.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
EWA KORSAK

ARTUR ORZECZOWSKI



T

o nowy rozdział w historii polskiego lotnictwa – tak o wprowadzeniu do służby samolotu M-346 mówią piloci z Dębłina. Na bielikach przez ponad rok latali instruktorzy 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego i podległej mu 41 Bazy. Kadra nie tylko doskonaliła swoje umiejętności, lecz także weryfikowała przygotowany uprzednio program szkolenia lotniczego na M-346.

Teraz za stery chwycili podchorążowie Szkoły Orląt. „Program będzie ciągle analizowany, tak jak postępy w nauce podchorążych”, mówi płk pil. Wojciech Pikula, dowódca 4 Skrzydła. 16 kwietnia odbył się pierwszy lot podchorążego na M-346. Przez półtorej godziny wykonywał najprostsze manewry, a siedzący za nim instruktor pokazał mu możliwości M-346 i olbrzymią moc maszyny.

HAVE FUN!

Do szkolenia na M-346 wytypowano czterech podchorążych Lotniczej Akademii Wojskowej (LAW). Są to studenci, którzy osiągnęli najlepsze wyniki w nauce i uzyskali najwyższe oceny podczas praktyk lotniczych w 42 Bazie Lotnictwa Szkolnego w Radomiu, gdzie pilotowali PZL-130 Orlik. „Zwracaliśmy także uwagę na ich postawę, podejście do służby i latania. Czy zdają sobie sprawę z tego, jak ciężka praca przed nimi”, podkreśla płk pil. dr Konrad Madej, szef szkolenia 4 Skrzydła.

Wszyscy podchorążowie wybrali specjalność pilotaż samolotu odrzutowego, co oznacza również, że pozytywnie przeszli badania medyczne wymagane do latania na F-16. „Podchorążowie

muszą perfekcyjnie znać angielski. W lotnictwie to podstawa. Poza tym, podobnie jak w eskadrach wyposażonych w F-16, i u nas w Dęblinie szkolenie odbywa się właśnie w tym języku – od briefingu przed lotem, przez działania w powietrzu, po debriefing”, dodaje płk Madej.

Wśród podchorążych szukano też ludzi z odpowiednim charakterem. Piloci samolotów bojowych muszą łączyć w sobie dwie przeciwstawne cechy. Z jednej strony pożądane są indywidualizm i samodzielność, z drugiej – umiejętność pracy w grupie. Czy tacy właśnie są pierwsi szkolący się na M-346? „Spędziliśmy z nimi jeszcze za mało czasu, żeby to ocenić. Na pewno są bardzo chętni do pracy i rwą się do latania. A to bardzo nas cieszy”, mówi płk pil. Marek Kejna, dowódca Grupy Działań Lotniczych 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego. Oficer przyznaje, że pierwsi podchorążowie latający bielikami są grupą eksperymentalną. „Ktoś musi być pierwszy. Uczą się według nowatorskiego programu nauczania. Dopiero za kilka miesięcy stwierdzimy, czy trzeba go modyfikować”, podkreśla płk Kejna.

Podchorążowie o lotach na M-346 mówią z przejęciem i wypiekami na twarzy. „Jesteśmy szczęściarzami. Kiedy przesiadasz się z orlika na M-346, masz wrażenie, że ten drugi samolot ma nadmiar mocy. W pierwszym locie zaskoczył mnie prędkością, przeciążeniami... Ale też zobrazowaniem tego, co dzieje się wokół na wyświetlaczach w kabinie. Szczerze mówiąc, nigdy nie jechałem samochodem, który ma takie zobrazowanie, a co dopiero samolot”, mówi sierż. pchor. Andrzej Wszołek.

Jego kolega, sierż. pchor. Sebastian Szczypka dodaje, że nie mógł się już doczekać lotów



Płk pil. MAREK KEJNA, dowódca Grupy Działań Lotniczych 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego: „Pierwsi podchorążowie latający bielikami są grupą eksperymentalną. Ktoś musi być pierwszy. Uczą się według nowatorskiego programu nauczania”.

DO SZKOLENIA NA M-346 WYTYPOWANO CZTERECH PODCHORAŻYCH LOTNICZEJ AKADEMII WOJSKOWEJ, KTÓRZY OSIĄGNEŁI NAJLEPSZE WYNIKI W NAUCE I UZYSKALI NAJWYŻSZE OCENY PODCZAS PRAKTYK

odrzutowcem. „Jak dałem pełną moc... Był efekt wow. Wcisnęło mnie w fotel!”, opowiada o pierwszym locie i dodaje: „Oczywiście takie wrażenia zajmują tylko ułamki sekund, bo natychmiast trzeba było zapanować nad sytuacją w samolocie, pilnować parametrów, wykonywać kolejne czynności. Odsunąć na bok zachwyt nad maszyną i skoncentrować się na zadaniu”.

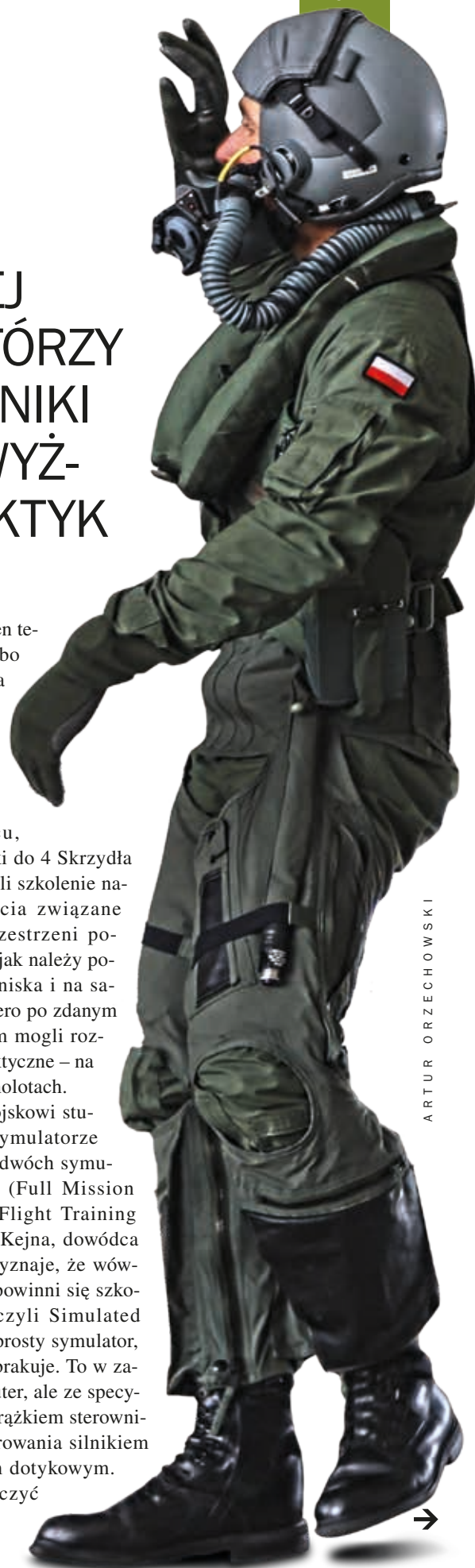
Podchorążowie przyznają, że bielik jest bardzo wymagający, dlatego każdy lot trzeba dokładnie przygotować. W powietrzu natomiast należy być maksymalnie skupionym, by w krótkim czasie analizować różnego rodzaju informacje. Podchorążowie mówią, że trzeba być krok przed samolotem. Nie można się zagapić, spóźnić z reakcją, bo straty często są już nie do odrobienia. „Mamy świadomość, że jeżeli nie poradzimy sobie z napływającymi informacjami, pogubimy się w zadaniach, to siedzący w drugiej kabinie instruktor przejmie stery i pozwoli nam dojść do siebie. Podczas pierwszego lotu M-346 chyba zauważył moje zdenerwowanie, bo w pewnym momencie, aby rozluźnić atmosferę, powiedział mi: »Just have fun!« [Po prostu baw się dobrze!], wspomina pchor. Szczypek. 25-letni podchorąży o lataniu mówi z wielką pasją, ale jeszcze kilka lat temu myślał o zupełnie innej ścieżce kariery. Trenował skoki narciarskie, ale karierę uniemożliwił mu wysoki wzrost. „Planowałem, że zostanę drugim Adamem Małyszem, a teraz marzę o F-16”, mówi przyszły pilot.

MOZOLNE SZKOLENIE

Szkolenie teoretyczne dotyczące M-346 podchorążowie przeszli jeszcze w LAW-ie, wykorzystywali do tego m.in. centrum symulacyjne

41 BLSz (więcej na ten temat w artykule „Niebo na ziemi”, „Polska Zbrojna” 5/2019). Uczyli się m.in. o budowie samolotu, jego systemach, poznawali procedury awaryjne. W marcu, gdy trafili na praktyki do 4 Skrzydła w Dęblinie, rozpoczęli szkolenie naziemne. Mieli zajęcia związane z położeniem w przestrzeni powietrznej, uczyli się, jak należy poruszać się wokół lotniska i na samym lotnisku. I dopiero po zdanym egzaminie końcowym mogli rozpocząć szkolenie praktyczne – na symulatorach i w samolotach.

W czasie nauki wojskowi studenci ćwiczyli na symulatorze katapultowania oraz dwóch symulatorach lotu: FMS (Full Mission Simulator) i FTD (Flight Training Device). Płk Marek Kejna, dowódca GDL-u 41 Bazy, przyznaje, że wówczas okazało się, że powinni się szkolić także na SBT, czyli Simulated Based Training. „To prosty symulator, którego nam bardzo brakuje. To w zasadzie zwykły komputer, ale ze specyficznym dla bielika drążkiem sterowniczym i dźwignią sterowania silnikiem oraz dużym ekranem dotykowym. Na SBT można ćwiczyć proste działania,



ARTUR ORZECZOWSKI



czynności manualne. W pierwszym kontrakcie z firmą Leonardo nie został on uwzględniony, bo nie było go jeszcze na rynku. Najprawdopodobniej urządzenie trafi do nas pod koniec 2019 roku”, mówi dowódca GDL-u.

Zgodnie z przyjętym programem szkolenia podchorążowie spędzą w symulatorach 50 godzin, a kolejnych sto w powietrzu. „Już podczas pierwszego lotu z podchorążym przekonałem się, że szkolenie symulatorowe przyniosło świetne efekty. Student potrafi bezpiecznie pilotować samolot. Jest w stanie bezpiecznie wystartować i wylądować. Teraz zacznie się wymagające szkolenie”, podkreśla płk Konrad Madej.

W pierwszej kolejności podchorążowie będą uczyć się latania według procedur VFR i IFR, czyli z widocznością i bez niej, z wykorzystaniem przyrządów. Muszą opanować podstawowe poruszanie się w przestrzeni powietrznej, poznać lotniska zapasowe. Swoje umiejętności potwierdzą egzaminem i wykonają pierwszy samodzielny lot. „To jest kwalifikacja na typ samolotu. Zajmuje ona nie więcej niż 15% całego programu szkolenia praktycznego”, wyjaśnia płk Madej. W drugim etapie szkolenia (około 40% programu) podchorążowie będą się uczyć działania w parach i w formacjach trzech samolotów. Przećwiczą loty w szyku, różnego rodzaju manewry, będą wykorzystywać systemy do komunikowania się między członkami lotniczego ugrupowania. Do tego dojdą loty na małej wysokości, a także „z wyjściem na czas”, w których chodzi o to, by pilot znalazł się w odpowiednim miejscu w precyzyjnie wyznaczonym momencie.

„Nie można wartościować, który z etapów szkolenia jest ważniejszy, bo jeden wynika z drugiego. Na pewno jednak najwięcej wysiłku podchorążowie włożą w naukę w czasie trzeciego etapu, czyli szkolenia taktycznego”, zaznacza ppłk Marek Kejna. W programie przewidziano m.in. walkę powietrzną w różnych konfiguracjach, przechwycenia, wykonywanie zadań na pozycji skrzydłowego w formacji kilku samolotów oraz atakowanie celów naziemnych. To, czego piloci nauczą się w tej fazie, zapoczątkuje podczas szkolenia na F-16.

„Zaawansowany system szkolenia umożliwia nam przekazywanie pewnych zagadnień, które dotychczas były zare-

zerwowane na potrzeby nauki w eskadrach taktycznych. Teraz, dzięki bielikom, możemy uczyć operowania uzbrojeniem, wykonywania przechwycień czy posługiwania się radarem. Jest to rozwiązanie optymalne, bo nie eksploatuje samolotów bojowych. Nauka na maszynach szkolnych jest po prostu tańsza”, przyznaje szef szkolenia 4 Skrzydła. „Studenci będą także uczyć się zarządzania informacją. Trzeba pamiętać, że pilot jest menadżerem informacji, które wpływają do niego z różnych systemów. Największym wyzwaniem jest wyciągnięcie z tych danych wniosków i podjęcie konkretnego działania. Utrudnieniem są przy tym ograniczony czas, stres, duże przeciążenia i przyspieszenia”, uzupełnia płk Madej.

Podchorążowie będą się szkolić na bielikach do końca listopada. Wtedy też instruktorzy i dowództwo 4 Skrzydła omówią efekty programu i być może go zmodyfikują. Dowódca 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego płk pil. Wojciech Pikuła przyznaje, że w kwestii doskonalenia programu szkolenia instruktorzy będą współpra-

cować z pilotami F-16. „Oni są zawsze krok przed nami. W bojowych jednostkach wprowadza się najnowsze elementy szkolenia, wykorzystuje wnioski m.in. z udziału w międzynarodowych ćwiczeniach. Musimy część tej wiedzy oraz doświadczenia pilotów bojowych ująć w naszym programie szkolenia”, mówi płk pil. Pikuła.

Kooperacja z 2 Skrzydłem Lotnictwa Taktycznego jest niezbędna, by maksymalnie zbliżyć do siebie charakter szkolenia na M-346 i F-16. Polega to m.in. na prowadzeniu w ten sposób briefingów i debriefingów, używaniu tej samej terminologii, wykonywaniu tak samo podstawowych manewrów w powietrzu z uwzględnieniem specyfiki samolotów.

Właśnie w tym celu komponent lotniczy z 41 Bazy zostanie w najbliższym czasie przebazowany do Krzesin, gdzie instruktorzy bielików i F-16 będą wykonywać wspólnie loty i doskonalić np. elementy taktyczne programu szkolenia na bielikach. Współpraca 4 i 2 Skrzydła ma być kontynuowana co roku, dodatkowo personel z Dębina będzie uczestniczył w szkoleniu TLP w Hiszpanii. To wszystko ma sprawić, że młodzi piloci, już jako oficerowie, wyszkoleni na M-346 bez problemów rozpoczną naukę na F-16.



**WIĘCEJ
BIELIKÓW**

Najpóźniej jesienią 2020 roku w 4 Skrzydle Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie wylądują cztery kolejne samoloty M-346 Bielik. Dwa lata później flota zostanie uzupełniona o następne cztery maszyny. Wówczas z białą-czerwoną szachownicą latać będzie pełna eskadra tych maszyn. By odpowiednio je wykorzystać do szkolenia zaawansowanego, 41 Baza już teraz kształci nowych instruktorów. Piloci przeszli szkolenia w Stanach Zjednoczonych na T-38C, ukończyli także kurs podstawowy na F-16.

ARTUR ORZECZOWSKI



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa
tel.: +48 261 851 300; fax: +48 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl





ZAMKI NA POLIGONACH

Modernizują drogi, doposażają strzelnice, remontują budynki – żołnierze z amerykańskich oddziałów inżynieryjnych mają swój udział w zmianach, które zachodzą na polskich poligonach.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Obozowisko Karliki pod Żaganiem. Droga przez las, kolejne bramy, baraki dla wojska, wreszcie plac, na którym w równych rzędach stoją pojazdy inżynieryjne w ciemnożółtym kamuflażu: koparki, spychacze, różnego typu ciężarówki, transportery. Wokół nich krzątają się amerykańscy żołnierze, gdzieś słychać terkot silników. W przestronnej hali zbiórka oddziałów, ostatnie instrukcje od dowódców. Krzesła dla oficjeli – jeszcze puste, w tle flagi kilku państw i dwa kopce piachu, a w nich łopaty. Wyżej rozpięty na koparkach baner „Task Force Central Resolute Castle 2019”.

GWARDIA DO DZIEŁA

Po hymnach narodowych i okolicznościowych przemówieniach oficerowie ze Stanów Zjednoczonych, Danii i Polski ruszą do łopat. „One, two, three. Diiiig”, daje sygnał fotograf i pierwszy piach zostaje przerzucony. Można zaczynać.

Trzy i pół tysiąca żołnierzy, czołgi Abrams, transportery opancerzone Bradley, samobieżne haubice Paladin. W styczniu 2017 roku do Polski dotarła pierwsza zmiana amerykańskich żołnierzy z Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej. Zostali rozlokowani w Żaganiu, Bolesławcu, Świątoszowie i Skwierzynie. Była to reakcja na coraz bardziej agresywną postawę Rosji, której wyrazem stały się aneksja Krymu, wywołanie i podsycanie konfliktu na wschodniej Ukrainie oraz liczne prowokacje w rejonie Morza Bałtyckiego. Amerykanie ćwiczą na całej tzw. wschodniej flance NATO – od Estonii po Rumunię, a wszystko odbywa się w ramach misji „Atlantic Resolve”.

Tymczasem w jej cieniu już od czterech lat jest realizowane inne, bezpośrednio z nią powiązane, przedsięwzięcie. „Resolute Castle” polega na unowocześnianiu poligonów w tej części Europy. Zadanie spoczywa przede wszystkim na wojskach inżynieryjnych, które wchodzą

ĆWICZENIA „RESOLUTE CASTLE” TO DLA AMERYKA- NÓW OKAZJA DO ZGRYWANIA REGU- LARNEJ ARMII, JEJ REZERW ORAZ GWAR- DII NARODOWEJ



Płk MAREK GMURSKI, komendant Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Drawsku: „Amerykańscy żołnierze pomagają nam przygotowywać infrastrukturę do wprowadzenia systemu symulacji pola walki. Współpraca układa się znakomicie”.

w skład Gwardii Narodowej oraz Rezerw Armii Stanów Zjednoczonych.

Historia pierwszej z tych formacji jest tak długa, jak dzieje USA. Sformowane z osadników milicje walczyły już w amerykańskiej wojnie o niepodległość. Dziś gwardziści wspierają armię oraz służby porządkowe m.in. podczas klęsk żywiołowych. Pomagali na przykład usuwać zniszczenia po przejściu huraganów Katrina i Rita, biorą też udział w patrolowaniu granicy z Meksykiem, by powstrzymać przemyt narkotyków i napływ nielegalnych imigrantów. Z kolei siły rezerwowe zostały sformowane w 1908 roku i stanowią bezpośrednie zaplecze regularnej armii. Ci żołnierze szkolą się w swoich specjalnościach, tak by w razie wojny wstąpić do czynnej służby. „Dzięki »Resolute Castle«” nasze oddziały inżynierskie mogą sprawdzić się w realnym działaniu. Realizują konkretne, nierzadko złożone projekty, w dodatku we współpracy z wojskami innych krajów”, podkreśla Elisia Lukasik z biura prasowego US Army w Europie. „Dla wielu żołnierzy, którzy biorą w nim udział, to jedyna okazja, by zdobywać doświadczenie poza granicami USA”, dodaje.

Każda z edycji „Resolute Castle” trwa pół roku. Do tej pory Amerykanie inwestowali w poligony Bułgarii, Estonii, Rumunii czy Polski. Tylko w tym roku na kolejne przedsięwzięcia w dwóch ostatnich państwach zamierzają przeznaczyć około 22 mln dolarów. „To koszt materiałów budowlanych oraz ich transportu, eksploatacji sprzętu, przerzucenia i utrzymania naszych żołnierzy”, wylicza Lukasik. „Budujemy nie tylko z myślą o naszych wojskach. Z efektów tych prac skorzy-

stają także sojusznicy”, dodaje. Pierwsze widać już na dwóch polskich poligonach: w Drawsku i Żaganiu.

UNIKATOWY OBIEKT

„Mamy tu wszystko – lasy, piaski, jeziora, bagna. Są wzgórza, ale też rozległe płaskie tereny”, wylicza płk Marek Gmurski, komendant Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Drawsku. Historia miejscowego poligonu sięga połowy lat czterdziestych ubiegłego wieku. Kiedyś ćwiczyły tu wojska Układu Warszawskiego, a teraz regularnie goszczą oddziały z państw NATO: USA, Wielkiej Brytanii, Kanady czy Niemiec. Pod koniec marca 2019 roku w Drawsku zameldowało się 1,5 tys. żołnierzy z Fort Bliss w Teksasie i 700 jednostek sprzętu ze składów amerykańskiej armii w Holandii. Manewry miały przede wszystkim sprawdzić zdolność przerzutu wojsk na dużą odległość oraz sposób współdziałania z polskimi oddziałami.

Sojusznicze armie upodobały sobie poligon w Drawsku, ponieważ jest różnorodny i duży – ponad 36 tys. ha czyni go największą tego typu przestrzenią w Europie. Co istotniejsze, od kilku lat przechodzi gruntowną modernizację. W sumie polski resort obrony zamierza na nią wydać kilkadziesiąt milionów złotych. W 2018 roku został tam oddany do użytku unikatowy w skali Europy ośrodek szkolenia obrony przed bronią masowego rażenia. W jego skład wchodzi m.in. podzielony na komory tunel skażeń, gdzie specjalistyczne pododdziały mogą trenować rozpoznawanie i likwidację skutków ataku przeprowadzonego z użyciem bojowych środków trujących. Niebawem poligon ma się też wzbogacić o kompleksowy system symulacji pola walki czy laserową strzelnicę dla czołgów i transporterów. „Po modernizacji będziemy mieli jedną z najnowocześniejszych placówek w Europie”, przekonuje płk Gmurski.

Drawski poligon zyskuje nowe oblicze także dzięki „Resolute Castle”. „W ubiegłym roku Amerykanie przygotowali na przykład stanowisko do tankowania i załadunku amunicji do śmigłowców, zbudowali stanowiska do obracania pojazdów gaśnicowych czy 350-metrowy ruchomy cel na pasie ćwiczeń taktycznych Bucierz”, wylicza komendant poligonu. W tym rejonie strzelania do sterowanych radiowo obiektów wykonują pododdziały pancerne i zmechanizowane. W ramach projektu ruszyła budowa nowego obozowiska dla żołnierzy. Nad strzelnicą w zabudowaniach tzw. Mogadyszu, gdzie trenują oni walkę w mieście, powstało zadaszenie, a nowo wybudowane obiekty zostały podłączone do agregatów prądotwórczych. „Amerykańscy żołnierze pomagają nam





MARCIN CZERWIŃSKI / CSZWL W DRAWSKU

PRZEDSIĘWZIĘCIE POLEGA NA UNOWOCZEŚNIANIU POLIGONÓW W TEJ CZĘŚCI EUROPY. ZADANIE SPOCZYWA PRZED E WSZYSTKIM NA **WOJSKACH INŻYNIERYJNYCH**

przygotowywać infrastrukturę do wprowadzenia systemu symulacji pola walki. Współpraca układa się znakomicie”, zapewnia płk Gmurski.

Podobnie jest na poligonie w okolicach Żagania i Świątoszowa. Historia tego kompleksu sięga końca XIX wieku. Przez dziesięciolecia ćwiczyli tam Niemcy. W latach czterdziestych zdarzały się manewry, w których jednorazowo brało udział nawet kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Po Niemcach przyszła Armia Czerwona i ludowe Wojsko Polskie, wreszcie pojawili się tam żołnierze państw NATO. Dziś na terenie poligonu swoje obozowiska mają operujący na wschodniej flance NATO żołnierze armii USA. Pierwsza edycja „Resolute Castle” w okolicach Żagania odbyła się w 2018 roku. Przy okazji ćwiczeń amerykańskie i polskie oddziały inżynieryjne zajęły się poligonem. „Droga biegnąca w okolicach pasa taktycznego w Świątoszowie została dostosowana do zwiększonego ruchu”, tłumaczy mjr Marek Sobieszek, rzecznik komendanta Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Żaganiu. „Dziś poruszanie się po niej nie koliduje z prowadzonymi na pasie strzelaniami”, dodaje. Amerykanie zmodernizowali też drogę dla czołgów, która zaczyna się przy kolejowej rampie. Bardzo często włączają się w drobniejsze, wcześniej nieplanowane prace, które wykonują nasi żołnierze. Dla nich to też element szkolenia. No i korzyść, bo standard poligonu nawet dzięki takim drobiazgom się poprawia.

W tegorocznej edycji „Resolute Castle” weźmie udział w sumie 1,6 tys. Amerykanów. W Polsce współpracują oni m.in. z żołnierzami 5 Pułku Inżynieryjnego ze Szczecina. „Zamierzamy prowadzić u was prace budowlane z prawdziwego zdarzenia. Mamy tutaj swoje wojska, mamy sojuszników, z którymi ćwiczymy, dlatego odpowiednie przygotowanie poligonów to dla nas sprawa kluczowa. Nasi inżynierowie przygotowują już odpowiednie projekty techniczne”, podkreślał podczas inauguracji ćwiczeń w Żaganiu gen. bryg. Matthew Baker z 416 Oddziału Inżynieryjnego Rezerwy Armii Stanów Zjednoczonych.

MOST DO PRZYSZŁOŚCI

W ciągu najbliższych sześciu miesięcy w Żaganiu powstaną m.in. nowe magazyny. Część z nich zajmą Amerykanie. Drawski poligon wzbogaci się na przykład o dwa punkty tankowania, ruszy też budowa kolejnego ruchomego celu na strzelnicy dla wozów bojowych. Będzie prowadzona renowacja dróg i budowa obozowiska dla 1,2 tys. żołnierzy. „Takie działania będą w następnych latach kontynuowane”, zapowiada Elisia Lukasik i dodaje, że to doskonały sposób, by pogłębić integrację regularnej armii z jej rezerwami oraz Gwardią Narodową. A plany? W 2020 roku na poligonie w Drawsku zostanie przebudowany na przykład jeden z mostów. Kolejny projekt zakłada też budowę dwóch obozowisk, które w sumie pomieszczą 2,4 tys. żołnierzy. ■



Gen. bryg. **MATTHEW BAKER** z 416 Oddziału Inżynieryjnego Rezerwy Armii Stanów Zjednoczonych: „Zamierzamy prowadzić u was prace budowlane z prawdziwego zdarzenia. Mamy tutaj swoje wojska, mamy sojuszników, z którymi ćwiczymy, dlatego odpowiednie przygotowanie poligonów to dla nas sprawa kluczowa”.

KPR. SANDRA NAGOT



Data i miejsce urodzenia:

28 czerwca 1991 roku, Szczecin.

Tradycje wojskowe:

ppor. AK Irena Nagot (żołnierz Armii Krajowej), ppor. WP Aleksander Nagot (przeszedł cały szlak bojowy WP, odznaczony orderem wojskowym Virtuti Militari).

W wojsku

służy od:
2011 roku.

Zajmowane stanowisko:

dowódca wozu dowodzenia w 12 Batalionie Dowodzenia im. Ułanów Podolskich, 12 Szczecińska Dywizja Zmechanizowana.

EDUKACJA WOJSKOWA:

narodowe siły rezerwowe, Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych.

ZOSTAŁAM ŻOŁNIERZEM, BO:

o wojsku marzyłam już jako dziecko. Zawsze chciałam nosić mundur, służyć Polsce. Pasję do historii i do wojska zaszczepili we mnie moi dziadkowie. Babcia walczyła w Armii Krajowej, dziadek z kolei przeszedł cały szlak bojowy w Wojsku Polskim.

MOJE NAJWIEKSZE OSIĄGNIĘCIE:

jako pierwsza kobieta z mojej jednostki zdałam egzaminy wstępne do Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych, a po ukończeniu kursu zostałam mianowana na stopień kaprała.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

prywatnie – choroba taty i śmierć babci. Służbowo – przejście z korpusu szeregowego do podoficerskiego.

MISJE I ĆWICZENIA:

moją osobistą „małą misją” było reprezentowanie Wojska Polskiego na szkoleniu podoficerów w chorwackiej bazie w Splicie w 2018 roku oraz udział w zawodach Best Warrior Competition w USA stanu Illinois.



W CZASIE WOLNYM STARAM SIĘ
POMAGAĆ KOMBATANTOM,
BIORĄC UDZIAŁ W RÓŻNYCH
AKCJACH CHARYTATYWNYCH

HOBBY:



sport



podróże



muzyka



sztuki
walki



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. IRENEUSZ TOMASZEWSKI

Desant poza strefę komfortu

Celem ćwiczeń takich jak „Immediate Response ’19” jest nie tylko sprawdzenie logistyki w strukturach natowskich, lecz także jak najwierniejsze odwzorowanie pola walki.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Konflikt we wschodniej Ukrainie pokazał, że pomimo coraz większego zaawansowania techniki wojskowej żołnierze wciąż muszą być przygotowani na ataki klasycznej artylerii. Mowa tu nie tylko o salwie prowadzonej przez wrogie baterie, lecz także o pojedynczych, za to nękających nieustannie ostrzałach. Dziś można stwierdzić, że z działań w Donbasie wyciągnięto odpowiednie wnioski. Przykładem są ćwiczenia „Immediate Response ’19”. Według przygotowanego na tę okazję fikcyjnego scenariusza jeden z krajów sprzyjających NATO jest destabilizowany przez wrogie wojska oraz oddziały paramilitarne. Aby powstrzymać ten proces, polski Task Force (jedna z trzech batalionowych grup po-

wietrznodesantowych biorących udział w ćwiczeniach) musiał przerzucić żołnierzy, utworzyć wysuniętą bazę operacyjną oraz umożliwić przyjęcie dodatkowych sił, a następnie, przez zabezpieczenie kluczowych mostów, zapewnić im pełną manewrowość. Wymienione zadania stanowią podręcznikowy przykład wykorzystania sił powietrznodesantowych i dla żołnierzy z 6 Brygady Powietrznodesantowej nie są niczym nowym. Organizator ćwiczeń zadbał jednak o to, żeby czas spędzony na poligonach w Słowenii wpłynął na podniesienie umiejętności nawet najbardziej doświadczonych żołnierzy.

„Amerykanie położyli duży nacisk na rolę artylerii, zarówno jako zagrożenia, jak i narzędzia w walce. Byliśmy ostrzeliwani praktycznie przez



SEBASTIAN BRZEZINA / 6 BPD (2)

ZŁE WARUNKI ATMOSFE- RYCZNE MOGĄ UTRUDNIĆ NAWET NAJLEPIEJ ZAPLA- NOWANĄ OPERACJĘ POWIETRZNODESANTOWĄ, ALE JEJ POWODZENIE NIE ZALEŻY WYŁĄCZNIE OD POGODY

cały czas, a to najbardziej wrogie środowisko dla lekkiej piechoty, która nie ma żadnych pojazdów ani ochrony. W chwili ataku mogliśmy jedynie wgrzyźć się w ziemię”, stwierdza chor. Artur Zieliński z 6 Batalionu Powietrznodesantowego i zaznacza, że realizowanie zadań w takich warunkach wymaga wyspecjalizowanych pododdziałów rozpoznawczych. To właśnie one zbierają informacje o przeciwniku, wykrywają jego stanowiska ogniowe oraz naprowadzają na nie sojuszniczą artylerię. „Przez całe ćwiczenia nasze rozpoznawcze było nastawione właśnie na to. Dzięki tym pododdziałom mogliśmy wykonać główne zadanie”, podkreśla żołnierz.

W ciągu czterech dni walki spadochroniarze musieli opanować i obronić lotnisko oraz kluczowe dla operacji mosty kolejowe i drogowe. Główne zadanie wykonało około 350 żołnierzy z 6 Batalionu Powietrznodesantowego wzmocnionych

przez pluton wydzielony z włoskiej 185 Dywizji Spadochronowej „Folgore”. Nim jednak odbył się desant polskiej batalionowej grupy bojowej, na miejsce wysłano rozpoznawcze.

KROK PRZED WROGIEM

Złe warunki atmosferyczne mogą utrudnić nawet najlepiej zaplanowaną operację powietrznodesantową, ale jej powodzenie nie zależy wyłącznie od pogody. Przed głównym zrzutem w rejon działań musi trafić tzw. grupa awangardowa, której celem jest sprawdzenie oraz zabezpieczenie terenu. Zadanie to wykonali zwiadowcy z kompanii rozpoznawczej batalionu dowodzenia 6 Brygady. Swoją wysoką wartość udowodnili już w pierwszych godzinach misji. „Byliśmy jedynymi żołnierzami, którzy wówczas się desantowali. Pomimo bardzo trudnych warunków nasi zwiadowcy rozpoznali rejon lądowiska i szturmu



oraz przekazali wszystkie niezbędne informacje. Przez cały czas pozostali niewykryci”, wyjaśnia szef sekcji rozpoznawczej kpt. Marcin Drewnowski i zaznacza, że zadanie to utrudniał płaski i otwarty teren, charakterystyczny dla rejonów dużych lotnisk.

Misję komplikowały także siły OPFOR (przeciwnika), w które wcielili się słoweńscy żołnierze z 72 Brygady Zmechanizowanej. Ich zadaniem było jak najszybsze zlikwidowanie przyczółka desantowego. „Mamy ograniczone możliwości, ale nasi żołnierze są przygotowani do walki w takich warunkach. Przez cały czas improwizują. W wypadku powtarzających się ostrzałów artyleryjskich organizujemy patrole, które celowo narażają się na wykrycie. Dzięki temu siły przeciwnika myślą, że zajmujemy znacznie większy obszar niż w rzeczywistości”, podkreśla kpt. Drewnowski i dodaje, że zdecydowana większość jego żołnierzy dysponuje doświadczeniem zdobytym na misjach.

Procedury natowskie, w tym wzywanie ognia artyleryjskiego, są im doskonale znane. „Ta część ćwiczeń była dla nas jedynie przypomnieniem zagadnień, które wcześniej trenowaliśmy w boju. Mimo tego trzeba pamiętać, że od misji mija już niemal dekada. W tym czasie pole walki nieustannie się zmieniało. W Afganistanie walczyliśmy z przeciwnikiem, który nie dysponował zaawansowanym wsparciem logistycznym. Teraz musimy zakładać, że wrogi siły będą posiadać dobrze rozwiniętą artylerię”, tłumaczy oficer.

Rolę rozpoznania odgrywali także strzelcy wyborowi z 6 Batalionu Powietrznodesantowego. Jak sami mówią, są oni dodatkową parą oczu dowódcy, przygotowaną do działania w każdych warunkach. „W czasie ćwiczeń zakładaliśmy wysunięte posterunki obserwacyjne, z których wykrywaliśmy zagrożenie na danym kierunku oraz ubezpieczaliśmy siły własne, w tym plutony szturmowe. Wbrew powszechnemu wyobrażeniu, nie prowadziliśmy konwencjonalnej walki. Aby wykonać nasze zadania, musimy przeniknąć na teren kontrolowany przez nieprzyjaciela i przez cały czas pozostawać w ukryciu. Paradoksalnie zła pogoda nam sprzyjała”, tłumaczy dowódca sekcji strzelców wyborowych kpr. Tomasz Frączek i dodaje, że w misjach przeprowadzanych w czasie „Immediate Response” był również używany zaawansowany sprzęt. W prowadzeniu obserwacji pomagały przystawka termowizyjna na celownik optyczny Dragon i lornetka dalmierzowa Vector. Pododdziały rozpoznawcze zostały wyposażone

także w nowoczesne radiostacje Harris Falcon III. „Jako strzelec wyborowy korzystałem z tego sprzętu w Afganistanie – jest to jeden z najlepszych na świecie środków łączności, którym dysponują także siły specjalne. Zupełną nowością zaś były dla nas maty chroniące przed termowizją, którymi maskowaliśmy nasze posterunki. Rozwiązanie to dopiero trafia do naszego pododdziału, ale wiąże się ze swego rodzaju rewolucją”, zaznacza kpr. Frączek.

NIE PO RAZ PIERWSZY

Do zdobycia oraz utrzymania lotniska i mostów przyczynili się nie tylko żołnierze rozpoznania, lecz także saperzy. Odpowiadali oni za sprawdzenie, czy w obiektach są miny i inne przeszkody inżynierskie, oraz za ich neutralizację. Mimo olbrzymiej presji czasu i niesprzyjającej pogody wszystkie te zadania zostały wykonane zgodnie z planem. „W zawodzie sapera najważniejszy jest brak pośpiechu. Trudno uzyskać ten komfort podczas szturmów, dlatego trzeba iść na kompromis. I nie zapominać, że liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której schodzi ono na drugi plan”, podkreśla sierż. Jakub Kuźma, zastęp-



SEBASTIAN BRZEZIŃSKI / 6 BPD (3)



Polacy doskonale znają sposób działania kolegów z sojusznich armii i pracują z nimi jak równy z równym.



W CIĄGU CZTERECH DNI WALKI SPADO- CHRONIARZE MUSIELI OPANOWAĆ I OBRONIĆ LOTNISKO ORAZ KLUCZOWE DLA OPERACJI MOSTY KO- LEJOWE I DROGOWE

ca dowódcy plutonu saperów w 6 Batalionie Powietrznodesantowym. Twierdzi też, że podczas ćwiczeń największym utrudnieniem wcale nie były pola minowe ustawione przez przeciwnika. To właśnie dobre przygotowanie OPFOR oraz niemal nieustanny ostrzał artyleryjski czyniły pracę tak bardzo wymagającą. „Braliśmy udział w szturmie na most jako grupa torująca. Takie działania często są prowadzone pod ogniem i właśnie tak było tym razem. Ze względu na ostrzał artyleryjski musieliśmy dwukrotnie wycofywać się z mostu. Po jego zdobyciu przystąpiliśmy do zabezpieczenia, w tym rozbrajania min przeciwpancernych oraz przeciwpiechotnych”.

Wysokiej klasy specjaliści, tacy jak żołnierze rozpoznania czy saperzy, potrzebują do swojej pracy zaawansowanego wyposażenia. Ze względu na charakterystykę wojsk powietrznodesantowych, ekwipunek ten muszą oni nosić na plecach, co wiąże się z wieloma ograniczeniami. Z tego powodu sprzęt dzielony jest na poszczególne sekcje, a niektóre drużyny szkolone są w taki sposób, żeby przejąć część obowiązków i odciążać kolegów. Ostatecznie zdobyte umiejętności dopiero w połączeniu ze zdolnością do odnajdywania się w zupełnie nowych sytuacjach świadczą o sprawności spadochroniarzy.

Dlatego celem ćwiczeń takich jak „Immediate Response '19” jest nie tylko sprawdzenie logistyki w strukturach NATO, lecz także jak najwierniejsze odwzorowanie samego pola walki. W czasie ich trwania żołnierze muszą porzucić swoją strefę komfortu i stawić czoła niespodziewanym zdarzeniom. Spadochroniarze z 6 Brygady Powietrznodesantowej bez problemu przeszli ten test. „Doceniam ich wytrzymałość oraz umiejętność adaptacji. Przez całe ćwiczenia walczyli nie tylko z przeciwnikiem, lecz także z bardzo złą pogodą. Potrafili jednak wykonywać wszystkie zadania w wyznaczonym czasie”, przyznaje mjr Marcin Wilga, dowódca polskiego Task Force, dodając, że jego żołnierze nie po raz pierwszy szlifowali umiejętności wspólnie z amerykańską 173 Brygadą Spadochronową. Wcześniej robili to m.in. podczas ćwiczeń „Swift Response” oraz „Saber Strike”. Dzięki temu doskonale znają sposób działania kolegów ze Stanów Zjednoczonych i pracują z nimi jak równy z równym. „Nasze procedury operacyjne na poziomie taktycznym są tożsame, bez problemu działamy także w środowisku, w którym trzeba porozumiewać się w języku angielskim. Udowodniliśmy, że jesteśmy w stanie prowadzić operację w dowolnym miejscu w Europie wspólnie z wojskami amerykańskimi”, podsumowuje mjr Wilga. ■

CZARNA TAKTYKA
TO RODZAJ SPECJALNEJ TAKTYKI,
KTÓRĄ WYKORZYSTUJE SIĘ
W CZASIE DZIAŁANIA
W TERENIE ZURBANIZOWANYM,
GŁÓWNIEM PODCZAS AKCJI
BEZPOŚREDNICH. CHODZI TU
M.J.N. O OPERACJE ANTYTERRORY-
STYCZNE, ZATRZYMYWANIE LUDZI
UKRYWAJĄCYCH SIĘ W POMIESZCZE-
NIACH, UWALNIANIE ZAKŁADNIKÓW,
SZTURMOWANIE BUDYNKÓW.

SZTURM na miasto

Po tygodniach spędzonych
w lasach ruszyli w miasto...
Żołnierze Jednostki Wojskowej Agat
szkolili się z czarnej taktyki.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
EWA KORSAK

Bazowe szkolenie żołnierzy Agatu – tych, którzy chcą służyć w zespołach bojowych – zmierza do finału. Po miesiącach nauki podstaw działania szturmiana do końca dotarło nieco ponad 20 żołnierzy. Niemal tyle samo zostało z „bazówki” wyrzuconych. Dlaczego? Instruktorzy twierdzą, że zbyt wolno się uczyli, nie potrafili współdziałać w grupie, osiągnęli słabe wyniki w strzelaniu, nie radzili sobie ze skupieniem, zmęczeni nie potrafili podejmować właściwych decyzji oraz łamali zasady bezpieczeństwa podczas zajęć.

„Nie zależy nam na tym, by wyrzucać kursantów. Ale jeżeli żołnierze nie stosują się do naszych uwag, ignorują wskazówki i dalej popełniają błędy, to wiemy, że zespół bojowy nie jest miejscem dla nich. Nie każdy musi być operatorem”, podkreśla „Dziku”, jeden z instruktorów kursu szkolenia bazowe-

go. „Zdecydowana większość z tych, którzy dotrwali do czarnej taktyki, dobrze rokuje. Są wśród nich zmotywowani, mądrzy ludzie, którzy wiedzą, po co tu przyszli. Nie marnują czasu ani swojego, ani naszego”, dodaje instruktor.

O GŁODZIE I CHŁODZIE

W jednostce Agat „bazówka” trwa ponad pół roku i składa się z dwóch części. „Program szkolenia podstawowego jest tak ułożony, by żołnierze poznali niezbędne zagadnienia dotyczące taktyki wojsk specjalnych. Dlatego znalazły się w nim: zajęcia z medycyny pola walki, taktyka zielona, taktyka czarna i działania w górach, a także zajęcia ogniowe”, wymienia ppłk Paweł Probiez, szef szkolenia JW Agat. Oficer wyjaśnia: „Operator musi dobrze posługiwać się bronią, znać obowiąz-

jące procedury, szyki. Ma wiedzieć, w jaki sposób działać w lesie, a jak w terenie zurbanizowanym, gdzie trzeba znać zasady poruszania się pomiędzy budynkami oraz wewnątrz pomieszczeń”.

Skąd taka potrzeba? Po co wyposażonej w ciężkie wozy bojowe M-ATV, najmłodszej jednostce wojsk specjalnych, znajomość taktyki zielonej czy czarnej? Instruktorzy wyjaśniają, że w realnych działaniach zespoły bojowe Agatu mają stanowić wsparcie dla operatorów GROM-u, komandosów z Lublińca i żołnierzy Formozy. „Każda z tych jednostek jest przygotowana do działania w różnym środowisku. GROM specjalizuje się w czarnej taktyce, JWK zarówno w czarnej, jak i w zielonej. My musimy znać techniki każdej z nich, by rzeczywiście być pomocnymi w czasie działania”, wyjaśnia ppłk Probiez. Dlatego już na szkoleniu bazowym przyszły operator zespołu bojowego Agatu otrzymuje podstawową wiedzę o każdej taktyce działania polskich jednostek specjalnych. „Do zespołu trafia z wiedzą ogólną, potem kontynuuje szkolenie w konkretnych specjalizacjach i zgrywa się z zespołem”, wyjaśnia jeden z instruktorów.

Diennikarze „Polski Zbrojnej” obserwowali tylko dwa z kilku etapów szkolenia bazowego. Pierwszy raz spotkaliśmy żołnierzy z „bazówki” w czasie zajęć ogniowych. Spędzali kilka, czasami kilkanaście godzin dziennie, mierząc do celów z różnego rodzaju broni. Szkolenie było bardzo wyczerpujące. Pomiedzy oddawaniem kolejnych strzałów robili pompki, przysiady, biegali z obciążeniem. Wszystko po to, by instruktorzy mogli sprawdzić, jak kursanci zachowują się, gdy są zmęczeni. „Łatwo jest trafiać do celu, gdy jesteś wyparty i najedzony. Kiedy organizm spali już zapas kalorii, a oczy same zamykają się do snu, trudniej o koncentrację. A my właśnie wtedy chcemy ją sprawdzać”, mówi jeden z instruktorów.

O szkoleniu z zielonej taktyki opowiadał nam „Lesiu”, jeden z instruktorów „bazówki”: „To kilka tygodni spędzonych w lesie, nauka rozpoznania, poruszania się w terenie kontrolowanym przez przeciwnika i planowanie operacji bezpośrednich”. Instruktorzy mówią, że było to szkolenie bardzo trudne ze względu na panujące warunki. Łał deszcz, więc właściwie przez cały czas kursanci byli przemoczeni, spali w mokrych ubraniach. Do tego dźwigali ciężkie plecaki, oporządzenie oraz broń. „Sen i jedzenie odkłada się wtedy na później”, mówili instruktorzy. Mimo tego musieli zachować skupienie i precyzyjnie planować operacje specjalne, a potem je prowadzić. W ten sposób po raz kolejny instruktorzy sprawdzali odporność psychiczną żołnierzy

Zanim wejdą do budynku, panuje cisza. Żołnierze porozumiewają się za pomocą gestów, pokazują dłońmi ustalone znaki.

„BAZÓWKA” SPECJALSÓW

Każda jednostka wojsk specjalnych ma odrębnie opracowany program szkolenia bazowego dla przyszłych operatorów. Elementarne zasady są zbieżne niezależnie od charakteru jednostki specjalnej. Występują jednak różnice, np. w długości trwania kursu czy w detalach – jedna jednostka prowadzi szkolenie spadochronowe w ramach „bazówki”, inna dopiero po niej. To ma się jednak zmienić. W Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych trwają prace nad programem kursu bazowego, który miałby obowiązywać we wszystkich jednostkach tego rodzaju sił zbrojnych. ■

W czasie szkolenia poruszają się powoli, bo pośpiech nie jest tu wskazany.

Trwającą kilka minut operację powtarzają kilkanaście razy dziennie. Za każdym razem jest coś do poprawienia.

W REALNYCH DZIAŁANIACH ZESPOŁY BOJOWE AGATU MAJĄ STANOWIĆ WSPARCIE DLA OPERA- TORÓW GROM-U, KOMANDOSÓW Z LUBLIŃCA I ŻOŁNIERZY FORMOZY

MICHAŁ NIWICZ

Spędzali kilka, czasami kilkanaście godzin dziennie, mierząc do celów z różnego rodzaju broni.

oraz koncentrację na zadaniu, nawet gdy zmęczenie dawało się we znaki. „O tak, zielona była udręka”, wspomina „Daro”, jeden z kursantów. „Spędzaliśmy praktycznie cały czas w lesie, działaliśmy bez odpoczynku, a jeżeli już się zdarzyła chwila oddechu, to pod chmurką. Nie było łatwo, chociaż okazało się, że do wszystkiego można się przyzwyczaić”, mówi przyszły operator zespołu bojowego. W skupieniu pomagały myśli o tym, że jest zadanie do zrobienia, że odpowiada się już nie tylko za siebie, ale za cały zespół. „Ostatnie, czego chciałem, to spowolnić grupę albo stać się dla niej ciężarem”, mówi „Daro”.

KOLEJNE SCHODY

Ponownie spotkaliśmy się z żołnierzami z „bazówki” na szkoleniu z czarnej taktyki, które odbywało się na poligonie w Wędrzynie. W pustostanach, w piwnicach i na strychach poznawali techniki opanowywania budynków oraz planowania takich operacji. „Stopniujemy trudności. Na początku prowadzimy proste operacje, takie jak wejście w parze do parterowego budynku. Potem sytuacja robi się bardziej skomplikowana: mamy schody, piętro, klatkę schodową, piwnicę albo ciemny korytarz. Z czasem żołnierze wchodzi już nie we dwóch, ale większymi grupami”, tłumaczy „Lesiu”. W czasie szkolenia poruszają się powoli, bo pośpiech nie jest tu wskazany. Muszą zachować czujność, obserwować sąsiednie budynki, patrzeć na okna, balkony, drzwi. Znaleźć miejsca, w których może kryć się niebezpieczeństwo.

Zanim wejdą do budynku, panuje cisza, żołnierze niemal do siebie nie mówią, porozumiewają się za pomocą gestów, pokazują dłońmi ustalone znaki. Ciszę przerywa huk wybuchu ładunku podłożonego przez jednego ze szturmaków pod drzwiami. Siła eksplozji sprawia, że drzwi wypadają z zawiasów. Żołnierze wchodzi do środka i kolejno sprawdzają pomieszczenia. Słychać strzały, a chwilę później kolejny wybuch. Z okien wydostają się kłęby kurzu...

Trwającą kilka minut operację powtarzają kilkanaście razy dziennie. Za każdym razem jest coś do poprawienia. Wskazówek udzielają instruktorzy, którzy obserwują żołnierzy. Zwłaszcza od chwili, gdy zaczęli oni używać ostrej amunicji. „Jesteśmy z nimi cały czas. Sprawdzamy, czy nie panikują przed oddaniem strzału ostrą amunicją, czy zachowują właściwe kąty celowania, czy nie łamią procedur bezpieczeństwa”, mówi „Dziku”.

O szkoleniu z ostrą amunicją mówią przyszli żołnierze zespołów bojowych: „Staramy się skupiać nie tylko na tym, co sami robimy, lecz także na działaniach kolegów. Jeśli komuś nie idzie, to pojawia się stres. Nie jest to komfortowe, że ma cię ubezpieczać ktoś, kto sobie nie radzi z bronią. Tu musi być pełne zaufanie”, przyznaje jeden ze szkolonych.

Żołnierze uczą się, jak zakładać materiały wybuchowe. „Sprawdzamy ich reakcję na wybuch i falę uderzeniową. Trzeba się z tym oswoić, wiedzieć, jak się zachować”, dodaje instruktor. Te zajęcia dla niektórych żołnierzy okazały się jednymi z cięższych. Trudno było utrzymać koncentrację, gdy poziom adrenaliny rósł z każdą sekundą przybliżającą ich do eksplozji. „Gdy dochodzi do wybuchu w pomieszczeniu, czuć, jak fala uderzeniowa przeszywa całe ciało. Trudno złapać oddech, wszędzie jest pył i dym. Czy da się z tym oswoić? Nie wiem. Ale na pewno z czasem jest łatwiej. Kwestia treningu”, mówi „Daro”.

Według instruktorów szkolącym się żołnierzom mogą sprawiać problem nie tylko wybuchy i działanie z ostrą amunicją. „Skupienie się na zadaniu, gdy wykonujesz je setny raz, gdy jesteś zmęczony i głodny, nie jest łatwe. Niektórzy na przykład muszą popracować nad swoją spostrzegawczością, bo trudno im dostrzec niebezpieczeństwo w długim, ciemnym korytarzu. Każdy z nich jest inny, a my jesteśmy od tego, by wyrównać ich poziom umiejętności. Na tym polega »bazówka«”, mówi „Dziku”.

Pokażcie, co potraficie

Z Tuffem i Gringo, pilotami 7 Eskadry Działań Specjalnych, którzy szkolą Afgańczyków w lataniu na Mi-17, rozmawia Ewa Korsak.

Aby rozpocząć szkolenie afgańskich pilotów, musieliście zdobyć amerykańskie uprawnienia instruktorskie, przejść wiele szkoleń... Co było dla was najtrudniejsze?

Tuff: W Afganistanie służymy w amerykańskim Special Operations Advisory Team [Grupa Doradcza Operacji Specjalnych]. Dlatego musieliśmy mieć amerykańskie uprawnienia instruktorów lotów na Mi-17. Kiedy oceniali nas Amerykanie, największym kłopotem było... no cóż, własne ego (śmiech). Przylecieliśmy do Afganistanu jako doświadczeni piloci, w kraju mamy uprawnienia instruktorskie, szkolimy młodszych kolegów. A tu słyszymy: „Hola, hola! Dla nas na razie nie jesteście żadnymi instruktorami. Pokażcie, że coś potraficie!”.

Gringo: Amerykanie wiedzieli, że mamy odpowiednie umiejętności, w końcu z jakiegoś powodu wyznaczono nas jako kandydatów do tej służby, ale jest coś takiego, jak przepisy dotyczące lotów armii USA. To z nich korzystamy w czasie szkolenia w Afganistanie, a nie z polskich regulacji.

Na czym polegało to szkolenie?

Tuff: Było dość długie i wcale nie takie łatwe. Mnóstwo teorii, a potem kilkadziesiąt godzin spędzonych w Mi-17 z instruktorem.

Gringo: Amerykanie nie pozwalają korzystać ze swojego sprzętu ludziom, których nie

sprawdzili, którym nie ufają, którzy nie znają procedur. Jest to absolutnie zrozumiałe. Dlatego byliśmy egzaminowani. Sprawdzali nie tylko nasze umiejętności lotnicze. Trzeba pamiętać, że jesteśmy tam po to, by szkolić, więc musieli też ocenić, czy potrafimy przekazywać wiedzę. Komunikacja w kabinie odbywała się po angielsku. Pilnowano, by była zrozumiała dla Afgańczyków i kładziono na to duży nacisk.

Tuff: Ten wysiłek się opłacił. Jesteśmy pierwszymi w Polsce wojskowymi pilotami śmigłowców z amerykańskimi uprawnieniami instruktorskimi. Dla nas to wielkie wyróżnienie, satysfakcja i duma.

7 ESKADRA DZIAŁAŃ SPECJALNYCH

Powstała w 2011 roku. Jej piloci wspierają żołnierzy wojsk specjalnych podczas wykonywanych przez nich operacji. Praktycznie żadna akcja specjalsów nie może odbyć się bez wsparcia śmigłowców. Piloci, którzy służą w 7 Eskadrze Działań Specjalnych, mają duże doświadczenie bojowe zdobyte na misjach w Iraku i Afganistanie. Muszą przywyknąć do stresu, adrenaliny oraz ciemności, która panuje niemal zawsze, gdy wykonują zadania z wojskami specjalnymi.

Wasze umiejętności są potrzebne Afgańczykom? Piloci z 777th Special Mission Wing od kilku lat wykonują operacje specjalne, na pewno znają swój fach. Po co im wasza pomoc?

Tuff: To prawda, Afgańczycy to wyszkoleni piloci bojowi. Kilku z tych gości naprawdę imponuje swoimi umiejętnościami taktycznymi. Mam wrażenie, że i my moglibyśmy się czegoś od nich nauczyć. W szkoleniu pilotów istotny jest jednak cykl treningowy, czyli ciągle doskonalenie umiejętności podstawowego pilotażu. Oni o tym zupełnie zapomnieli.

Gringo: Nie uczymy ich taktyki, bo nie ma takiej potrzeby. Mają za sobą pewnie nie kilkadziesiąt, lecz kilkaset misji, ale



w ostatnim czasie zdarzały się tam wypadki. Amerykanie doszli do wniosku, że afgańscy piloci potrzebują treningów.

Tuff: Kiedy więc dostaliśmy pod opiekę pilotów, powiedzieliśmy im: „Jesteście super, macie doświadczenie bojowe, ale musicie wrócić do podstaw, do najprostszych manewrów”. Postawiliśmy sobie za cel, żeby oni nie tylko przypomnieli sobie podstawowe zasady, lecz także odzyskali radość z latania. Mieliśmy wrażenie, że to już ich nie kręci. Nic dziwnego. Gdy lecisz na zadanie, to niemal zawsze wygląda to tak samo: start, lot po prostej, potem kilkanaście trudnych minut, kiedy żołnierze wykonują zadanie, i znowu powrót – lot po prostej. Pokazujemy im, że latanie to nie nuda. Podczas treningu z nami, który trwa trzy godziny, te „trudne kilkanaście minut” trwa non stop. Ale szkolenie zaczynamy na ziemi.

Prowadzicie zajęcia teoretyczne?

Tuff: Tak, dotyczą np. przepisów IFR [Instrument Flight Rules], sytuacji awaryjnych oraz kluczowej w lotnictwie aerodynamiki. Odkryliśmy też przed nimi na nowo symulator Mi-17! To jest jeden z naszych sukcesów: przekonaliśmy Afgańczyków do używania symulatorów, które mają w swojej jednostce. Wcześniej szukali tysiąca wymówek, by nie trenować. Od trzech miesięcy do symulatora ustawiają się kolejki. Amerykanie, którzy obsługują maszynę, byli w szoku, że przez tyle lat nikt z niej nie korzystał. A teraz, proszę, non stop zajęte. Nawet gdy nas tam nie ma, Afgańczycy sami przychodzą w wolnych chwilach.

Jak to zrobiliście?

Gringo: Skorzystaliśmy z zasady numer jeden w szkoleniu – musisz być świetny w tym, czego chcesz nauczyć. Afgańczycy są uważnymi obserwatorami, dostrzegą każdy, nawet najmniejszy błąd, brak jakiegokolwiek umiejętności, pomyłkę. Kiedy więc zaczynaliśmy zajęcia na symulatorach, sprawdzali nas non stop, mówiąc: „Dobra, dobra, najpierw ty to zrób, pokaż nam, udowodnij, że się da”. I kiedy udowodniłem, że umiem, że wiem, co mówię, dopiero wtedy sami zaczęli próbować.

Tuff: Bardzo się cieszymy, że tak świetnie weszli w szkolenie symulatorowe, bo ono jest dla pilota

ZASADA NUMER JEDEN W SZKOLENIU? MUSISZ BYĆ ŚWIETNY W TYM, CZEGO CHCESZ NAUCZYĆ!

bardzo ważne. Pamiętam, że jeszcze trzy miesiące temu, gdy podczas symulowanego lotu mieli zareagować na awarię, byli tak przerażeni i zdenerwowani, że wychodzili cali spoceni oraz – co gorsza – zrezygnowani. Teraz? Programujemy im na jeden lot kilka awarii i dają radę. To cieszy.

Czy trudno współpracuje się z Afgańczykami?

Gringo: Nie, to nie jest trudne. Trzeba się jednak trochę o sobie nawzajem dowiedzieć. W tym, abyśmy poznali Afgańczyków, ich kulturę, to jak się komunikują, mieli udział Amerykanie. Kiedy wspólnie lataliśmy śmigłowcem, oni zachowywali się tak, jak mogliby się zachować Afgańczycy. Lecimy sobie spokojnie, ja w roli instruktora. Delikatnie dotykam drążka sterowania, by pomóc kursantowi, a ten nagle... puszcza stery! Dlaczego? Co się dzieje?! Okazuje się, że dotknięcie sterów w takim wypadku jest dla Afgańczyków oznaką braku zaufania. Trzeba więc wyjaśnić sytuację w rozmowie, ale nie wyręczać w pilotowaniu. Albo podczas lotu instruktor, który wcielał się w rolę Afgańczyka, bez przerwy, na każde moje słowo odpowiadał tylko „roger”, czyli „okej, przyjąłem”. Widać było, że nie rozumie, co do niego mówię, i tylko przytakuje. Cokolwiek powiedziałem odpowiadał „roger”. Afgańczycy to bardzo dumny naród i trudno im się przyznać, że czegoś nie rozumieją. Trzeba to wyłapywać i reagować.

Tuff: Trudno im się przyznać, że mają jakieś braki w wiedzy. A przecież nie ma w tym nic złego,





GRINGO – pilot-instruktor 7 Eskadry Działających Specjalnych. Jego nalot ogólny wynosi około 1500 godzin, na lotach w Mi-17 spędził około 900 godzin.

TUFF jest pilotem-instrukctorem w 7 Eskadrze Działających Specjalnych. Nalot na Mi-17 – około 700 godzin.

nikt nie jest ideałem. Poznaliśmy pewnego pilota, który w czasie rozmów kreował się na mistrza. Opowiadał nam, czego to on nie robił, jak to on nie lata. Można by pomyśleć, że to jakiś prawnik Jana Zumbacha [polski as lotnictwa, pilot Dywizjonu 303]. Już symulator zweryfikował jego umiejętności. My pokazaliśmy, że wiemy, o czym mówimy, więc przyjął to ze spokojem. Imponowała mu nasza wiedza i nawet powiedział, że to fajna sprawa, że się nią z nimi dzielimy.

Szybko was zaakceptowali?

Tuff: Tak, ale nie przyszło to łatwo. Na przykład trudno było im przyjąć, że szkolą ich ludzie niżsi stopniem. Musieliśmy im więc wyjaśnić, że w tym wypadku stopień nie ma znaczenia, że mamy duże doświadczenie. I faktycznie ostatecznie przekonali ich nasze umiejętności. Wszystko, czego uczyliśmy – każdy manewr – najpierw sami im pokazywaliśmy. Dopiero wtedy się w to angażowali.

Gringo: Myślę, że ważna jest również komunikacja. Chyba idzie nam nieco lepiej niż naczom, dla

których angielski jest językiem ojczystym. Zarówno dla nas, jak i dla Afgańczyków to drugi język. Używamy więc prostych słów, nieskomplikowanych zdań, komunikaty są proste i konkretne. Co ciekawe, zauważyliśmy, że popełniamy takie same błędy językowe jak Afgańczycy.

Szkolicie Afgańczyków codziennie od czterech miesięcy. Czy widzicie efekty tej pracy?

Tuff: No jasne. Efekty regularnych treningów, za które oni zresztą są bardzo wdzięczni, są rewelacyjne. Po pierwsze, podnieśli swoje umiejętności, a po drugie, wydaje nam się, że zaczynają mieć frajdę z latania. Jesteśmy dumni z tego, że się do tego przyczyniliśmy.

Gringo: Kiedy zaczynaliśmy, żaden z afgańskich pilotów nie potrafił wykonać lądowania autorotacyjnego. Teraz na dziesięć takich manewrów poprawnie wykonują aż cztery. Dla mnie to wielki sukces. Najfajniejsze jest to, że mamy wspólne założenie: w czerwcu poprawnie będą wykonywać osiem na dziesięć lądowań w autorotacji.

Stoić za tym sukcesem! Czy wykorzystujecie w swojej pracy rozwiązania, które już tam zastaliście?

Tuff: Nie! Nasz plan treningowy jest pierwszy w historii afgańskich sił powietrznych. Nigdy wcześniej nie było czegoś takiego. Piloci kończyli szkolenie podstawowe i szli do zadań, nie kontynuując już nigdy treningu.

Gringo: Nie wiemy, jak będzie, kiedy wylecimy z Afganistanu, więc wspólnie z Amerykanami kręcimy film o sytuacjach awaryjnych, który będzie materiałem instruktażowym dla miejscowych. Zabrzmi mało skromnie, ale wiemy, że jest tu o nas głośno, że nasza praca jest ceniona. Amerykanie chcą nam przyznać Army Commendation Medal [jedno z najwyższych odznaczeń nadawanych obcokrajowcom przez armię amerykańską].

Tuff: Jesteśmy dumni. Widzimy efekty naszej pracy i jesteśmy z nich zadowoleni. Pewnie wyjdzie na to, że zadzieramy nosa. Ale mamy powody: robimy tu naprawdę kawał fajnej, wszystkim potrzebnej roboty. ■



Prawa ręka oficera

Jednostka Wojskowa Komandosów jako pierwsza w wojskach specjalnych wprowadziła stanowiska starszych podoficerów dowództwa nie tylko na poziomie sztabu jednostki, lecz także w zespołach bojowych.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Zamysł, by w lublinieckiej jednostce specjalnej uzupełnić podoficerski łańcuch dowodzenia powstał prawie trzy lata temu. W Jednostce Wojskowej Komandosów (JWK) służył już starszy podoficer dowództwa, byli też specjaliści w grupach specjalnych, ale brakowało jeszcze ogniwa pośredniego, czyli starszych podoficerów na poziomie zespołów bojowych. Wybrano ich dwa lata temu. Pomysł okazał się trafiony, dlatego Dowództwo Komponentu Wojsk Specjal-

nych (DKWS) rozważa, by również pozostałe jednostki wprowadziły go w życie.

INNE NAZEWNICTWO, TE SAME ZADANIA

Parę lat temu na spotkanie z podoficerami starszymi ze stanu Illinois w USA, którzy gościli w JWK, przyjechali podoficerowie z DKWS-u oraz podległych mu jednostek. Dyskutowano wtedy m.in. o zadaniach i odpowiedzialności żołnierzy tego korpusu. „Jeden z Amerykanów wspominał

W STANACH ZJEDNOCZONYCH JUŻ DAWNO PRZYJĘTO ZASADĘ, ŻE TO PODOFICEROWIE ODPOWIADAJĄ ZA DYSCYPLINĘ I ZARZĄDZANIE ŻOŁNIERZAMI NIŻSZYCH KORPUSÓW

historię sprzed kilku lat. Kiedy był w Polsce na jakimś szkoleniu, miał współpracować z polskim plutonem wojsk lądowych. Chciał zatem ustalić sprawę dotyczące przebiegu szkolenia i zwrócił się do najstarszego stopniem podoficera. Chorąży skierował go jednak do młodego podporucznika”, opowiada st. chor. sztab. Adam Kraszewski „Kraszan”, starszy podoficer dowództwa JWK.

Chorąży zwraca uwagę, że w Stanach Zjednoczonych już dawno przyjęto zasadę, że podoficerowie odpowiadają za dyscyplinę, zarządzanie żołnierzami niższych korpusów i za szkolenie, oficerowie są natomiast od dowodzenia. „Podczas tego spotkania wspominałem, że w wojskach specjalnych – podając jako przykład Jednostkę Wojskową Komandosów – też jest luka w systemie. Mieliśmy starszego podoficera w dowództwie, podoficera specjalistę w grupie specjalnej, ale nie było takiego stanowiska przy dowódcy zespołu bojowego”, mówi „Kraszan” i dodaje: „Moim celem jako starszego podoficera dowództwa JWK było uzupełnienie tego ognia. Cieszę się, że moją wizję podzielał dowódca”.

Podoficerski łańcuch wsparcia w JWK uzupełniono w czerwcu 2017 roku. W każdym z zespołów bojowych stworzono etat dla starszego podoficera, który miał być prawą ręką dla swojego dowódcy. „Postawiliśmy na ludzi z doświadczeniem w działaniach poza granicami kraju oraz w dowodzeniu. Szukaliśmy podoficerów, którzy cieszą się zarówno szacunkiem wśród kolegów, jak i uznaniem przełożonych”, podkreśla płk Michał Strzelecki, dowódca Jednostki Wojskowej Komandosów.

Oficer wyjaśnia jednocześnie, że zespół bojowy w wojskach specjalnych jest odpowiednikiem batalionu w innych rodzajach sił zbrojnych, a zgodnie z obowiązującymi w armii przepisami w samodzielnym batalionie (np. w wojskach lądowych) istnieje stanowisko starszego podoficera dowództwa. „Przepisy nie pozwoliły nam jednak opisać tego stanowiska nazwą »starszy podoficer dowództwa zespołu bojowego«, więc oficjalna nazwa brzmi »podoficer specjalista«, tłumaczy płk Strzelecki.

Stanowisko to zajmuje podoficer starszy, od stopnia chorążego do starszego chorążego sztabowego, i podlega on bezpośrednio dowódcy ze-

społu bojowego. Wypełnia takie same zadania jak etatowy starszy podoficer dowództwa JWK. „Różnica dotyczy jedynie terytorialnego zasięgu jego władzy: zakres obowiązków obejmuje tylko sprawy szeregowych i podoficerów w pododdziałach, w których słu-

ży”, uzupełnia dowódca komandosów.

W Jednostce Wojskowej Komandosów najwięcej stanowisk zaszerogowanych jest do stopni podoficerskich. Wśród operatorów z grup specjalnych i wsparcia, wchodzących w skład zespołów bojowych, około 10% to oficerowie. Jak wyjaśnia dowódca, takie rozłożenie etatów ma związek z przeznaczeniem jednostki. „Szkolimy żołnierzy i funkcjonariuszy w kraju i za granicą. Dlatego operator JWK powinien być przygotowany, by występować zarówno w roli instruktora, jak i doradcy dowódcy partnerskiego pododdziału podczas działań bojowych. A gdy zajdzie taka potrzeba, musi być gotów dowodzić także samodzielnym pododdziałem złożonym z sił miejscowych”, mówi płk Strzelecki.

Pośród najbardziej doświadczonych podoficerów JWK wybrano kilku, którzy zajęli nowe stanowiska. „Z wyborem nie mieliśmy problemów. U nas jest wielu doświadczonych ludzi, którzy od lat służą w tej jednostce. Niektórzy nawet szkolili i przygotowywali do służby obecnych dowódców zespołów bojowych. To żołnierze po misjach, sprawdzili się w walce, znają doskonale język i potrafią dowodzić w działaniach bojowych”, potwierdza „Kraszan”.

CZŁOWIEK ORKIESTRA

Darek jest już po czterdziestce. Ma za sobą 25 lat służby i sześć misji zagranicznych, w tym jedną w Iraku, pięć w Afganistanie. Od 1994 roku związany jest z jednostką w Lublińcu, początkowo jako żołnierz służby zasadniczej, potem nadterminowej i kontraktowej. Dziś jest w stopniu starszego chorążego sztabowego. Przez wiele lat był operatorem w zespole bojowym, zajmował się także szkoleniem komandosów. Od dwóch lat jest starszym podoficerem dowództwa zespołu bojowego C.

Podoficer obserwował kolejne transformacje lublińskiej jednostki – z batalionu szturmowego, przez pułk specjalny, aż do JWK. Obserwował, jak



St. chor. sztab. ADAM KRASZEWSKI: „W wojskach specjalnych mieliśmy starszego podoficera w dowództwie, podoficera specjalistę w grupie specjalnej, ale nie było takiego stanowiska przy dowódcy zespołu bojowego”.



przebiegało uzawodowienie w Lublińcu, brał udział w selekcji i w pierwszym w kursie bazowym. Ma kwalifikacje instruktora spadochronowego, a w przeszłości szkolił przyszłych operatorów z takich dziedzin jak strzelectwo, czarna i zielona taktyka. Kiedy tak naprawdę poczuł się komandosem? „Swego rodzaju przełomem była dla mnie misja w Afganistanie, zwłaszcza lata 2009–2013. Wtedy zrozumiałem, do czego tak naprawdę można wykorzystać siły specjalne i jakie to może być precyzyjne narzędzie w walce. Wiedziałem, że robimy naprawdę dobrą robotę”, podkreśla.

W 2010 roku brał udział m.in. w operacji pojmania mułły Dawooda, jednego z najgroźniejszych terrorystów. Przywódca talibów był na liście najbardziej poszukiwanych rebeliantów, tzw. JPTEL (Joint Prioritized Effects List). Darek uczestniczył także w likwidacji składów broni i neutralizacji materiałów wybuchowych oraz brał udział w operacji specjalnej, w której wyniku zatrzymano rebeliantów odpowiedzialnych za zamach na pięciu polskich żołnierzach w grudniu 2011 roku. Dużo czasu poświęcał także na szkolenie antyterrorystów z PRC Ghazni (Provincial Response Company), tzw. Afgańskich Tygrysów. „To nie było łatwe zadanie, ale wiem, że było warto. Afgańczycy przeprowadzili wiele udanych operacji antyterrorystycznych i uratowali życie wielu osobom. Od początku mieliśmy świadomość, że musimy się do szkolenia przyłożyć, bo im więcej oni będą umieli, tym my będziemy bezpieczniejsi”, mówi Darek.

Czy Afganistan go zmienił? „Na pewno zahartował, wiele mnie nauczył jako żołnierza. Niektórzy mówią, że trochę mniej się teraz uśmiecham”, przyznaje. Podoficer w czasie XIII zmiany dowodził operacją, podczas której oddział polskich i afgańskich specjalsów wpadł w zasadzkę. W wyniku wybuchu podłożonego ładunku wielu żołnierzów było rannych, zginął wtedy st. chor. sztab. Mirosław Łucki „Miron”. Darek do Afganistanu wrócił po dwóch latach. Pod Hindukuszem służył jeszcze dwukrotnie w ramach misji „Resolute Support”.

„Darek ma duże doświadczenie i wiedzę, był więc naturalnym kandydatem na stanowisko starszego podoficera zespołu bojowego C. Cieszy się szacunkiem kolegów, jest doceniany przez dowódców”, potwierdza „Kraszan”. Dowódca zespołu C, otwarcie przyznaje, że nie wyobraża sobie powrotu do sytuacji sprzed dwóch lat, bo starszy podoficer jest mu bardzo potrzebny. „Przyznaję, że początkowo byłem sceptycznie nastawiony do tej nowej funkcji, bo u nas przyjęte jest bardziej dowodzenie jednoosobowe. Z czasem

W LUBLINIECKIEJ JEDNOSTCE NAJWIĘCEJ JEST STANOWISK DLA PODOFICERÓW. WŚRÓD OPERATORÓW Z GRUP SPECJALNYCH I WSPARCIA W ZESPOŁACH BOJOWYCH OFICEROWIE STANOWIĄ OKOŁO 10%



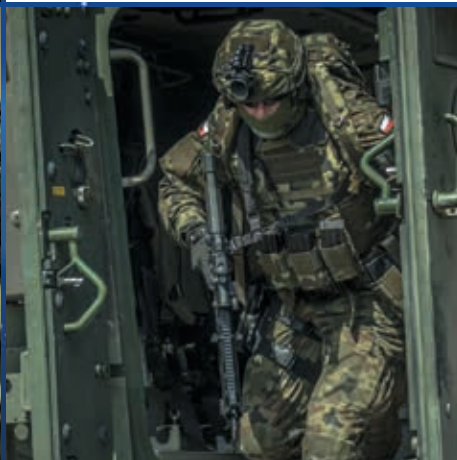
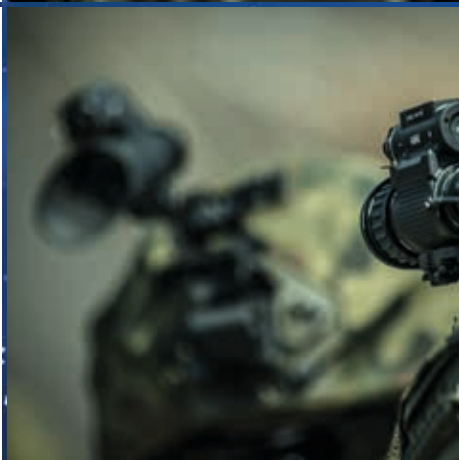
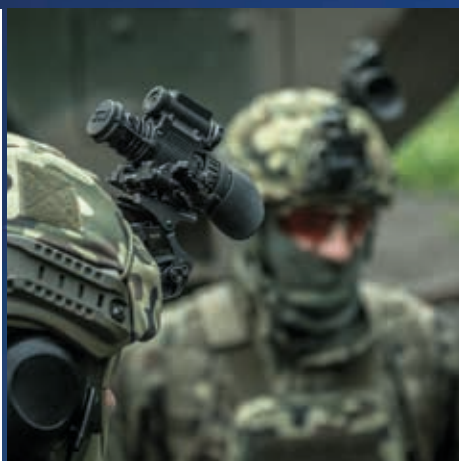
Płk MICHAŁ STRZELECKI: „Postawiliśmy na ludzi z doświadczeniem w działaniach poza granicami kraju oraz w dowodzeniu. Szukaliśmy podoficerów, którzy cieszą się szacunkiem wśród kolegów i uznaniem przełożonych”.

jednak obserwowałem, jak to działa np. u sojuszników i dostrzegłem zalety takiej współpracy”, mówi Marcin, dowódca zespołu C. „Cieszę się, że mogę współpracować z Darkiem. Ma doświadczenie bojowe, odpowiedni staż i swoją służbą udowodnił, że zasługuje na to stanowisko. A przecież, żeby reprezentować jakieś środowisko, trzeba mieć autorytet”, dodaje.

JEDEN SPINA WSZYSTKO

Co należy do obowiązków starszych podoficerów dowództw zespołów bojowych? „Starszy podoficer dowództwa zespołu zajmuje się wszystkimi sprawami, które dotyczą szeregowych i podoficerów w jego pododdziale. Przewiduje ich ścieżki kariery, wskazuje ludzi do wyznaczenia na kolejne stanowiska służbowe. Poszukuje także kandydatów do służby w zespole wśród tych, którzy kończą selekcję lub służą już w naszej jednostce. Taki podoficer odgrywa także ważną rolę we współpracy z partnerami zagranicznymi. Dla naszych sojuszników z NATO naturalne jest, że to starsi podoficerowie zajmują się np. ustalaniem różnego rodzaju spotkań, szkoleń czy kursów”, podkreśla płk Strzelecki. „Dowódcy zespołów zyskali doradcę, którego jednym z głównych zadań jest praca nad lepszym funkcjonowaniem pododdziału, a także zarządzanie podoficerami i szeregowymi. Jedna osoba spina sprawy związane z rozwojem, szkoleniem czy promowaniem najbardziej zaangażowanych w służbę”, uzupełnia dowódca komandosów. ■

INNOWACJE DLA BEZPIECZEŃSTWA LUDZI





Skaner laserowy wykonuje trójwymiarowy obraz w wysokiej rozdzielczości.

ŻANDARM NA TROPIE

Kursanci w Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej uczą się, jak prowadzić samochód w warunkach ekstremalnych, wykonać model 3D miejsca katastrofy czy zabezpieczyć miejsce wypadku.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

POZNAJcie z nami specyfikę służby żołnierzy w różnych jednostkach Polskiego Wojska. W cyklu **WOJSKO OD KULIS** przeczytacie o marynarzach, pilotach, logistykach, artylerzystach, przeciwlotnikach czy chemikach.

Był mroźny zimowy wieczór, gdy wezwanie z warszawskiej Pragi postawiło na nogi policję i straż pożarną. W jednej z kamienic wybuchł gaz. Ewakuowano mieszkańców, bo budynek groził zawaleniem. Komendant stołecznej policji poprosił Żandarmerię Wojskową o pomoc w zeskanowaniu miejsca katastrofy. Gdy dotarł tam mjr Bartosz Klepczyński, starszy wykładowca Centrum Szkolenia ŻW specjalizujący się w technologii skanowania 3D, strażacy zakończyli już akcję gaśniczą. Oficer zabrał ze sobą pięciu uczestników kursu, który tego dnia prowadził w Centrum. Na zajęciach omawiał z nimi wirtualną rekonstrukcję zdarzeń kryminalnych – miejsca ujawnienia zwłok, wypadku drogowego czy włamania. Z kolei na miejscu katastrofy mogli oni obserwować pracę swojego wykładowcy.

W części kamienicy wypadły szyby z okien i zawaliły się stropy. Aby przeprowadzić oględziny budynku, policjanci powinni wejść do środka. Byłoby to jednak ryzykowne. Dlatego ludzi zastąpiły skanery. Major podzielił kamienicę na kilka sektorów. Urządzenia po kolei odczytywały obrazy z otoczenia budynku, klatki schodowej, korytarzy i mieszkań. Zebrane dane umożliwiły pokazanie nie tylko wewnętrznych pomieszczeń, lecz także otoczenia budynku w promieniu 300 m. Zeskanowane obrazy wymagały obróbki i analizy. Opracowany materiał mjr Bartosz Klepczyński przekazał Komendzie Stołecznej Policji. Otrzymali go biegli, którzy musieli orzec, jak doszło do wybuchu gazu.

Na ekranie komputera major pokazuje składający się z 5 mld punktów cyfrowy model 3D kamienicy. Wyraźnie widać miejsce, w którym doszło do eksplozji: to zaznaczony na czerwono obszar między drugim i trzecim piętrem. „Jako jedni z pierwszych na świecie zastosowaliśmy na miejscu zdarzenia jednocześnie pięć skanerów laserowych”, podsumowuje.

BOGATA OFERTA

„Żandarmeria Wojskowa liczy blisko 3 tys. żołnierzy, a każdego dnia w naszych kursach uczestniczy około 250 żandarmów”, wylicza płk Sławomir Niemirka, komendant Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim. W tej placówce wykładowcami są oficerowie i podoficerowie ŻW. Kadra Centrum liczy około 150 osób, w tym 70 żołnierzy zawodowych oraz ponad 70 pracowników resortu obrony i byłych funkcjonariuszy innych służb – policji, straży granicznej.

„Kształcimy we wszystkich specjalnościach ŻW – prewencyjnej, dochodzeniowo-śledczej i operacyjno-rozpoznawczej”, dodaje komendant Niemirka. Są to kursy: podstawowe, bez których żołnierz nie obejmie stanowiska w tej formacji, doskonalące – pozwalają na awans na wyższe stanowisko, oraz specjalistyczne, pogłębiające wiedzę z danej dziedziny. Uczestniczą w nich oficerowie i podoficerowie oraz szeregowi, ale także policjanci, prokuratorzy czy sędziowie.

Zajęcia specjalistyczne, np. na temat przestępstw karnoskarbowych, zwalczania przestępczości komputerowej czy narkotykowej, trwają kilka dni. Te zaś, które mają pomóc w przekwalifikowaniu żołnierzy przychodzących do ŻW z cywila lub z innych służb – kilka miesięcy. „Przygotowujemy ich do bycia żandarmami”, mówi ppłk Paweł Durka, który kieruje Wydziałem Dydaktycznym, główną komórką Centrum.

Wydział podzielony jest na cykle szkoleniowe: dochodzeniowo-śledczy, prewencji, taktyki i techniki interwencji, operacyjno-rozpoznawczy, ogólnowojskowy, komunikacji społecznej. „Nic tak nie doskonalili umiejętności, jak działanie w terenie lub na miejscu zdarzenia, dlatego staramy się kierować tam słuchaczy kursów doskonalących”, podkreśla komendant Niemirka.

DZIESIĘĆ KURSÓW DZIENNE

Najmłodsza komórka w Wydziale Dydaktycznym to Zespół Szkolenia na Odległość. Istnieje od 2017 roku. Zanim kursanci rozpoczną naukę w Centrum, mogą poznać teorię z danej dziedziny. Ta metoda wyrównuje poziom

wiedzy kursantów, co jest ważne, np. na kursach języka angielskiego. „Staramy się, aby szkolenie na odległość było atrakcyjne dla odbiorcy. To nie jest sucha prezentacja. Nagrywamy krótkie filmy, np. zainscenizowane sceny w izbie zatrzymań. Wykonujemy także zdjęcia, animacje i grafiki”, wyjaśnia Sebastian Jakubicki, szef tego zespołu.

Każdego dnia w Centrum odbywa się około dziesięciu różnych szkoleń. „Teraz jednym z ważniejszych jest kurs doskonalący dla majorów i podpułkowników”, podkreśla ppłk Durka. Żandarmi przygotowują się do wyjazdu na VII zmianę PKW Irak. Trwa również kurs specjalistyczny dla podoficerów starszych (na stopień chorążego) oraz zajęcia przygotowujące szeregowych zawodowych do egzaminu na stopień podoficera.

„Staramy się prowadzić szkolenia w jak najbardziej realistycznych warunkach”, podkreśla ppłk Durka. Dlatego uczestnicy kursu „Metodyka prowadzenia spraw o charakterze





CENTRUM SZKOLENIA ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

Przejęło tradycje ośrodków szkoleniowych Żandarmerii z okresu międzywojennego: z Warszawy, Biedruska i Grudziądza. Nosi imię płk. Stanisława Sitka. 9 lutego 1939 roku prezydent RP nadał sztandar batalionowi szkolnemu podoficerów i szeregowych niezawodowych Centrum Wyszko-

nia Żandarmerii w Grudziądzu. Miał on zostać wręczony podczas święta Żandarmerii 13 czerwca 1940 roku. Po 17 września 1939 roku niemal cała kadra Centrum wraz z jego komendantem ppłk. Stanisławem Sitkiem dostała się do niewoli radzieckiej. Większość zginęła w Katyniu i Miednoje. ■

narkotykowym” muszą poczuć fetor towarzyszący produkcji amfetaminy. Poznają zabezpieczone przez policję, a odtworzone na potrzeby kursu, urządzenia do produkcji narkotyków. To dobrze wyposażone laboratorium chemiczne, które zajmuje powierzchnię dużego pokoju. Zapamiętany zapach amfetaminy może przydać się kursantom w pracy. Podczas szkolenia poznają także metody wprowadzania do obrotu konopi indyjskich, marihuany i innych narkotyków. Uczą się, jak zabezpieczać ślady takich przestępstw. „Szkolenie to prowadzimy we współpracy z policją”, dodaje ppłk Durka.

SYMULATORY W AKCJI

Kpt. Michał Cichawa od trzech lat odpowiada w Centrum za szkolenia z ruchu drogowego. Wykształcił już w tym zakresie ponad 500 inspektorów. Opowiada, że kurs składa się z trzech etapów. Najpierw odbywa się szkolenie na symulatorach samochodowych w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie. Taka formuła pozwala na zaprogramowanie różnych sytuacji, jakie mogą zdarzyć się na drodze – chodzi np. o wybuch opony lub bomby, zatarcie silnika, wtargnięcie na drogę stada zwierząt lub tłumu ludzi czy nawet awaryjne lądowanie samolotu na drodze.

Po kilku miesiącach zaczyna się drugi etap szkolenia, tym razem we współpracy z Centrum Szkolenia Policji

w Legionowie. Kursanci wsiadają do prawdziwych pojazdów, ale nie wyjeżdżają na ulice, lecz na płytę poślizgową, która pozwala symulować ekstremalne warunki na drodze, np. oblodzenie lub głębokie kałuże. „Sprawdzamy, jak w takich warunkach poradzi sobie kierowca, np. czy wyprowadzi pojazd z poślizgu”, tłumaczy ppłk Durka. Podczas ostatniego etapu kursanci kierują ruchem na prawdziwych skrzyżowaniach.

ZGODNIE Z PRZEPISAMI

Podłoga w sali walki wręcz jest wyłożona matami. Pod ścianą leży manekin ewakuacyjny. Jak wyjaśnia starszy wykładowca mjr Tomasz Borek, p.o. kierownik cyklu prewencji i taktyki interwencji, manekin waży około 70 kg i symuluje rannego. Jest wiotki jak nieprzytomny człowiek i trudno się go transportuje – zarzucenie go sobie na barki wymaga sporej siły. Obok, ubrane w kamizelki przewodzące prąd, stoją manekiny służące do ćwiczenia użycia paralizatorów. „Strzał z paralizatora musi zostać oddany zgodnie z procedurą, trzeba trafić w umiejscowioną część ciała, zazwyczaj w korpus lub uda”, podkreśla mjr Tomasz Borek, który szkoli kursantów z taktyki i techniki interwencji oraz sztuk walki. Oficer zastrzega, że środki przymusu bezpośredniego trzeba stosować zgodnie z przepisami i adekwatnie do sytuacji. „Nie wolno użyć paralizatora, gdy osoba stawia bierny



TRZY PYTANIA DO

Sławomir Niemirka

Na czym polega specyfika jednostki, którą pan dowodzi?

Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim jest jedyną jednostką, która kształci żandarmów – szeregowych, podoficerów i oficerów. Wcześniej czy później trafi do nas każdy żołnierz tej formacji – na szkolenie podstawowe lub specjalistyczne. Prowadzimy także kursy językowe, a ci, którzy nie potrzebują takich zajęć, mogą zdać u nas egzamin eksternistycznie. Jesteśmy młodą jednostką, działamy dopiero od 12 lat, cały czas się rozwijamy i zmieniamy. Dostosowujemy się do potrzeb ŻW, aby jak

najlepiej przygotowywać żołnierzy do wykonywania zadań w kraju oraz na misjach. Prowadzimy coraz szerszą współpracę międzynarodową – na kursach prewencyjnych czy dochodzeniowo-śledczych szkolimy żołnierzy policji wojskowej z innych państw. Współpracujemy z centrami szkoleń i ośrodkami szkolenia innych rodzajów sił zbrojnych, policji, straży granicznej oraz instytucjami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo.

Co trzeba zrobić, żeby rozpocząć służbę w waszym Centrum?

Ścieżka jest taka sama jak w innych jednostkach ŻW. Kandydaci składają

wniosek wraz z ankietą, której wzór jest zamieszczony na stronie internetowej ŻW. Kwalifikacje kandydatów do Centrum prowadzi komisja powołana przez komendanta głównego ŻW. Gdy już przejdą je pomyślnie, kieruję ich na konkretne stanowiska.

Jakie wymogi stawia pan kandydatom na wykładowców?

Muszą wykazać się wiedzą w danej specjalności. Nieodzowne są także doświadczenie oraz umiejętności metodyczne, ponieważ będą oni szkolić innych żołnierzy. Takich oficerów i podoficerów ŻW, a także funkcjonariuszy innych formacji, chętnie zatrudniamy. Ponadto, mile widziani są kandydaci z wykształceniem prawniczym, tężyzną fizyczną oraz cechujący się wysoką odpornością psychofizyczną. ■

Płk SŁAWOMIR NIEMIRKA jest komendantem Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim.

KAŻDEGO DNIA W CENTRUM ODBYWA SIĘ OKOŁO DZIESIĘCIU RÓŻNYCH SZKOLEŃ

opór i odmawia wykonania polecenia. Wtedy należy użyć siły fizycznej lub ręcznego miotacza gazu”, tłumaczy.

Kursantom najbardziej podobają się zaaranżowane zajęcia sytuacyjne, jak bójka w internacie wojskowym. Wówczas trzeba obezwładnić walczących i udzielić pomocy poszkodowanym. „Nagrywamy takie ćwiczenia i potem analizujemy popełnione błędy: złą reakcję, nieuzasadnione użycie broni palnej, błędy taktyczne, np. działanie bez ubezpieczenia ze strony kolegów”, wyjaśnia mjr Borek.

„Gdy dojdzie do wypadku czy katastrofy, na wniosek prokuratury oraz na polecenie komendanta głównego ŻW nasi oficerowie i podoficerowie wykonują także zadania dochodzeniowo-śledcze”, mówi płk Niemirka. Mjr Klepczyński wielokrotnie wspierał pracę kolegów z terenowych oddziałów. Tak było, gdy pod Mińskiem Mazowieckim rozbił się MiG-29. Na miejsce katastrofy major zabrał aparat fotograficzny, skaner laserowy, statywy oraz dron. Fotografie zrobione z powietrza pozwoliły na zobrazowanie terenu wypadku, a dzięki skanerowi laserowemu można było wykonać model 3D tego miejsca. „Skaner widzi podobnie jak ludzkie oko, dlatego aby uzyskać całościowy obraz miejsca katastrofy, musiałem ustawić urządzenie w kilku punktach i co kilka minut przestawiać”, tłumaczy. Ze 120 skanów powstał potem jeden, pokazujący całe miejsce zdarzenia. Na ekranie komputera można obejrzeć szczegóły, np. zmierzyć wysokość drzew, które ściął myśliwiec, ustalić kąt, pod jakim schodził, oraz zrekonstruować ostatnie sekundy lotu. Rezultaty swojej pracy mjr Klepczyński przekazał prokuraturze i Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego.

Na co dzień major dzieli się w Centrum swoją wiedzą ze słuchaczami, którzy zjeżdżają z całego kraju, a ostatnio coraz częściej także z zagranicy. „Cykl dochodzeniowo-śledczy składa się z części kryminalistycznej oraz dochodzeniowo-





**SZKOLENIE
W SYMULATORACH
samochodowych. Ta-
ka formuła pozwala
na zaprogramowanie
różnych sytuacji, ja-
kie mogą zdarzyć się
na drodze.**



ARCH. ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

WYPOSAŻENIE

Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej dysponuje najnowocześniejszym sprzętem używanym przez służby policyjne na całym świecie. Drony pozwalają na dokładne zobrazowanie miejsca zdarzenia, skaner laserowy wykonuje jego trójwymiarowy obraz w wysokiej rozdzielczości, spektrometr Ramana wykrywa kilkadziesiąt tysięcy różnych związków chemicznych i określa ich skład, skaner światła strukturalnego ułatwia identyfikację dokumen-

tów, a kamera termowizyjna i wyposażenie różnego typu walizek kryminalistycznych umożliwiają ujawnienie nawet tych na pozór niewidocznych śladów. Zabezpieczający te ślady technicy kryminalistyki nie muszą się przy tym martwić o miejsce swojej pracy. Mają do dyspozycji w pełni wyposażone ambulanse kryminalistyczne. Żołnierze prewencji w trakcie szkolenia poznają

tajniki walki wręcz i stosowania środków przymusu bezpośredniego w specjalistycznych ubraniach ochronnych High Gear, z wykorzystaniem m.in. urządzeń do rażenia energią elektryczną Taser X2 czy sygnalizujących trafienie ćwiczebnych noży elektrycznych. Podnoszą także swoje umiejętności posługiwania się bronią, korzystając z replik ASG i manekinów strzeleckich 3D. ■

-śledczej, w której nauczamy taktyki i metodyki przeszukań, prowadzenia postępowania przygotowawczego, podstaw prawa”, wyjaśnia.

Na parterze budynku Centrum znajduje się część kryminalistyczna. To trzy sale, w których są stanowiska do ćwiczeń z: daktyloskopii, traseologii, mechanoskopii czy biologii. Pracę dochodzeniowo-śledczą ułatwiają nowoczesne przyrządy, którymi dysponuje Centrum (podobne znajdują się w oddziałach terenowych ŻW), takie jak kamery termowizyjne, laserowy skaner, dron, spektrometry (identyfikują około 10 tys. różnych substancji chemicznych), tachimetry geodezyjne (mierzą kąty poziome i pionowe oraz odległości). Są też szkolenia z analizy plam krwawych czy modelowania w 3D miejsca zdarzenia oraz śladów. „Staramy się, aby technicy kryminalistyki po zakończonym kursie potrafili posługiwać się każdym sprzętem, który mają do dyspozycji”, podkreśla mjr Klepczyński.

Mł. chor. Tomasz Pieszak z oddziału ŻW w Szczecinie na kursie „Podstawy pracy z zakresu techniki i taktyki kryminalistycznej” chciał poszerzyć swoją wiedzę i umiejętności. Na co dzień prowadzi śledztwa i dochodzenia oraz zabezpiecza ślady na miejscu przestępstwa. „Dużo mi dały zajęcia z fachowcami z Policji i Żandarmerii, którzy przekazywali nam swoje doświad-

czenia. Biegły z dziedziny fotografii pokazał nam, jak zrobić zdjęcie w ciemnym pokoju, aby potem widać było na nim każdy szczegół. Ta wiedza bardzo się przyda, bo zawsze na miejscu zdarzenia wykonujemy dokumentację fotograficzną”, opowiada mł. chor. Pieszak. Jak mówi, najciekawsze były zajęcia w terenie, np. z traseologii, gdy uczestnicy kursu badali odbite w ziemi ślady butów. Trzeba było wykonać z nich gipsowy lub silikonowy odlew. Podczas zainscenizowanego wypadku drogowego, gdy manekin symulował poszkodowanego, robili szkice i plany miejsca tego zdarzenia. Uczyli się także badać autentyczność dokumentów.

PIERWSZA SZKOŁA

Płk Niemirka opowiada o planach dalszego rozwoju bazy szkoleniowej w podległej mu placówce. „W tym roku chcemy uruchomić pierwszą w kraju szkołę podoficerską ŻW”, zdradza. Jako wykładowców komendant planuje pozyskać doświadczonych podoficerów, którzy będą przekazywać swoją wiedzę szeregowym – kandydatom do korpusu podoficerskiego ŻW. Już wkrótce Centrum Szkolenia ŻW może także zyskać własne laboratorium kryminalistyczne, co znacznie ułatwi badanie śladów oraz wykonywanie analiz. ■



CENTRUM SERWISOWO – LOGISTYCZNE
DO OBSŁUGI CZOŁGÓW LEOPARD 2

CSL-WZM-LEOPARD 2



Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. w Poznaniu to dziś jedyny polski zakład posiadający autoryzowane uprawnienia do serwisowania i napraw czołgów Leopard 2 A4/A5, należących do Sił Zbrojnych RP. Konieczność zabezpieczenia serwisowo-logistycznego polskich Leopardów, w połączeniu z dynamicznym rozwojem firmy, pozwoliła na utworzenie w poznańskich zakładach Centrum Serwisowo-Logistycznego do obsługi czołgów Leopard 2, czyli CSL-WZM-LEOPARD 2.

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. istnieją od 1945 roku, cały czas działając w branży zbrojeniowej. Dziś wchodzi w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., konsolidującej polski przemysł obronny. Głównym profilem aktywności firmy są: produkcja, modernizacje, naprawy i serwisy czołgów, kołowych transporterów opancerzonych oraz projektowanie i produkcja szybko wymiennych zespołów napędowych do pojazdów wojskowych. Działalność WZM zapewnia kompleksowe zabezpieczenie potrzeb Sił Zbrojnych RP. W naszym Centrum Szkoleń załogi pojazdów wojskowych uczą się profesjonalnego użytkownika sprzętu.



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.

PRACA NA CZYSTO

Żołnierze kompanii obsługi lotniska nie mają łatwej służby, ale innej sobie nie wyobrażają. Żyją tym, co dzieje się na pasie.

EWA KORSAK

Niewiele osób się do niej nadaje. Trzeba być skrupulatnym, odpowiedzialnym, spostrzegawczym. Nie można też liczyć tu na splendor. Mjr Sylwester Skalski, dowódca eskadry zabezpieczenia z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego, żartobliwie, ale z podziwem mówi o swoich żołnierzach: „Według mnie żyły mają podłączone do pasa startowego”.

FLORA, FAUNA I LOTNISKO

Kompania obsługi lotniska (KOL) w 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego składa się z trzech plutonów: 1 i 2 zajmują się płaszczyznami lotniska, m.in. pasem startowym, drogami kołowania i terenem trawiastym, natomiast 3 pluton odpowiada za oświetlenie, źródła prądu oraz system BAK-14, służący do awaryjnego hamowania samolotów F-16. Kiedy przez ostatnie dwa lata modernizowano pas startowy lotniska, mogło się wydawać, że żołnierze odpowiedzialni za jego stan nieco odechną. Nic bardziej mylnego. Przez ten czas i tak musieli m.in. dbać o to, co dzieje się wokół drogi startowej i dróg kołowania. „Żołnierze KOL-u zajmują się utrzymaniem powierzchni nie tylko betonowych, lecz także trawiastych lotniska”, wyjaśnia mjr Skalski.

Wokół drogi startowej w 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku znajduje się około 250 ha trawy. Koszenie musi się odbywać regularnie, żeby miała około 10 cm. Wyższa zachęcałaby ptaki do budowania sobie w niej gniazd, w niższej szukałyby sobie pożywienia. Tymczasem nie są one mile widzianymi gośćmi na jakimkolwiek lotnisku. „Kilka lat temu mieliśmy w bazie plagę bocianów. Pamiętam, że było ich tak dużo, że w płoszenie zaangażował się niemal cały personel bazy”, mówi mjr Skalski. Zagrożeniem są również dzikie zwierzęta. „Po remoncie będziemy mieć nowy system ich odstraszenia”, mówi major. Zdarzało się, że lotnisko odwiedziła sarna, a nawet dzik. „Kilkanaście lat temu na lotnisku w Malborku pod-



Oczyszczarka lotniskowa TJS 560 – zimą pomaga usunąć zalegający śnieg, latem na przykład kamienie.

MICHAŁ KOLAD/32 BAZA LOTNICTWA TAKTYCZNEGO (4)



Dzięki rotorowi SUPRA 5002 żołnierze KOL-u są w stanie usunąć bardzo duże ilości śniegu z drogi startowej.

czas startu samolotu na drodze startowej pojawił się... łoś! Bardzo poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa lotu”, wyjaśnia dowódca eskadry zabezpieczenia.

Wróćmy jednak do trawy. Regulowana jest nie tylko jej wysokość, lecz także rodzaj nawożenia i to, czy rośnie regularnie. „Podczas remontu pracowało tu wiele firm, które wjeżdżały na trawę swoimi ciężkimi pojazdami. Teraz musimy ją tam zasiać od nowa”, wyjaśnia mjr Skalski. Kiedy żołnierze KOL-u opowiadają o tym, jak trzeba dbać o teren trawiasty, przyznają, że dla kogoś nieznanego tematu bezpieczeństwa lotów może się to wydawać banalne i zabawne, tymczasem na lotnisku zagrożenia mogą wynikać z najbardziej trywialnych spraw. „Na pas nie wchodzimy na przykład w nakryciach głowy, nie mamy na szyi przepustek, kieszenie dokładnie zamykamy, nie mamy w nich monet czy długopisów. Łatwo nie zauważyć, że zgubi-



PO LIFTINGU

Remont drogi startowej w 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku trwa od kwietnia 2017 roku. Zakończy się prawdopodobnie w wakacje, a pierwsze F-16 wylądują tu, po dwóch latach przerwy, już w sierpniu. Koszt remontu lotniska to niemal 100 mln zł (dokładnie 99 876 400 zł). Remont obejmował modernizację 2,5-kilometrowego pasa startowego. Została położona nowa warstwa betonu cementowego. Nośność pasa wynosi teraz 65 PCN (Pavement Classification Number), dzięki temu będą mogły tam lądować nawet duże samoloty transportowe. Zmodernizowany pas łączy się z nowym odcinkiem wybudowanym przez Amerykanów. ■



Zamontowana w odkurzaczu lotniskowym AS 900 szczotka obraca się, wmyłając wszystkie nieczystości.

ło się takie drobne rzeczy, a one mogą doprowadzić do uszkodzenia samolotu i narażenia życia pilota lub osób z obsługi naziemnej”, wyjaśniają. Każdy pojazd wjeżdżający na lotnisko jest dokładnie myty. Sprawdzane są na przykład bieżniki w oponach. Jeśli jest tam jakiś kamyk, trzeba go usunąć. Kontrolowane jest podwozie samochodu, by nie znalazło się tam nic, co mogłoby uszkodzić maszynę, a może być to nawet torebka foliowa.

NADCHODZI ZIMA

Najgorszą porą roku jest zima. Pracę zaczynają zwykle jeszcze w nocy albo bardzo wczesnym porankiem. „Jako dowódca kompanii potrzebuję przede wszystkim dwóch informacji: o planowanych lotach oraz o prognozie pogody. Na tej podstawie podejmuję decyzję, kiedy i jakie pojazdy wyjadą na lotni-

ska”, mówi st. chor. sztab. Radosław Szymczyk z KOL-u. „Po naszej pracy pas musi być idealnie czysty”, dodaje dowódca.

Ile czasu zajmuje doprowadzenie płyty lotniska do takiego stanu? Wszystko zależy od pogody. Jeśli śnieg pada przez cały czas, wszystko się przedłuża. Może się również zdarzyć tak, że loty się nie odbędą albo zostaną przesunięte z powodu złych warunków na drodze startowej. Biorąc pod uwagę zimowy scenariusz z lotami ustalonymi na godzinę 10, z zalegającym na lotnisku śniegiem, ale bez ciągłych opadów, żołnierze 1 i 2 plutonu kompanii obsługi lotniska rozpoczynają swoją pracę o 3.00 w nocy.

Do dyspozycji mają kilkanaście maszyn – specjalistycznych pojazdów. Wirnikowy zgarniacz śniegu służy im do odśnieżania. „Spokojnie można nim atakować nawet półtorametrowe zaspę śniegu”, mówi st. szer. Marek Cieślak, operator wozu. ➔



Polewaczka ORION PP2 rozpyla specjalną substancję chemiczną, która rozpuszcza lód.

„Możemy zgarnąć nawet 5 tys. t śniegu w godzinę, więc jest naprawdę skuteczny”. Cieślak dodaje, że takiej klasy pojazdy są używane na przykład w górach, gdzie olbrzymie ilości śniegu uniemożliwiają przejazd. Do usuwania śniegu służy również holowana oczyszczarka lotniskowa, do której na zimę dołącza się pług. „Latem możemy usuwać zanieczyszczenia za pomocą dmuchaw. Większe rzeczy, takie jak kamienie albo ciała małych zwierząt, usuwamy szczotką walcową”, mówi plut. Krzysztof Galand, dowódca drużyny 1 plutonu. „Zimą najpierw przejeżdża pług, to czego nie zgarnie, zbiera szczotka, a na koniec jeszcze pracuje dmuchawa, która oczyszcza wszystko do końca”, wyjaśnia żołnierz. Po śniegu nie ma już śladu, ale zostaje jeszcze gruba warstwa lodu. Radzi sobie z nią pojazd do odladzania nawierzchni. „Podaje specjalny środek do rozpuszczania lodu na trzy różne odległości: 3 m, 14 m lub 24 m. Specjalne urządzenia wypuszczają płyn pod ciśnieniem, które również można kontrolować. Im jest większe, tym szybciej usuniemy lód”, mówi operator pojazdu st. szer. Piotr Misiak. Maszyna porusza z prędkością nawet do 40 km/h. „Zimą jest w ciągłej gotowości. W wozie mieści się około 12 t środka do odladzania i taka ilość wystarczy, by oczyścić drogi startową i kołowania”, dodaje st. szer. Misiak.

Kropkę nad i stawiają odkurzacze lotniskowe. Zamontowana w pojeździe szczotka obraca się, wymiatając wszystkie nieczystości, które są zasysane do zbiornika. „Jak w zwykłym odkurzaczu. Ale tego wozu częściej używamy, wykorzystując funkcję dmuchania”, mówi mł. chor. Marcin Nowak z 2 plutonu. W pojeździe zamontowane są również szczotki, które wymiatają nieczystości z wszelkich krawędzi. Ale szczotki też stanowią zagrożenie, bo metalowe druciki mogą się ułamać. Zbiera je oczyszczarka magnetyczna.

Kiedy wydaje się, że droga startowa jest już gotowa... Chwila! Na koniec sprawdzają ją jeszcze żołnierze. Idą całą szerokością sprawdzanego terenu i pilnują, czy na pewno nic nie zostało. „Zdarza się, że znajdujemy na przykład śrubkę czy jakąś inną część. To wszystko się zbiera i analizuje, skąd się wzięło”, tłumaczy dowódca kompanii obsługi lotniska. Kiedy żołnierze ostatecznie stwierdzą, że wszystko jest okej, samoloty mogą wystartować. „Po oczyszczeniu nasłuchujemy kołujących samolotów i czekamy, aż wzbiją się w powietrze. Wtedy oddychamy z ulgą”, mówi dowódca KOL-u.

SPECJALIŚCI OD ŚWIATEŁ

„Pluton elektroenergetyczny zajmuje się eksploatacją oświetlenia nawigacyjnego i systemem zasilania energetycznego urządzeń służących do zabezpieczania lotów. Odpowiadamy też za linowe urządzenia hamujące BAK 14”, wyjaśnia st. chor. sztab. Łukasz Stelmaszewski, dowódca plutonu. Żołnierze plutonu dbają zatem o światła drogi startowej, drogi kołowania, podejść do lądowania, te, które wyznaczają progi i końce drogi startowej, o umocnione wybiegi i PAPI (precision



MJR SYLWESTER SKALSKI: „Kiedyś zaproponowałem jednemu żołnierzowi, że przeniosę go do magazynu. Tam będzie sobie spokojnie wykonywał swoje obowiązki od 7.00 do 15.00. On się nie zgodził. Pytam: »Dlaczego? Będziesz miał łatwiej!«. Odpowiedział: »Ale ja jestem żołnierzem KOL-u. Nie muszę mieć łatwiej!«.

approach path indicator). Drużyna obsługi oświetlenia pilnuje, by oprawy były czyste, ale za sprawność systemu odpowiada dyżurny energetyk lotniska, który kontroluje go dwa razy dziennie. „Przed lotami sprawdzamy, czy wszystkie lampy działają. Szczególnie zimą zdarza się, że podczas usuwania śniegu odśnieżarki i inne pojazdy uszkadzają lampy”, tłumaczy chor. Stelmaszewski. Drugie sprawdzenie odbywa się już po lotach, zwykle o zmroku. Po remoncie pasa żołnierze będą mieli do sprawdzenia około 2 tys. żarówek.

Przez cały czas żołnierze plutonu czuwają również nad tym, by były sprawne awaryjne źródła zasilania, które znajdują się w centralnej stacji transformatorowej. „To takie serce całego systemu energetycznego. Brak zasilania dla lotniska to pozbawienie go zdolności operacyjnych. Kiedy wszystkie systemy przestają działać... Cóż, nie chciałbym nigdy tego doświadczyć”, dodaje chorąży.

Żołnierze plutonu są również odpowiedzialni za system BAK-14. Do niedawna, przed modernizacją pasa startowego, był to BAK-12. „Musieliśmy ręcznie rozwijać ciężką, stalową linę, która w sytuacjach awaryjnych ma wyhamować lądujący F-16. Pilot wysuwa wówczas z podwozia specjalny hak, który łapie linę, a system bezpiecznie zatrzymuje samolot”, mówi chor. Stelmaszewski. W systemie BAK-14 lina będzie ukryta w drodze startowej i podnoszona automatycznie, wtedy gdy zdecyduje o tym kontroler. „Nadal będziemy jednak odpowiedzialni za utrzymanie sprawności systemu. Na szczęście BAK-14 ma wiele zalet, na przykład lina jest ukryta w podgrzewanej rynnie, więc nie ma obaw, czy zimą da radę się ją podnieść. Zostały kupione również specjalne odkurzacze, które pomogą nam w utrzymaniu czystości tego miejsca”, wyjaśnia dowódca plutonu.

JESTEM Z KOL-U

Praca w kompanii obsługi lotniska jest ciężka, ale niezauważana. Dopóki pas jest czysty, nikt nie zastanawia się, kto go posprzątał. Niełatwo znaleźć ludzi, którzy chcieliby wstąpić do takiej służby. „Mamy problem z naborem, brakuje nam ludzi”, przyznaje mjr Sylwester Skalski. Za chwilę jednak dodaje, że ci, którzy tu są, to wyjątkowe osoby, stworzone do tej roboty. „Kiedyś zaproponowałem jednemu żołnierzowi, że przeniosę go do magazynu. Tam będzie sobie spokojnie wykonywał swoje obowiązki od 7.00 do 15.00. On się nie zgodził. Pytam: »Dlaczego? Będziesz miał łatwiej!«. Odpowiedział mi wówczas: »Ale ja jestem żołnierzem KOL-u. Nie muszę mieć łatwiej!«, mówi Skalski. Ci żołnierze opowiadają o swojej służbie, wtrącając różne anegdoty, ciekawostki dotyczące sprzętu, dopowiadają o parametrach pojazdów. „Żyjemy tym, co się dzieje na pasie”, śmieją się, szukając odpowiedzi na pytanie, co ich tu trzyma. „A poza tym ludzie są świetni, mamy dobry zespół. Ale taki naprawdę dobry, z którym można wszystko, nawet góry przenosić i przyjeżdżać do pracy na trzecią nad ranem”.

GOTOWI RUSZYĆ NA WSCHÓD

*Z Arturem Pikońem
o znaczeniu 10 Brygady
Kawalerii Pancernej w systemie
obronnym państwa, modernizacji
leopardów oraz brakach kadrowych
rozmawia Bogusław Politowski.*

10 Brygada Kawalerii Pancernej przez lata była uważana za najważniejszą jednostkę pancerną naszej armii. Czy coś się zmieniło?

Biorąc pod uwagę nasze wyposażenie, czyli czołgi Leopard 2A4, jesteśmy bardzo mocną brygadą. Stacjonujemy co prawda na zachodzie kraju, ale w wypadku konfliktu zbrojnego jesteśmy w stanie bardzo szybko uderzyć i powstrzymać przeciwnika na wschodzie Polski. Po przeprowadzeniu modernizacji leopardów do standardu 2PL nasze zdolności bojowe jeszcze wzrosną.

Dla mieszkańców wschodniej części kraju stwierdzenie „bardzo szybko” jest pojęciem względnym...

O szczegółach nie mogę mówić, ale w ciągu doby możemy włączyć się w obronę stolicy, ochronę miast Polski Wschodniej czy dotrzeć na Warmię i Mazury. W kraju mamy coraz lepszą infrastrukturę drogową, co znacznie ułatwia przemieszczanie wojsk. ➔

WIZYTÓWKA

PŁK DYPL. ARTUR PIKOŃ

Od 3 sierpnia 2018 roku dowodzi 10 Brygadą Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. Wcześniej był dowódcą 2 Brygady Zmechanizowanej. Interesuje się historią wojskowości. W wolnych chwilach klei drewniane modele okrętów i żaglowców. Często można go spotkać na górskich szlakach. ■



Na taką ewentualność brygada jest zapewne przygotowana, a w waszych magazynach leżą gotowe mapy z zaznaczonymi trasami przemarszów na wschód...

Niestety nie mogę tego potwierdzić ani temu zaprzeczyć... Nie jest jednak tajemnicą, że wszystkie jednostki naszej armii coraz częściej ćwiczą przemieszczanie się na duże odległości po drogach oraz transportem kolejowym.

Co do modernizacji leopardów, to pierwsze egzemplarze po „tuningu” miały wrócić do Świątoszowa już jesienią. Tymczasem ciągle ich nie ma...

To jest pytanie do wykonawcy modernizacji. Wiem, że trwają intensywne prace. Proszę też pamiętać, że po modernizacji wozy muszą przejść wiele testów. My musimy dostać czołgi sprawdzone. Aby zachować zdolność bojową, nie możemy się bawić w testowanie sprzętu, wykrywanie usterek czy niedomagań. Być może stąd to opóźnienie. Mam informację, że kilka wozów jest już prawie gotowych i możliwe, że jeszcze w pierwszym półroczu tego roku trafią do naszych koszar.

To niejedyny problem z leopardami...

Przekazaliśmy do kompleksowych przeglądów i napraw kilkanaście maszyn. Trochę się to ślimaczy. Powinniśmy się szkolić, a wozów ciągle nie ma. Chcielibyśmy odzyskać te czołgi jak najszybciej...

Do zmodernizowanych maszyn będą musiały wsiąść załogi. Macie odpowiednią liczbę przeszkolonych żołnierzy?

Pierwsze egzemplarze nowych wozów trafią najpierw do naszego ośrodka szkolenia. Przygotowanie załóg nie będzie skomplikowane, ponieważ czołgiści mający doświadczenie w użytkowaniu leopardów 2A4 nie potrzebują zbyt dużo

czasu, aby nauczyć się sprawnego działania w nowych wozach. Ponadto nasi żołnierze instruktorzy cały czas uczestniczą w procesie modernizacji. Podpowiadają, jak powinny wyglądać niektóre rozwiązania techniczne, co zrobić, aby praca załogi w nowym czołgu była wygodna i efektywna.

Staracie się wcielać nowych ludzi do brygady. Idzie to jednak dosyć opornie. Podobnie jak w innych jednostkach, w 10 Brygadzie macie spore problemy kadrowe.

Na stworzenie batalionu czołgów na nowych wozach dostaniemy niebawem zwiększony etat. Do tej pory był on skadrowany. Docelowo bataliony czołgów będą dysponowały leopardami 2PL, tak więc będziemy potrzebowali wielu nowych żołnierzy. Dwa dni w każdym miesiącu poświęcamy na kwalifikację chętnych do służby. Czasami zgłasza się 15–20 ochotników, ale bywa, że przychodzi zaledwie dwóch lub trzech. Niestety liczba kandydatów na żołnierzy maleje. W 2018 roku przyjęliśmy w ten sposób zaledwie około 150 osób. Między innymi dlatego aktywnie uczestniczymy w kampaniach zachęcających do wstąpienia do wojska.

Wielu żołnierzy służących w brygadzie nie przedłuża kontraktów lub przenosi się do innych jednostek. Ilu ich rocznie ubywa?

Z różnych powodów z brygady rocznie odchodzi około 120 osób. Jedni przenoszą się do jednostek w rodzinne strony, inni odeszli do wojsk obrony terytorialnej. Są i tacy, którzy wracają do cywila. Świątoszów jest specyficznym garnizonem. Kiedyś mówiło się o takich „zielone garnizony”. Służba w jednostce pancernej też nie należy do łatwych. Poza tym jesteśmy blisko zachodniej granicy. Wielu naszych byłych żołnierzy znalazło lepiej płatną pracę na terenie Niemiec. Stąd spory odpływ kadr.



Czołgiści mający doświadczenie w użytkowaniu leopardów 2A4 nie potrzebują zbyt dużo czasu, aby nauczyć się sprawnego działania w nowych wozach.

NASI ŻOŁNIERZE INSTRUKTORZY UCZESTNICZĄ W PROCESIE MODERNIZACJI

I PODPOWIADAJĄ, JAK POWINNY WYGLĄDAĆ NIEKTÓ- RE ROZWIĄZANIA TECHNICZNE

Mimo to nadal jesteście jednym z największych zakładów pracy w regionie.

Jesteśmy pracodawcą, który natychmiast mógłby przyjąć około 500 żołnierzy. W brygadzie służy ich ponad 2 tys. Ponadto na różnych stanowiskach zatrudniamy około 50 pracowników, większość z pobliskich miejscowości. Brygada od lat jest placem budowy i nieustających remontów, z czego zadowoleni są przedsiębiorcy z regionu. Co prawda, przetargi na wykonywanie tych prac ogłasza 43 Wojskowy Oddział Gospodarczy, ale wygrywa je wiele firm z naszego terenu, a to też wpływa na zmniejszenie bezrobocia w tym rejonie. Za pośrednictwem WOG-u wiele okolicznych przedsiębiorstw dostarcza nam także m.in. produkty żywnościowe do stołówek. Region ma zatem wymierne korzyści z tego, że tutaj stacjonujemy.

W jakie duże inwestycje jesteście teraz zaangażowani?

Jedną z ważniejszych jest przygotowywanie garaży dla artylerii. W niedługim czasie nasza brygada ma zostać wyposażona w samobieżne haubice Krab. Nowy sprzęt, podobnie jak leopardy po modernizacji, powinien być przechowywany w dobrych warunkach. Szykujemy więc dla nich obiekty.

Do cywilów wychodzicie nie tylko z ofertą zatrudnienia.

Mamy stały kontakt z miejscową społecznością i cywilami z całego kraju. Sprawujemy opiekę nad trzema klasami mundurowymi – z Legnicy, Kamiennej Góry i Lubina. Młodzież przyjeżdża do brygady szkolić się pod okiem żołnierzy instruktorów na wojskowych placach ćwiczeń. Współpracujemy także z organizacją paramilitarną Strzelec z Nowej Soli. Mamy kontakty z władzami i mieszkańcami wielu miast w kraju. Nasze asysty honorowe, poczet sztandarowy brygady, wojskową delegację lub sprzęt pancerniaków ze Świętoszowa można zobaczyć w wielu zakątkach Polski. Bywamy w Łodzi, Rzeszowie, Łańcucie we Wrocławiu, w Lubinie czy Legnicy. Jesteśmy zapraszani m.in. do szkół noszących imię patrona naszej jednostki gen. broni Stanisława Maczka. Takie kontakty wykorzystujemy do promocji wojska. Wyjeżdżamy także poza granice kraju na różne uroczystości związane np. ze szlakiem bojowym maczkowców. Niedawno delegacja naszych żołnierzy wróciła z Kanady. Przebywała tam w ramach polsko-kanadyjskiej współpracy wojskowej oraz z okazji 101. rocznicy bitwy pod Moreuil Wood. Nasi żołnierze spotykali się m.in. z Polonią kanadyjską.

W czerwcowych ćwiczeniach „Dragon ’19” odgrywanie pierwszoplanową rolę...

To dla nas bardzo ważny sprawdzian. Przygotowywaliśmy się do niego od roku. Z jednostki na teren poligonu drawskiego wyjeżdża z brygady około 1,5 tys. żołnierzy. Oprócz pododdziałów pancernych i zmechanizowanych w zajęcia są zaangażowane wszystkie pododdziały wsparcia – zwiadowcy, artylerzyści, przeciwlotnicy, saperzy. W strukturę brygady wejdą też pododdziały z innych jednostek, np. batalion piechoty zmotoryzowanej czy dywizjon artylerii raketowej. Na ćwiczeniach dowodzić będą ponad 3 tys. żołnierzy, w tym także z pododdziałów armii państw NATO.

10 Brygadą dowodzi pan dziesiąty miesiąc. Czy w tym czasie nastąpiły w jednostce jakieś istotne zmiany?

Dowodzenie rozpocząłem udziałem w dużych ćwiczeniach taktycznych brygady. Swoich podwładnych, dowódców pododdziałów oraz oficerów sztabu, z którymi pracuję bezpośrednio, poznawałem więc w konkretnym praktycznym działaniu. Przekonałem się, że są to ludzie gotowi do wykonania najbardziej skomplikowanych zadań. Wprowadziłem w jednostce zasadę, że kilka razy w roku szkoleniowe zajęcia poligonowe są organizowane w systemie zintegrowanym. Na poligon czy place ćwiczeń taktycznych nie wyjeżdża jeden pododdział tylko kilka jednocześnie. Wówczas dowódcy doskonałą sprawne współdziałanie różnych rodzajów wojsk. Moi żołnierze często wykonują zadania w godzinach popołudniowych lub nocą, więc przyjęliśmy zasadę, że w poniedziałki jest szkolenie teoretyczne, a intensywne zajęcia odbywają się od wtorku do czwartku. W piątki wykonujemy obsługę sprzętu, a część żołnierzy dostaje wolne za wyteżoną pracę w godzinach pozasłużbowych. Ten system się sprawdza i moi podwładni są z tego zadowoleni. ■

NATALIA WAWRZYNIAK / 10 BK PANC

DRONY W NATARCIU

Chińczycy intensywnie rozwijają systemy bezzałogowe. Wykorzystują pełne spektrum takich maszyn, które mogą działać w każdym środowisku.

RAFAŁ CIASTOŃ

CHIŃSKI CH-4
wyglądem łudząco podobny do amerykańskiego MQ-9 Reaper. Wykorzystywany zarówno do misji rozpoznawczych, jak i uderzeniowych (masa przenoszonego uzbrojenia do 350 kg).







W arsenałach Państwa Środka znajduje się wiele typów dronów, m.in. rozpoznawcze BZK-005, często używane do działań w rejonie spornych wysp na morzach Wschodniocchińskim i Południowocchińskim.



P

ierwszy chiński bezzałogowy pojazd desantowy 8 kwietnia 2019 roku opuścił fabrykę w Wuhan. Morska jaszczurka, bo taką nazwę otrzymał, jest 12-metrowym trimaranem uzbrojonym w dwa karabiny maszynowe oraz pionową wyrzutnię pocisków przeciwlotniczych i przeciwokrętowych. Chiny od lat inwestują w pojazdy bezzałogowe.

NA ŁĄDZIE...

Wydaje się, że konstruktorzy wyszli z założenia, że to właśnie woda ma być podstawowym środowiskiem pojazdu – tu osiąga on prędkość 50 w., podczas gdy na lądzie zaledwie 20 km/h. Pojazd porusza się wtedy na czterech gąsienicach, zamontowanych parami w części dziobowej oraz tylnej, i można zwiększyć jego prędkość, jeśli zastosuje się większe gąsienice. Imponujący jest zasięg morskiej jaszczurki – aż 1200 km. Należy przypuszczać, że pociski przeciwlotnicze, w które

uzbrojono ten wóz, są podobne do tych stosowanych w systemach klasy MANPADS (man-portable air-defense systems), przeciwokrętowe z kolei rozmiarami przypominają pociski przeciwpancerne, takie jak np. amerykański hellfire. Choć morska jaszczurka ma być wyposażona w radar pokładowy, a także sensory optyczne, można założyć, że to nie są główne systemy odpowiedzialne za naprowadzanie pocisków. Jeśli, jak zapewnia producent, pojazd ma działać w sieciocentrycznym środowisku systemów bezzałogowych lądowych, powietrznych i morskich, to będzie także korzystać z danych uzyskiwanych tą drogą.

Co ciekawe, morska jaszczurka ma być przystosowana do pozostawania w stanie uśpienia nawet przez osiem miesięcy i po tym czasie można ją aktywować do danej misji. Jeśli okaże się to prawdą, będzie to idealne narzędzie do zapewnienia kontroli nad sztucznymi i naturalnymi miniaturowymi wysepkami rozsianymi po morzach Południowo- i Wschodniocchińskim. Kontrolowany za pomocą łącza satelitarnego pojazd może sprawdzić się zarówno w roli defensywnej, jak i ofensywnej, gdyby Chiny zdecydowały się



XINHUA/EAST NEWS

PREZENTOWANE W CHIŃSKICH ME- DIACH WIZJE OPE- RUJĄCYCH SIECIO- CENTRYCZNIE DRO- NÓW LĄDOWYCH, POWIETRZNYCH I MORSKICH WYDA- JĄ SIĘ MOCNO FU- TURYSTYCZNE

w przyszłości na zajęcie którejś w wysp należących do innego państwa.

Oczywiście pojazd nie jest pozbawiony wad. Przy długości około 12 m i szerokości przeszło 4 m będzie ważyć niepełna 15 t. Należy jednak pamiętać, że konstrukcja trimarana i brak konieczności wygospodarowania przestrzeni dla załogi czy desantu stwarzają pewne możliwości co do redukcji masy. Niemniej jednak pojazd desantowy amerykańskiej piechoty morskiej AAV-P7 przy długości około 8 m waży 29 t. Oczywiście jako wóz służący do desantu musi zapewniać odpowiednią ochronę zarówno załodze, jak i przewożonym żołnierzom, ale dwukrotna różnica w masie pozwala przypuszczać, że chińska konstrukcja może być wrażliwa na ostrzał nawet z wielkokalibrowej broni strzeleckiej. Jednakże zaletą chińskich pojazdów może okazać się liczba ich egzemplarzy – utrata wozu nie będzie wszak wiązała się z utratą żołnierzy.

...NA MORZU...

Działania na morzu odgrywają dla Pekinu coraz ważniejszą rolę. Morskie pojazdy bezzałogowe nie są jednak tak znane, jak ich powietrzni czy lądowi kuzyni. Dużo trudniej również zweryfikować, jakie są realne możliwości konkretnych rozwiązań, a co jest jedynie elementem dezinformacji.

Wiadomo, że ChRL wykorzystuje podwodne bezzałogowce na dużą skalę do zbierania danych hydrograficznych, szczególnie na Morzu Południowochińskim. Dwa lata temu lokalne media szeroko rozpisły się o prowadzonych tam pracach, operatorzy ze statku badawczego Kexue mieli równocześnie używać 12 pojazdów Haiyis. Są to tzw. podwodne szybowce, które dzięki miniaturowym skrzydłom oraz systemom kontroli pływalności, pozwalającym na naprzemienne zmniejszanie i zwiększanie zanurzenia, wykorzystują do przemieszczania się prądy morskie oraz zjawisko falowania. Zaletą tego rozwiązania jest długotrwały czas pracy urządzenia (nawet kilka miesięcy) oraz brak szumów własnych, dzięki czemu idealnie nadają się do zbierania danych akustycznych.

Chińczycy chwalili się również, że dysponują technologią przesyłania danych „niemal w czasie rzeczywistym”. Słowo „niemal” jest tutaj kluczowe. Fale radiowe nie rozchodzą się w wodzie tak dobrze, jak w powietrzu, a dźwiękowe są dużo wolniejsze, ponadto mogą przenosić ograniczoną porcję danych, na pewno nie są to mega- czy nawet gigabity na sekundę, jak w wypadku fal radiowych wysokiej częstotliwości. Chińskie media informowały jednak o budowie podwodnej sieci komunikacyjnej na zachodnim Pacyfiku. Taki system miałby umożliwiać sensorom umieszczonym na głębokości



ponad 400 m stałe przesyłanie danych dzięki sieci boi solarnych. Byłaby to jednak łączność przewodowa, uzyskiwana za pomocą podwodnych kabli, lub bezprzewodowa, z użyciem fal dźwiękowych.

Oczywiście trudno zakładać, aby Chiny pracowały wyłącznie nad pojazdami podwodnymi służącymi do zbierania danych. Co jakiś czas powracają informacje o dronach bojowych, które w razie konfliktu miałyby atakować wrogie okręty podwodne czy lotniskowce. Przykładem takiego rozwiązania ma być HN-1, należący do grupy tzw. elastycznych dronów. Przypominający kształtem miecznika pojazd ma poruszać się dzięki odpowiedniej pracy kadłuba i ogona, choć pojawiły się również informacje, że może być dodatkowo wyposażony w napęd kawitacyjny. Przy długości 3 m i masie około 200 kg może on przenosić około 60-kilogramowy ładunek i poruszać się z prędkością 16 w. W planach miałyby być także kolejne generacje tych dronów, HN-2 o masie 1,6 t oraz HN-3 o masie 13 t. HN-1 byłby wykorzystywany jako sprzęt rozpoznawczy, HN-2 – jako maszyna uderzeniowa, HN-3 zaś, dysponujący najlepszymi sensorami, jako pojazd dowodzenia.

...I W POWIETRZU

Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza używa rozmaitych dronów lotniczych, zarówno uderzeniowych, jak i rozpoznawczych czy transportowych. Przykładem wielozadaniowej maszyny, wykorzystywanej m.in. w celach uderzeniowych, jest Gongji-1 (GJ-1, znany także pod nazwą Yilong-1), który przypomina wyglądem amerykański MQ-9. Zasięg tych bezzałogowców wynosi około 4 tys. km, a czas działania 20 godzin. Dron w wersji uderzeniowej może przenosić co najmniej dziesięć sztuk uzbrojenia. Znajduje zastosowanie również jako maszyna rozpoznawcza oraz do walki radioelektronicznej. W 2016 roku zaprezentowano jego następcę, czyli samolot Yilong-2 – mający większy zasięg, większą szybkość, mogący także zabrać ładunek (uzbrojenie) o większej masie.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia Chiny kupiły izraelskie drony do zwalczania stanowisk obrony powietrznej Harpia. W 2017 roku zaprezentowały zaś własną wersję tej maszyny – ASN-301 o zasięgu niespełna 300 km



Morska jaszczurka ma być przystosowana do pozostawania w stanie uśpienia nawet przez osiem miesięcy i po tym czasie można ją aktywować do działania.

DZIAŁANIA NA MORZU SĄ DLA PEKINU CORAZ WAŻNIEJSZE. NIE DO KOŃCA JEDNAK WIADOMO, JAKIE SĄ REALNE MOŻLIWOŚCI CHIŃSKICH MORSKICH BEZZAŁOGOWCÓW

i prędkości 220 km/h. W istocie jest to rodzaj amunicji krążącej, która służy do przełamania obrony powietrznej.

Chińczycy wykorzystują również drony klasy HALE (high altitude, long endurance). Informacje o WZ-9 Xiang Long pojawiły się po raz pierwszy w 2006 roku, w 2013 zaś maszyna po raz pierwszy wzniosła się w powietrze, a prawdopodobnie pod koniec 2016 roku trafiła do jednostek. Przy zasięgu 7 tys. km i prędkości 750 km/h jest czasem porównywana do amerykańskiego global hawka, chociaż nie znajduje to uzasadnienia, gdy weźmie się pod uwagę czas lotu (jeśli oczywiście podawana wartość jest prawdziwa), sięgający zaledwie dziesięciu godzin. WZ-9 Xiang Long jest wykorzystywany zarówno w siłach powietrznych, jak i marynarce wojennej.

Flota korzysta także z wielu innych typów maszyn, m.in. BZK-005 o zasięgu 2,4 tys. km i czasie lotu sięgającym 40 godzin. Jest to maszyna rozpoznawcza, często operująca w rejonie spornych wysp na morzach Południowo- i Wschodniocchińskim.

ASN-209 to z kolei przykład drona służącego zarówno do walki radioelektronicznej, jak i zapewniania łączności. Pekin szeroko wykorzystuje bezzałogowce w tej dziedzinie, używając ich także do rozpoznania i naprowadzania pocisków rakietowych średniego i pośredniego zasięgu, w tym nazywanych zabójcami lotniskowców DF-21D i DF-26.

Chiny pracują również nad bezzałogowcami zdolnymi do startu z pokładu lotniskowca z użyciem katapuły. Budowa takiego okrętu już się rozpoczęła i można się spodziewać, że w połowie przyszłej dekady drony będą stanowiły element jego grupy lotniczej.

Państwo Środka korzysta dziś z pełnego spektrum maszyn bezzałogowych, operujących w każdym z trzech środowisk. W przyszłości w tych urządzeniach bez wątpienia będą wykorzystywane na szeroką skalę rozwiązania z zakresu sztucznej inteligencji. Prezentowane czasem w chińskich mediach wizje wzajemnie się uzupełniających, operujących sieciocentrycznie dronów lądowych, powietrznych i morskich wydają się może jeszcze mocno futurystycznie, ale trzeba przyznać, że tempo postępu w tej dziedzinie jest naprawdę imponujące. ■

PODRĘCZNA ARTYLERIA

**Niestandardowe użycie
przenośnej broni
przeciwpancernej daje
szansę na wywołanie
zamieszania w szeregach
wroga i tymczasowe
wyliminowanie
z walki części jego sił.**

TOMASZ OTŁOWSKI

AFP/EAST NEWS

Kiedy latem 2006 roku Siły Obronne Izraela (Israel Defense Forces – IDF) wkroczyły do południowego Libanu, napotkały zaskakująco silny i dobrze zorganizowany opór bojowników proirańskiego Hezbollahu (Partii Boga). Jak się okazało, izraelski wywiad nie tylko źle oszacował potencjał militarny tej organizacji, lecz także nie docenił jej zdolności do skutecznego wykorzystania przenośnej broni przeciwpancernej.

Podczas starć z siłami IDF bojownicy Hezbollahu – uformowani w niewielkie komanda „łowców czołgów”, doskonale wyszkoleni i obeznani z bronionym terenem, wyjątkowo trudnym dla jednostek pancernych – wystrzelili łącznie około 500 rakiet ATGM (anti-tank guided missile – przeciwpancerne pociski kierowane), a także 1,5 tys. zwykłych granatów z ręcznych granatników przeciwpancernych (RPG-7, RPG-29). Blisko 50 izraelskich pojazdów pancernych, w tym prawie 30 czołgów Merkava Mk. III, zostało skutecznie porażonych rakietami ATGM, głównie rosyjskiej produkcji. Jedna trzecia spośród trafionych czołgów IDF została uszkodzona na tyle poważnie, że była już bezużyteczna.

Hezbollah wykazał się innowacyjnością w zastosowaniu broni klasy ATGM, czym zaskoczył Izraelczyków. Często

ostrzeliwał jedną maszynę z kilku kierunków naraz, również z wykorzystaniem RPG. O skali efektywności takiej taktyki walki świadczy też to, że członkowie załóg pojazdów pancernych stanowili niemal połowę z ogółu strat IDF w kampanii z 2006 roku. Ręczną broń przeciwpancerną skutecznie wykorzystywano także przeciwko izraelskiej piechocie – aż 30% wystrzelonych przez Hezbollah rakiet ATGM użyto intencjonalnie w takim właśnie celu. Tak zwana druga wojna libańska w pełni ukazała więc zachodnim strategom i sztabowcom zarówno konwencjonalne, jak i niekonwencjonalne możliwości zastosowania przenośnej broni przeciwpancernej na współczesnym polu walki. A przecież bojownicy Hezbollahu w południowym Libanie nie byli pierwsi, którzy w twórczy sposób podeszli do kwestii wykorzystania posiadanych w swym arsenale ręcznych środków walki przeciwpancernej.

**PODCZAS WOJNY
W AFGANISTANIE MU-
DŻAHEDINI DOPRO-
WADZILI STOSOWA-
NIE RPG JAKO ARTY-
LERII DO PERFEKCJI**

PIERWSZE GRANATNIKI

Geneza użycia ręcznej, przenośnej broni do zwalczania celów opancerzonych sięga czasów II wojny światowej. Szybki rozwój sprzętu pancernego w trakcie tego konfliktu wymusił na głównych jego uczestnikach poszukiwanie skutecznych i tanich rozwiązań, dających piechocie szansę obrony przed atakami czołgów →

przeciwnika. Pojawiły się wówczas pierwsze ręczne wyrzutnie granatów przeciwpancernych, wyposażonych w głowice kumulacyjne (high-explosive anti-tank – HEAT). Istotą działania tego typu pocisków jest wykorzystywanie do penetracji pancerza tzw. strumienia kumulacyjnego, czyli strużki roztopionego metalu o kształcie wąskiego, wydłużonego stożka, formowanej w wyniku eksplozji materiału wybuchowego. Słynne bazooki, PIAT-y czy panzerfausty szybko zrewolucjonizowały taktykę walki piechoty z czołgami i pojazdami pancernymi wroga, umożliwiając jednemu żołnierzowi nie tylko odpieranie natarć żelaznych kolosów, lecz także zadawanie im wymiernych strat.

Po 1945 roku rozwój przenośnej broni przeciwpancernej piechoty przebiegał dwutorowo. Przede wszystkim ulepszano lekkie, proste granatniki rurowe, wzorowane na niemieckim panzerfauscie. Najbardziej znaną bronią tego typu jest sowiecki RPG („ręcznej przeciwotankowy granatomiot” – ręczny granatnik przeciwczołgowy). Począwszy od lat pięćdziesiątych XX wieku wdrożono też inną odmianę przenośnej broni przeciwpancernej – ATGM. Jest ona znacznie skuteczniejsza, wystrzeliwane z niej pociski są naprowadzane na cel przez operatora kierującego torem lotu granatu za pomocą cienkich przewodów, sygnału radiowego albo wiązki lasera. Najnowsze generacje pocisków ATGM są naprowadzane z wykorzystaniem termowizji lub radaru.

Aż do dzisiaj najbardziej rozpowszechnionym na świecie rodzajem przenośnej broni przeciwpancernej pozostają granatniki ręczne, w tym przede wszystkim różne generacje RPG. Stosuje się je szeroko w niemal każdym konflikcie, czemu sprzyja ich niewysoka cena, łatwość obsługi i możliwość wykorzystania względnie taniej amunicji. Z kolei broń klasy ATGM długo pozostawała ekskluzywnym środkiem walki, przeznaczonym niemal wyłącznie dla regularnych, „oficjalnych” sił zbrojnych. Formacje nieregularne i paramilitarne miały do niej bardzo ograniczony dostęp, m.in. ze względu na wysokie koszty, a także skomplikowaną obsługę, wymagającą profesjonalnego i długotrwałego szkolenia. Zmieniło się to pod koniec ubiegłego wieku, szczególnie w regionie Bliskiego Wschodu, wraz z nasileniem się procesów proliferacji tego typu uzbrojenia i pojawieniem się paramilitarnych struktur pozapaństwowych o wysokim stopniu samoorganizacji i wyszkolenia. Najlepszym przykładem jest wspomniany libański Hezbollah, od końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku intensywnie uzbrajany – także w systemy ATGM – przez Iran i Syrię. Wojna domowa w tym ostatnim kraju, trwająca od 2011 roku, i konflikt z Państwem Islamskim (IS) przyczyniły się do rozprzestrzenienia uzbrojenia przeciwpancernego klasy ATGM w regionie bliskowschodnim.

REWOLUCJA NA POLU WALKI

Przez całe dekady podstawowym zadaniem zarówno ręcznych granatników, jak i systemów ATGM pozostawało niszcze-



Przebijalność:
do 1000 mm

BGM-71 TOW

System ATGM produkcji amerykańskiej, używany od początku lat siedemdziesiątych (po raz pierwszy wykorzystany bojowo w wojnie w Wietnamie w 1972 roku).

- Masa pocisku: 22,6 kg
- Masa głowicy: 5,9 kg
- Zasięg: do 4 km

nie celów opancerzonych: czołgów, transporterów i pojazdów pancernych. Drugorzędne znaczenie miało zwalczanie umocnień, bunkrów i ufortyfikowanych punktów oporu przeciwnika – a razem z nimi jego siły żywej. Wraz z ewolucją pola walki oraz zwiększaniem się licznych konfliktów asymetrycznych zmienił się jednak sposób myślenia o ręcznych środkach przeciwpancernych. Coraz częściej tego typu broń zaczęła być traktowana jako podręczna artyleria i bezpośrednie wsparcie piechoty. I to nie tylko przeciwko celom umocnionym, lecz także i siłom żywej przeciwnika. Temu procesowi sprzyjała rosnąca dostępność tego typu uzbrojenia we współczesnych asymetrycznych konfliktach zbrojnych oraz fakt, że kolejne generacje opancerzenia czołgów i pojazdów bojowych (a zwłaszcza pojawienie się tzw. aktywnych systemów ochrony) stopniowo zmniejszały realne możliwości bojowe ręcznych środków przeciwpancernych w klasycznym, pierwotnym zastosowaniu.

Skuteczne zwalczanie lekko opancerzonych celów wroga oraz jego siły żywej przy użyciu takiej broni stało się też możliwe dzięki pojawieniu się granatów termobarycznych i odłamkowo-burzących. W takich rozwiązaniach przodują Rosjanie, którzy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia opracowali tego typu głowice dla większości swych najnowszych rodzajów ręcznej broni przeciwpancernej, zarówno granatników RPG, jak i wyrzutni ATGM nowszego typu (np. Metys-M1, Kornet). Wystrzeliwane z tej broni granaty termobaryczne i odłamkowe skutecznie rażą cele w promieniu około 10 m od miejsca eksplozji, co czyni je groźnym narzędziem walki, szczególnie w terenie zurbanizowanym.

Dzięki swym właściwościom bojowym przeciwpiechotne głowice RPG i ATGM stanowią więc skuteczną broń, wykorzystywaną jako środek bezpośredniego wsparcia pola walki. A w połączeniu z parametrami samych wyrzutni ATGM (systemów wizyjnych i celowniczych) mogą też w rękach wprawnych operatorów przekształcić się w śmiertelnie niebezpieczną



9M133 KORNET (AT-14 KORNET)

Wprowadzony do uzbrojenia armii rosyjskiej w 1994 roku. Może być wyposażony w tandemową głowicę kumulacyjną lub termobaryczną.

- Masa pocisku: 27 kg
- Masa głowicy: 7 kg HEAT, 10 kg termobaryczna
- Zasięg: do 5 km

AŻ DO DZISIAJ NAJBARDZIEJ ROZ- POWSZECHNIONYM NA ŚWIECIE RODZA- JEM PRZENOŚNEJ BRONI PRZECIWPAN- CERNEJ POZOSTAJĄ **GRANATNIKI RĘCZ- NE**, W TYM PRZED WSZYSTKIM RÓŻNE GENERACJE RPG

broń zdolną do precyzyjnego rażenia z dużą siłą celów położonych w odległości do 5 km.

Zasadniczym mankamentem rakiet z głowicami termobarycznymi i odłamkowymi, zwłaszcza do ATGM, jest ich wysoka cena, dochodząca nawet do kilkudziesięciu tysięcy dolarów za sztukę. Większości użytkowników systemów typu ATGM, zwłaszcza sił nieregularnych, nie stać na tak kosztowny sprzęt. Dlatego w charakterze przenośnej artylerii wykorzystuje się zwykle granaty kumulacyjne, chociaż nie nadają się one do niszczenia siły żywej przeciwnika.

Użycie granatu HEAT przeciwko celom innym niż opancerzony pojazd wroga raczej nie spowoduje poważnych strat. Energia eksplozji takiego pocisku skupia się bowiem kierunko-

wo na małej przestrzeni, a przeciwnicy mogą co najwyżej odnieść drobne rany wskutek działania odłamków skorupy pocisku i fragmentów materiału, w który on uderzył. Aby zwiększyć efektywność, stosuje się więc równoczesną salwę z kilku lub nawet kilkunastu wyrzutni wyrzeliwaną do jednego celu.

WZMOCNIONA SIŁA RAŻENIA

Taka taktyka, skuteczna przede wszystkim w walkach na krótkim dystansie i w terenie zabudowanym, była z dużym powodzeniem stosowana już ponad trzy dekady temu przez Irańczyków na frontach wojny iracko-irańskiej. W tym samym czasie podobne zastosowanie ręcznych wyrzutni pocisków przeciwpancernych miało miejsce w Libanie. To właśnie tam pojawił się też oryginalny patent, popularny do dzisiaj na Bliskim Wschodzie. Odłamkowy efekt działania zwykłego granatu kumulacyjnego RPG można wzmocnić, owijając go drutem lub taśmą z powtykanymi między jej zwoje drobnymi elementami metalowymi.

Podczas wojny w Afganistanie mudżahedini doprowadzili stosowanie RPG jako artylerii do perfekcji. Wykorzystywali zmasowany ostrzał z tej broni jako główną metodę obrony przed sowieckimi desantami śmigłowcowymi, zanim nie zaczęli do tego używać przenośnych systemów przeciwlotniczych typu Stinger. Te doświadczenia zostały zresztą przyswojone przez rodzającą się wówczas w Afganistanie Al-Kaidę i wykorzystane później w wielu innych miejscach świata, m.in. w 1993 roku w Somalii przeciwko Amerykanom. Z kolei w odniesieniu do ATGM rozpowszechniła się taktyka – której opracowanie przypisuje się na równi Hezbollahowi i Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) – polegająca na celowym wielokrotnym ostrzeliwaniu budynków, w których znajdują się żołnierze przeciwnika, żeby doprowadzić do zawalenia się tych obiektów.

W sprzyjających okolicznościach takie niestandardowe użycie przenośnej broni przeciwpancernej daje szansę na wywołanie zamieszania w szeregach wroga i tymczasowe wyeliminowanie z walki części jego sił. Nic zatem dziwnego, że w trwających w różnych częściach świata konfliktach obserwuje się wzrost zastosowania mobilnych systemów przeciwpancernych jako podręcznej artylerii do zwalczania piechoty wroga. Ocenia się, że w konflikcie syryjskim oraz w Jemenie już około 40–50% przypadków użycia takiej broni to intencjonalne ataki wymierzone w siłę żywą przeciwnika. W Libii wskaźnik ten wynosi już niemal 75%, co wynika ze specyfiki tego konfliktu – faktycznego braku sił pancernych i szerokiego zastosowania lekkich technicalsów w roli transporterów piechoty.

Znaczenie przenośnych środków przeciwpancernych jako niestandardowej broni bezpośredniego wsparcia pola walki i zwalczania piechoty przeciwnika w najbliższej przyszłości będzie zapewne żywiołowo rosnąć. Sprzyjają temu procesy pogłębiania się asymetrycznego charakteru współczesnych konfliktów zbrojnych i ich hybrydyzacji. Ponadto większość operacji militarnych będzie się toczyć w terenie miejskim i zurbanizowanym. W takich starciach górą będą formacje nieregularne, jako bardziej elastyczne i nietrzymające się sztywno schematycznych zastosowań posiadanego uzbrojenia. ■

Dlaczego polska zbrojeniówka sama nie opracowywała rakiety przeciwlotniczej krótkiego zasięgu, czyli takiej, która jest w stanie razić cele oddalone o 25 km?

Powody są historyczno-polityczne i dotyczą okresu sprzed 30 lat.

Coś się zmieniło się po 1989 roku?

Zaczęliśmy rozwijać własne technologie raketowe. W ramach strategicznego programu rządowego [SPR] „Nowoczesne technologie na potrzeby rozwoju systemu obrony przeciwlotniczej” ruszył m.in. program Loara, dzięki któremu miała powstać polska rakietka przeciwlotnicza krótkiego zasięgu. Notabene właśnie dzięki realizacji tego SPR-u powstał pocisk Grom.

Loara jednak nie doczekała się finalizacji.

Niestety. Program ten najpierw wyhamowano, a później, w 2008 roku, ostatecznie zamknięto. Jednak zdobyte wtedy nowe kompetencje i wytworzone technologie przydały się nam do zaprojektowania rozwiązań w innych programach. Do dziś elementy Loary funkcjonują w wojsku w Polsce i za granicą.

Dziś, kiedy chcemy zbudować tzw. tarczę Polski, składającą się z trzech systemów: Wisła – średniego zasięgu, Narew – krótkiego oraz jeszcze jednego – bardzo krótkiego zasięgu, polski przemysł ma na razie dostarczyć tylko ten ostatni element. Pierwszy kupiliśmy od Amerykanów. A jak, w pana ocenie, powinno być z Narwią?

Istnieje wiele przesłanek wskazujących na to, że powierzenie realizacji Narwi polskiemu przemysłowi jest korzystne zarówno dla bezpieczeństwa kraju, jak i gospodarki oraz rynku pracy.

Macie do tego kompetencje?

Tak. Od kilkudziesięciu lat mamy doświadczenie w tworzeniu systemów dowodzenia i kierowania ogniem obrony przeciwlotniczej. Ponadto systemy dowodzenia obrony powietrznej, od szczebla strategicznego po taktyczny, są opracowywane w Polsce od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, podobnie jak radary wczesnego ostrzegania. Opanowaliśmy też tworzenie zestawów raketowych i raketowo-artyleryjskich bardzo krótkiego zasięgu. Praca nad wielofunkcyjnym radarem kierowania ogniem do systemów raketowych krótkiego zasięgu jest na zaawansowanym etapie realizacji. A co najważniejsze, rozwinęliśmy, wdrożyliśmy i wprowadziliśmy do Sił Zbrojnych RP oraz w innych państwach systemy dowodzenia i kierowania ogniem, które są podstawą do budowy systemów OPL.



MICHAŁ NIWICZ

NAREW POWINNA BYĆ POLSKA

*Z Tomaszem Zawadą
o strategicznym znaczeniu
programu zakupu przeciwlotniczych
zestawów raketowych krótkiego zasięgu
nie tylko dla wojska, lecz także
dla całej polskiej gospodarki rozmawia
Krzysztof Wilewski.*

ZA DZIESIĘĆ LAT MOGLIBYŚMY MIEĆ WŁASNE PROJEKTY RAKIETY KOLEJNEJ GENERACJI, A TAKŻE KILKUSET- OSOBOWY ZESPÓŁ SPECJALISTÓW

Potrzebne są jednak pociski nieco bardziej zaawansowane technologicznie niż gromy czy pioruny.

To prawda, ale możemy je mieć. Przeprowadziliśmy wiele poważnych rozmów z partnerami zagranicznymi i wiemy, że jest możliwe nabycie licencji na produkcję i rozwój rakiety, a także kupno pełnej wiedzy o pocisku.

Nasz przemysł byłby w stanie podołać produkcji takiej rakiety?

Jestem o tym przekonany.

Wszystkich podzespołów?

Ze względów ekonomicznych nie wszystkich. Niektóre po prostu warto kupić od producenta zagranicznego.

A które warto produkować u nas?

Zdecydowanie radar pokładowy rakiety, tzw. RF Seeker. Interesują nas radary radiolokacyjny – RF oraz pasywny, optyczny, pracujący w paśmie podczerwieni – IIR, zwłaszcza oprogramowanie do samego urządzenia i przetwarzania sygnałów, bo to wpływa na walkę radioelektroniczną. Kto sam wytwarza te algorytmy, ten panuje nad polem walki w obszarze zwalczania celów powietrznych. Może w każdej chwili wszystkie rakiety przeprogramować, bo nie jest tajemnicą, że średnio po sześciu, siedmiu latach broń jest rozpoznana przez nieprzyjaciela.

Co jeszcze powinno być wytwarzane w naszym kraju?

W autopilota. W algorytmy autopilota, komputer pokładowy, elektronikę, software, zapalnik zbliżeniowy. Na pewno w silnik rakietowy. W silniki korekcyjne. Także w głowicę bojową, materiały pirotechniczne i wysokoenergetyczne stosowane w rakiecie. To są strategiczne rzeczy, które dają dużą wartość dodaną i zwiększają kontrolę nad uzbrojeniem.

To całkiem sporo jesteśmy w stanie produkować w Polsce.

Uważam, że warto mieć prawo do produkcji całej rakiety. Jest to o tyle istotne, że w razie zagrożenia lub wojny wszystkie podzespoły będziemy mogli produkować w Polsce, niezależnie od terminów realizacji przez zagranicznego dostawcę.

Jaki może być koszt zakupu rakiety krótkiego zasięgu z pełnymi prawami do jej produkcji i rozwijania technologii?

Można oszacować, że zakup technologii i uruchomienia produkcji w Polsce rakiety przeciwlotniczej oraz zestawu ra-

kietowego krótkiego zasięgu zwiększy koszty całego programu o mniej niż 20%. Korzyści militarne i gospodarcze z tym związane są jednak tego warte. Za dziesięć lat moglibyśmy mieć własne projekty rakiety kolejnej generacji, a także kilkusetosobowy zespół specjalistów.

Ludzie to w tym projekcie chyba kwestia newralgiczna?

Zdecydowanie. Bardzo ważne jest, żeby dbać o inżynierów zaangażowanych w kluczowe projekty naukowo-badawcze. Wykształcony, przygotowany i zmotywowany zespół jest w stanie opracować i wykonać prototyp rakiety. Maszyny można kupić szybko, na wykształcenie ludzi potrzeba więcej czasu. I nie każdy może być inżynierem projektującym. Najważniejsze jest utworzenie kilkusetosobowego zespołu i zasilanie go młodymi pracownikami. Da to gwarancję kontynuacji prac i dalszego rozwoju.

Które spółki z Polskiej Grupy Zbrojeniowej byłyby zaangażowane w produkcję zestawów rakietowych Narew?

Wymienię tylko filary projektu. Mesko oraz WZE byłyby odpowiedzialne za rakiety, HSW i Jelcz – za wyrzutnie oraz podwozia, PCO – sensory pasywne, CTM oraz WZŁ nr 1 – łączność, WZU – utrzymanie sprzętu. Integratorem systemu byłby PIT-Radwar odpowiedzialny również za system wsparcia dowodzenia oraz radiolokację. Do prac nad Narwią 11 grudnia 2014 roku powołano konsorcjum spółek dzisiejszej PGZ.

Jaka byłaby korzyść dla polskiej gospodarki z powierzenia tego zadania PGZ zamiast zagranicznemu kontrahentowi?

Oprócz spraw oczywistych, takich jak rozwój technologiczny zbrojeniówki, która zyskałaby produkty eksportowe, trzeba jednoznacznie wskazać na aspekt finansowy. Każda wydana na Narew złotówka wróciłaby do budżetu w formie różnego rodzaju podatków i należności, w co najmniej 50%. Ogromne pieniądze pracowałyby zatem na rozwój polskiej gospodarki. Trzeba też pamiętać o dziesiątkach poddostawców, tysiącach inżynierów, techników, wreszcie pracowników, którzy będą zaangażowani w projektowanie i produkcję systemu. Projekt Narew to nie tylko wyprodukowanie sprzętu, co zajmie kilka lat, lecz także kilkadziesiąt lat prac nad jego utrzymaniem, produkcją części zamiennych, serwisowaniem, potem modernizacją oraz opracowywaniem i wdrażaniem nowych rozwiązań. I to wszystko w kraju przy zaangażowaniu rodzimych inżynierów. ■

DR TOMASZ ZAWADA jest dyrektorem Biura Systemów Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwrakietowej PIT-Radwar SA.

MODERNIZACJA WARRIORÓW DOTYCZY NIE TYLKO UZBROJENIA, LECZ TAKŻE OCHRONY WOZU BOJOWEGO. MODUŁOWE OPANCERZENIE BĘDZIE MOŻNA DOSTOSOWYWAĆ ZALEŻNIE OD RODZAJU MISJI I ZAGROZEŃ.

LOCKHEED MARTIN



Podstarzały wojownik

Zmodernizowane bojowe wozy piechoty Warrior trafią do armii brytyjskiej z kilkuletnim opóźnieniem, a ich unowocześnienie będzie kosztowało znacznie więcej niż planowano.

TADEUSZ WRÓBEL

Wielka Brytania ma drugi co do wielkości budżet obronny w NATO i jeden z największych na świecie. Niemniej jednak od dawna te pieniądze nie zaspokajają wszystkich potrzeb tamtejszej armii. Dlatego Brytyjczycy, zamiast uruchamiać programy mające na celu zakupy nowego sprzętu, starają się modernizować ten dotychczasowy, o ile jest to opłacalne. Taką zasadę zastosowali w pierwszej dekadzie XXI wieku w kwestii bojo-

wego wozu piechoty Warrior (Wojownik), by wydłużyć jego okres użytkowania o przynajmniej 15 lat. Od tego czasu koszty modernizacji tych pojazdów zwiększyły się o setki milionów funtów szterlingów w stosunku do zaplanowanego na ten program budżetu. Ponadto wojskowi muszą poczekać na dostawy unowocześnionych wozów co najmniej do 2023 roku.

Prace nad bojowym wozem piechoty Brytyjczycy rozpoczęli w drugiej połowie lat siedemdziesiątych

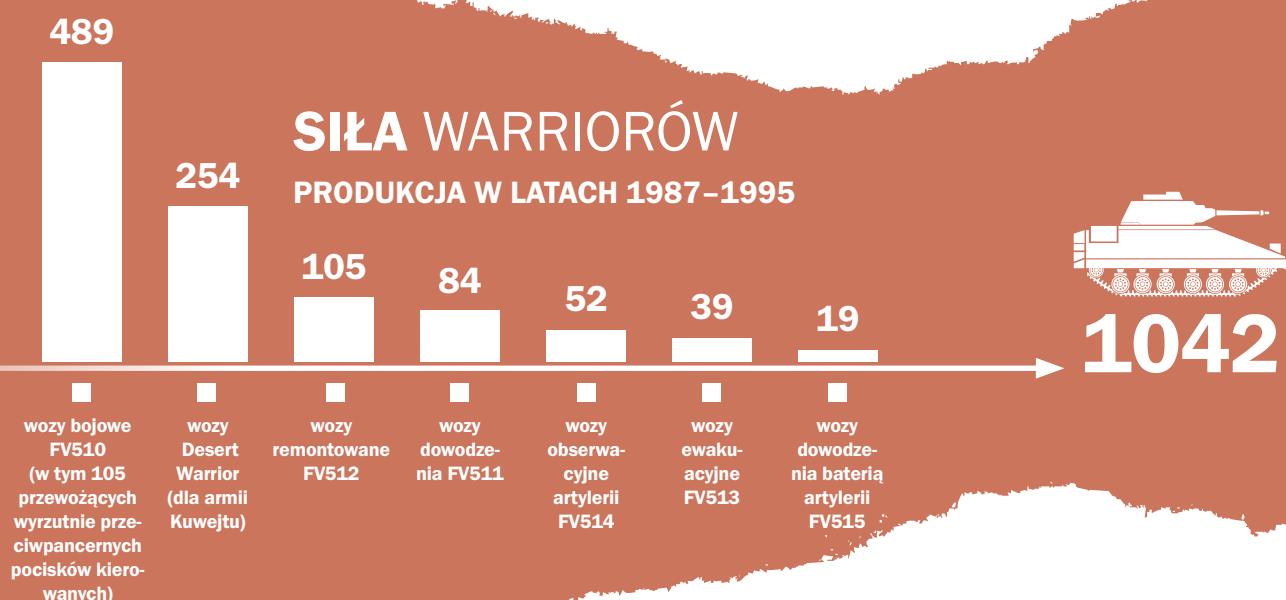
ubiegłego stulecia w reakcji na pojawienie się w armiach Układu Warszawskiego BWP-1 i BWP-2. Wtedy wojska lądowe Zjednoczonego Królestwa używały gąsienicowych transporterów piechoty FV432.

Brytyjskiego bewupa zaprojektowała firma GKN Sankey. Do 1980 roku powstały trzy prototypy, a w styczniu 1984 roku resort obrony rozpoczął rozmowy w sprawie uruchomienia produkcji MCV-80 Warrior. Pierwsze zamówienie produkcyjne dotyczyło 290 wozów, w tym 170 w wersji bojowej

Irak Kuwejtu. Potem wykorzystano je również w misjach na pograżonych w konfliktach zbrojnych obszarach rozpadłej Jugosławii. W 2003 roku z kolei w wojnie przeciwko Irakowi, a później na potrzeby operacji w Afganistanie.

WSPÓLNE UZBROJENIE

Doświadczenia z użycia w walce miały wpływ na decyzję o głębokiej modernizacji bojowego wozu piechoty, który i tak już wcześniej poddawano pewnym modyfikacjom.



z dwuosobową wieżą uzbrojoną w armatę Rarden kalibru 30 mm i 120 pojazdów specjalistycznych. Pierwszy wóz oficjalnie przekazano armii brytyjskiej w maju 1987 roku. Najpierw w warriorzy przebrojono bataliony zmechanizowane dywizji należących do stacjonującej w Niemieckiej Republice Federalnej Brytyjskiej Armii Renu.

W WIRZE HISTORII

Wielka Brytania planowała kupić 1053 transportery. Taka liczba pozwoliłaby na przebrojenie 13 batalionów. Na początku ostatniej dekady XX wieku w Europie nastąpiły jednak przemiany polityczne – rozpadł się Związek Sowiecki i przestał istnieć Układ Warszawski. Tym samym zakończyła się zimna wojna. Brytyjczycy, podobnie jak większość członków NATO, zaczęli ograniczać nakłady na obronność i redukować zakupy nowego uzbrojenia. Ostatecznie zatem w latach 1987–1995 tamtejsze wojska lądowe otrzymały około 800 bewupów.

Niemniej jednak warriorzy zadebiutowały na polu bitwy. W lutym 1991 roku użyto ich podczas operacji „Pustynna burza”, której celem było wyzwolenie okupowanego przez

Systemem łączności Bowman zastąpiono radiostację Clansman oraz zamontowano nowe celowniki nocne. Modernizację resort obrony uznał za jeden z priorytetowych projektów mających zwiększyć potencjał bojowych ciężkiego komponentu armii brytyjskiej. Wstępnie założono, że dzięki temu będzie można używać warriorów do 2025 roku, tyle że ten program uruchamiano bardzo powoli.

Jedną z kluczowych zmian była wymiana niestabilizowanej armaty L21A1 Rarden kalibru 30 mm, zasilanej z trzynabojowych łódek. Pierwsze przymiarki robiła firma Lockheed Martin UK, która w zmodyfikowanej wieży warriora zamontowała armatę automatyczną ATK Bushmaster Mk44 kalibru 30 mm. W 2008 roku brytyjski resort obrony zdecydował jednak, że nowy pojazd rozpoznawczy, który później otrzyma nazwę Ajax, i zmodernizowany warrior będą miały takie same uzbrojenie, czyli armatę CT40 strzelającą 40-milimetrową amunicją teleskopową. W naboju nie ma podziału na pocisk i łuskę – pocisk znajduje się wewnątrz łuski, otoczony materiałem miotającym. To rozwiązanie opracowały wspólnie koncerny BAE Systems z Wielkiej Brytanii i francuski Nexter.



PRACE NAD BOJOWYM WOZEM PIECHOTY BRYTYJCZYCY ROZPOCZĘLI W DRUGIEJ POŁOWIE LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH UBIEGŁEGO STULECIA W REAKCJI NA POJAWIENIE SIĘ W ARMIACH UKŁADU WARSZAWSKIEGO BWP-1 I BWP-2



STEPHEN LOVEGROVE, stały sekretarz w brytyjskim ministerstwie obrony, przewiduje trzyletnie opóźnienie we wprowadzeniu do służby warriorów oraz wzrost kosztów modernizacji o 227 mln funtów szterlingów.

Firmy kontynuowały prace, a resort obrony rozważał, ile bewupów trzeba poddać modernizacji. Według pierwszych założeń chodziło o 643, przy czym w 449 trzeba było zamontować nową wieżę i stabilizowaną armatę z automatycznym ładowaniem. Dzięki nowemu uzbrojeniu brytyjski bewup będzie mógł prowadzić skuteczny ogień, będąc w ruchu. Pozostałe modernizowane wozy miały być zaś pojazdami pomocniczymi, wozami ewakuacyjnymi i naprawczymi.

W 2014 roku kontrakt zmodyfikowano, obniżając te liczby – zdecydowano, że modernizacja obejmie tylko 380 pojazdów, z których 245 będzie w wersji bojowej. Z kolei w lipcu 2015 roku minister obrony Michael Fallon udzielił informacji, że podpisano umowę na dostawę 515 armat CT40.

Modernizacja warriorów dotyczy nie tylko uzbrojenia, lecz także na przykład ochrony wozu bojowego. Modułowe opancerzenie będzie można dostosowywać zależnie od rodzaju misji i zagrożeń. W pojazdach pojawi się też nowa elektronika, w tym cyfrowy system kierowania ogniem. Zostaną również zamontowane kamery, m.in. noktowizyjne, dzięki czemu załoga i żołnierze desantu będą mieli lepszą wiedzę o tym, co dzieje się na zewnątrz pojazdu. Poprawi się też ich komfort działania w różnych warunkach klimatycznych w związku z przewidzianą modernizacją klimatyzacji. Zaplanowano poza tym nowy powerpack, który zastąpi silnik Diesela o mocy 550 KM firmy Perkins.

WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Trwają już testy kilku prototypów zmodernizowanego wozu, a te ostateczne, które przesądzą o przyszłości programu, mają być wykonane do lipca 2020 roku. Tyle że według pierwotnego harmonogramu unowocześniony bewup miał wejść do służby w marcu 2020 roku. Stephen Lovegrove,

stały sekretarz w ministerstwie obrony, w liście do komisji rachunków publicznych Izby Gmin potwierdził, że przewiduje trzyletnie opóźnienie we wprowadzeniu do służby warriorów oraz wzrost kosztów modernizacji o 227 mln funtów szterlingów. Pytany o powody opóźnień Marcus Bruton, szef tego programu w rządowej agencji Defence Equipment and Support, powiedział, że wyzwaniem jest połączenie technologii z XXI wieku z tymi pochodzącymi z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Z kolei odpowiedzialny za ten program w firmie Lockheed Martin Lee Fellows ujawnił, że proces kwalifikacji wieży i armaty był trudniejszy, niż się spodziewano.

Lovegrove potwierdził, że ministerstwo obrony wstrzymuje się z podpisaniem umowy produkcyjnej, dopóki zmodernizowany bewup nie przejdzie prób z wynikiem pozytywnym. Z kolei przedstawiciele Lockheed Martina czuliby się bardziej komfortowo, gdyby resort ostatecznie zdecydował, ile warriorów zostanie poddanych modernizacji. Odpowiedzialny za program produkcji dyrektor Richard Claydon stwierdził, że problemem w rozmowach z ministerstwem obrony są pieniądze. Dlatego liczba wozów do modernizacji może zostać po raz kolejny zredukowana. Te zaś, które zostaną jej poddane, pozostaną w służbie do lat 2035–2040.

Unowocześnienie bojowego wozu piechoty nie jest jedynym programem pancernym w brytyjskich wojskach lądowych. Zamówiono już nowe platformy kołowe i gąsienicowe dla jednostek piechoty i rozpoznawczych. Zmodernizowana będzie też część czołgów. Nie ma jednak pewności, czy te programy też nie zostaną dotknięte cięciami, chociażby ze względu na konsekwencje ekonomiczne wyjścia Zjednoczonego Królestwa z Unii Europejskiej. ■

USA

Silnik dla SCAF

Francja i Niemcy podpisały strategiczne porozumienie w sprawie opracowania nowej generacji samolotu bojowego, który do 2035 roku zastąpi w siłach powietrznych tych państw myśliwce Eurofighter i Rafale.

Maszyna będzie wyposażona w nowy silnik. Porozumienie dotyczące jego zaprojektowania i produkcji podpisały francuska firma Safran i niemiecka MTU Aero Engines. Ich przedstawiciele uzgodnili, że każde przedsiębiorstwo zajmie się obszarem, w któ-

rym jest najlepsze. Dlatego Safran ma opracować gorące części silnika, w tym turbinę wysokociśnieniową i komorę spalania. Potrzebnych będzie wiele innowacyjnych rozwią-

zań, bo turbina będzie musiała działać w temperaturze około 2100°C. Obecnie istniejące technologie i materiały używane do budowy łopat turbin w silnikach odrzutowych na to nie pozwalają. Napęd samolotu



Rafale M88 działa w temperaturze około 1600°C. Silnik dla SCAF ma mieć zmienny cykl pracy, tak by myśliwiec mógł zarówno osiągać prędkość naddźwię-

kową, jak i krążyć w powietrzu przez dłuższy czas przy małej prędkości. Przewiduje się też w nim sterowaną dyszę. Innym obszarem odpowiedzialności Safrana będzie integracja silnika.

Z kolei MTU Aero Engines ma się zająć opracowaniem części chłodnych, w tym sprężarką wysokiego ciśnienia. Będzie też odpowiadał za kwestie konserwacji, napraw i remontów. Jednak na początek, do 2025 roku, ma powstać silnik wywodzący się z M88, odpowiadającego za napęd myśliwca Rafale, który zostanie zamontowany w demonstratorze samolotu SCAF. Demonstrator nowego silnika zgodnie z założeniami powstanie dwa lata później. ■

USA

Dalej i celniej

Uzyskanie przez artylerię zdolności skutecznego rażenia na coraz większych dystansach jest jednym z priorytetów US Army.

Z tego powodu testuje ona prototyp nowej samobieżnej haubicy XM 907 Extended Range Cannon Artillery kalibru 155 mm oraz precyzyjną amunicję do niej. Przed kilkoma tygodniami zostały przeprowadzone próbne strzelania dwoma pociskami. Nowością był XM1113. Armia amerykańska już przed kilkoma laty podała, że będzie miał on zupełnie nowy dodatkowy napęd rakietowy. XM1113 ma zastąpić pocisk M549A1, który z dodatkowym napędem, wystrzeliwany z działa z lufą o długości 39 kalibrów, ma zasięg 30 km. Zapowiadano, że w przypadku następcy będzie on o jedną

trzecią większy. Tymczasem, jak poinformował Rich Granitzki, specjalista z Dowództwa Rozwoju Zdolności Bojowych, podczas demonstracji XM1113 pokonał dystans 72 km. Z prototypowej haubicy strzelano też naprowadzanym za pomocą

GPS-u pociskiem Excalibur M982. W tym wypadku zasięg wzrósł z 40 km do 62 km.

Zwiększenie zasięgów dotyczy nie tylko artylerii lufowej, lecz także raketowej, reprezentowanej w amerykańskich siłach zbrojnych przez zestawy HIMARS i zmodernizowane M270 MLRS kalibru 227 mm. Dąży się do podwojenia zasięgu pocisku XM30 naprowadzanego przez GPS. Najpierw powstał wariant z małymi kontrolkami w kształcie skrzydeł, umieszczonymi w części nosowej, które zwiększają dokładność prowadzonego ognia o zasięgu 70 km. W następnym wariantcie dokonano kilku zmian.

Przeprojektowano część nosową pocisku raketowego, by poprawić jego aerodynamikę. Zamontowano też w nim lekki kompozytowy silnik. Wprowadzono poza tym ogonowy system kontrolno-sterujący (Tail Controlled Guided Multiple Launch Rocket System). W czasie prób zmodyfikowanego pocisku jego zasięg wyniósł 139 km. ■



ARMY

- ❶ Masa – 3,45 kg (AKM niezaladowany)
- ❷ Długość – 870 mm (AKM)
- ❸ Kaliber – 7,62×39 mm
- ❹ Długość lufy – 415 mm
- ❺ Pojemność magazynka – 30–45 naboji
- ❻ Szybkostrzelność – około 600 strz./min
- ❼ Zasięg skuteczny – 300 m

Po zakończeniu II wojny światowej w Związku Sowieckim opracowano karabinek automatyczny na amunicję pośrednią. W latach pięćdziesiątych broń ta trafiła do polskiego wojska. W połowie następnej dekady w Radomiu rozpoczęto produkcję zmodyfikowanego AK.



AK-47/AKM

TANTAL WZÓR 88



W latach osiemdziesiątych XX wieku skonstruowano karabinek, który miał być odpowiednikiem sowieckiej broni AK-74. Tantała przyjęto do uzbrojenia w 1991 roku, a już w 1994 roku zaprzestano produkcji, gdyż postanowiono wprowadzić do WP karabinek na amunicję natowską.

- ❶ Masa – 3,69 kg (z pustym magazynkiem)
- ❷ Długość – 943 mm (z rozłożoną kolbą)
- ❸ Kaliber – 5,45×39 mm
- ❹ Długość lufy – 423 mm
- ❺ Pojemność magazynka – 30 naboji
- ❻ Szybkostrzelność – 700 strz./min
- ❼ Zasięg skuteczny – 440 m

OD KAŁASZA DO GROTA

W Wojsku Polskim od ponad półwiecza są wykorzystywane karabinki szturmowe na amunicję pośrednią. Najnowszy jest krajowej konstrukcji grot.

**BERYL
WZÓR 96**



W latach dwięćdziesiątych XX wieku po przemianach politycznych opracowano karabinek przystosowany do strzelania amunicją używaną w armiach państw zachodnich należących do NATO. Powstała też skrócona wersja, subkarabinek mini-Beryl. Broń była potem modyfikowana.

- ❶ Masa – ok. 3,65 kg (bez magazynka)
- ❷ Długość – 980 mm (z rozsunietą kolbą teleskopową)
- ❸ Kaliber – 5,56×45 mm NATO
- ❹ Długość lufy – 457 mm
- ❺ Pojemność magazynka – 30 naboji
- ❻ Szybkostrzelność – 700 strz./min.
- ❼ Zasięg skuteczny – 600 m



W Polsce powstał modułowy system broni strzeleckiej (MSBS), w którego skład mają wchodzić różne warianty karabinków. Jako pierwszą kupiono broń dla jednostek reprezentacyjnych. W 2017 roku zamówiono 53 tys. karabinków podstawowych Grot C16 FB-M1 w wersji klasycznej.

- ❶ Masa – 3,65 kg (bez magazynka)
- ❷ Długość – 900 mm (z kolbą wysuniętą)
- ❸ Kaliber – 5,56×45 mm NATO
- ❹ Długość lufy – 406 mm
- ❺ Pojemność magazynka – 30–60 naboji
- ❻ Szybkostrzelność – 700–900 strz./min
- ❼ Zasięg – około 500 m

GROT MSBS

Berylę i groty strzelają taką samą amunicją, jak większość podobnych konstrukcji zachodnich.

W ramach programu MSBS opracowywano równolegle broń w układach klasycznym i bezkolbowym.



WOJNA O ORBITE

Przez ostatnie 20 lat sztuczne satelity z urządzeń pomocniczych stały się strategicznymi obiektami, które w razie wojny trzeba zniszczyć, jeśli chce się myśleć o zwycięstwie.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Choć przez wiele lat propaganda sowiecka karmiła świat opowieściami o tym, jak wielkim zaskoczeniem było dla Amerykanów wysłanie przez Rosjan w 1961 roku w Kosmos człowieka, to jednak Stany Zjednoczone nie mogły być tym zbyt zaskoczone. Lekcję pokory wobec możliwości radzieckiego przemysłu zbrojeniowego i nauki USA odebrały bowiem w 1949 roku, kiedy to ZSRR przeprowadził test swojej bomby jądrowej. A według amerykańskiego wywiadu miało to nastąpić dopiero na początku lat pięćdziesiątych. Takie pomyłki na długo zapadają w pamięć.

Bezsprzecznie to Rosjanie w październiku 1957 roku jako pierwsi wysłali w Kosmos swojego sztucznego satelitę. Ale USA zrobiły to zaledwie cztery miesiące później, dlatego nie można mówić o jakiejś przewadze technologicznej jednego bądź drugiego supermocarstwa, chyba że w kontekście nadszarpniętego ego. Dopiero w latach sześćdziesiątych – po tym,

jak ZSRR pierwsze wysłało w Kosmos człowieka – kosmiczny wyścig stał się dla Amerykanów priorytetową rywalizacją i osiągnęli oni przewagę nad sowiecką Rosją. Jako pierwsi wylądowali na Księżycu, wydając na to dziesiątki miliardów dolarów.

ARCYTRUDNY CEL

Od początku kosmicznego wyścigu zarówno dla Amerykanów, jak i Rosjan było jasne, że ze względu na strategiczne znaczenie satelitów trzeba opracować metody ich neutralizacji. Specjaliści z obu supermocarstw mieli jednak świadomość, z jak trudnym wyzwaniem chcą się zmierzyć.

Pierwszym problemem była wysokość, na jakiej znajduje się ewentualny cel. Pionierski radziecki satelita w czasie swojego dziewiczego lotu osiągnął maksymalnie nieco ponad 900 km. Amerykański Explorer 1 – ponad 1400 km.



A satelity systemu nawigacji kosmicznej Transit zostały umieszczone na wysokości 1100 km nad Ziemią. Co to oznaczało? Że w początkowej fazie podboju Kosmosu ludzkość była w stanie umieszczać satelity jedynie na tzw. niskiej orbicie Ziemi (Low Earth Orbit – LEO), czyli od 200 do 2000 km nad globem.

Bardzo szybko jednak, bo już pod koniec lat sześćdziesiątych, zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie byli w stanie wysłać satelity znacznie wyżej, bo na kilkadziesiąt tysięcy kilometrów. Satelity GPS zostały umieszczone na wysokości ponad 20 tys. km, a wojskowe satelity komunikacyjne nawet na tzw. orbicie geostacjonarnej – czyli 34 tys. km nad równikiem. Gwarantowało to, że obiekt będzie się znajdował cały czas w jednym punkcie, poruszając się razem z planetą. Tym samym nie trzeba będzie bez przerwy regulować (obracać) anten odbiorczych i nadawczych.

PIONIERSKI RADZIECKI SATELITA W CZASIE DZIEWI- CZEGO LOTU OSIĄ- GNAŁ MAKSYMALNĄ WYSOKOŚĆ NIECO PONAD 900 KILOME- TRÓW. **AMERYKAŃ- SKI EXPLORER 1 – PONAD 1400**

Drugim, obok wysokości, problemem były fizyczne właściwości ewentualnego celu – nie tylko szybko poruszającego się po orbicie (na najniższej orbicie satelity osiągają prędkość nawet 25 tys. km/h), lecz przede wszystkim niewielkich rozmiarów. Rosyjskie satelity Zenit były kulami o średnicy zaledwie 2 m! Jak więc w coś takiego trafić?

SPOSOBY ZNISZCZENIA

Pomysły na to, w jaki sposób zlikwidować – bo tak to trzeba ująć – wybranego satelitę, były bardzo różne. Od wyrafinowanych po bardzo siłowe. I choć zachodnim purystom trudno będzie to przyznać, to w latach sześćdziesiątych po te ostatnie zdecydowanie chętniej chcieli sięgać Amerykanie. Jeden z ich flagowych pomysłów zakładał użycie bomby atomowej. To, że w wyniku jej eksplozji zostałyby zniszczone wszystkie okoliczne obiekty, również własne, nie miało zbyt wielkiego znaczenia.

Rosjanie, choć także mieli w odwodzie atom, stawiali jednak na inne pomysły. Chcieli uderzać celniej i bardziej skrycie niż atomowym grzybem. Zakładali np., że wysadzą swojego satelitę w pobliżu satelity-celu. Co bardzo istotne, miała go zniszczyć nie sama siła wybuchu, lecz odłamki, które w Kosmosie nabrałyby zabójczej prędkości. Takie rozwiązanie miało wadę – raz wypuszczone w Kosmos odłamki krążyłyby po orbicie jeszcze parę lat, a ich celem byłby każdy napotkany obiekt. Także własny. Innym ciekawym pomysłem było zainstalowanie na swoim satelicie działka, z którego można byłoby ostrzelać obiekt wroga. Nadal jednak efektem ataku byłby zabójczy rój odłamków.

To właśnie brak kontroli nad kosmiczną bronią, która mogłaby zadać straty nie tylko nieprzyjacielowi, lecz także własnym obiektom, doprowadził do zawarcia przez USA i ZSRR niepisanej ugody o powstrzymaniu się od militaryzacji Kosmosu. Oczywiście obie strony nie przestrzegały jej w pełni, prowadząc mniej lub bardziej zaawansowane badania nad nowymi rozwiązaniami, jednak trzeba wyraźnie stwierdzić, że na parę dekad zahamowało to orbitalny wyścig zbrojeń.

Obecnie możemy powiedzieć (z punktu widzenia zagrożeń, jakie niesie to dla zwykłych użytkowników chociażby telewizji satelitarnych), że mamy do czynienia z zupełnie nowym wyścigiem zbrojeń w dziedzinie broni zdolnej zwalczać satelity. I co bardzo ważne, nie rozpoczęły go ani USA ani Rosja. Pojawił się bowiem nowy gracz – Chiny, do których niedawno dołączyły także Indie. Ich orężem w walce z satelitami stały się zaś antybalistyczne pociski raketowe z głowicami typu „hit to kill”, czyli niszczące swój cel energią kinetyczną. Broń stworzona po to, aby zwalczać nadlatujące wrogie rakiety, okazała się bowiem bardzo podatna na modyfikację i zmianę celu – na satelitę umieszczonego nawet na orbicie geostacjonarnej. ■

Wszystko dla bezpieczeństwa

Targi **EUROPOLTECH** są skierowane głównie do policji, straży granicznej, służby więziennej, wojsk specjalnych, Żandarmerii Wojskowej oraz firm ochroniarskich. Swoją ofertę w tym roku zaprezentowały firmy krajowe i zagraniczne, a wojsko i służby mundurowe pokazały sprzęt, który już mają do dyspozycji.

Karabinek cywila

Amerykański karabinek Troy SOCC APDW kalibru 5,56 mm, firmy Troy Industries, był jednym z produktów prezentowanych na warszawskich targach przez Cenzin. Karabinek PDW został stworzony zgod-

nie z wymaganiami sił specjalnych. Waży około 3 kg i jest zasilany z 30-nabojowego magazynka. Lufa ma 19 cm długości. Z broni oferowanej na rynek cywilny nie można strzelać seriami. W



P.C.O.

W WERSJI MINI

Spółka PCO pokazała zminiaturyzowany monokular noktowizyjny MU-3 MS.

Do jego walorów należą m.in. niewielka masa – 260 g wraz z baterią, oraz wielofunkcyjność. **MU-3 MS można montować na głowie lub hełmie.** Istnieje możliwość jego łączenia z okularami lub w formie stereoskopowych gogli. Może być używany jako ręczne urządzenie obserwacyjne lub montowany na broni z szyną Picatinny. Zapewnia trzy- lub pięciokrotne powiększenie obrazu, a wbudowany dwustopniowy iluminator IR umożliwia pracę w całkowitych ciemnościach. MU-3 MS może działać na baterii, przy temperaturze 20 stopni Celsjusza przez ponad 40 godzin. TED



RAZEM I OSOBNO

Na wystawie można było obejrzeć mały uniwersalny dron Altura Zenith firmy Aerialtronics, której specjalnością są komercyjne bezzałogowe statki powietrzne. Wyposażona w osiem elektrycznych silników maszyna może przenosić różne ładunki, w tym kamery i systemy oświetlenia. Na warszawskich targach dron zaprezentowano razem z kamerą Pensar, która pozwala wykryć i rozpoznać osoby i obiekty o określonych cechach. Możliwe jest m.in. odczytanie samochodowych tablic rejestracyjnych. WW

Terenówka na gąsienicach

Interesującym rozwiązaniem zaproponowanym przez spółkę Germaz jest system adaptacji pojazdów kołowych (z układem napędowym 4x4) na gąsienicowe. Rubber Track Systems stworzyła rumuńska firma ACF Industries. Gumowe gąsienice o szerokości 350 mm z przodu i 400 mm z tyłu są przeznaczone do pojazdów o masie do 5,5 t, ale muszą one mieć sztywny most i blokadę mechanizmu różnicowego z tyłu. Wyposażony w nie wóz może poruszać się z prędkością do 60 km/h. Walorem takiego rozwiązania jest szybki montaż gąsienic. WT





KAMPER DLA CZWORONOGÓW

Na targach została wystawiona specjalna przyczepa spółki Metbox, służąca do przewozu psów. Jest zbudowana z aluminium i przeznaczona dla czterech czworonogów. Pod podnoszonym dachem zaprojektowano przegródki na akcesoria. Te można również przewozić w znajdującym się na przodzie przyczepy kufrze. Istnieje możliwość zamontowania przed nim dodatkowego bagażnika rowerowego. WW

OKO NA DRONY

Można było zobaczyć w czasie targów wielosensorowy system do wykrywania i neutralizacji bezzałogowych statków powietrznych iCarX Wojskowych Zakładów Uzbrojenia. **W jego skład wchodzi radar wykrywający małe drony.** Do ich obserwacji, rozpoznania i śledzenia służy system optyczny z głowicą optoelektroniczną GOS-1 Aurora, mający dwie kamery oraz dalmierz laserowy. Do neutralizacji wykrytych bezzałogowców można użyć opracowanej przez Wojskowe Zakłady Elektroniczne lancy elektromagnetycznej. Czwartym elementem składowym iCarX jest system kontroli. WRT



Mobilna rozgłośnia

Wojskowe Zakłady Łączności Nr 2 zaprezentowały rozgłośnię elektroakustyczną REA-T umieszczoną na samochodzie terenowym Toyota Land Cruiser. Na dachu pojazdu ułożono głośniki tubowe. W wyposażeniu są mikrofony stacjonarne oraz bezprzewodowe, cyfrowy rejestrator dźwięku i komputer PC. Rozgłośnia jest zasilana

z akumulatorów. Moc akustyczna REA-T wynosi 800 W, natomiast zasięg – 2,5 km.

WW

MICHAŁ NIWICZ (7)

WYBUCHY POD KONTROLĄ

Podczas EUROPOLTECH policja pokazała jeden ze swoich ambulansów pirotechnicznych, który powstał na platformie samochodu ciężarowego MAN TGM 18.340. Firma WISS

zabudowała podwozie, a Jakusz dostarczył osprzęt i pojemniki pirotechniczne. W pojemniku przeciwybuchowym można przewozić niewybuchy pocisków artyleryjskich

o kalibrach do 122 mm oraz inne przedmioty zawierające materiały wybuchowe. W wyposażeniu jest także robot pirotechniczny. WR



Pojemniki pirotechniczne chronią życie ludzkie, infrastrukturę oraz środowisko naturalne przed skutkami wybuchu.

STRATEGIE

/ AZJA



RYDWANY DŽIHADU

Czy ataki dżihadystów, takie jak te na Sri Lance, staną się stałym elementem krajobrazu społeczno-politycznego w wielu krajach Azji Południowo-Wschodniej?

TOMASZ OTŁOWSKI

W maju 2017 roku doszło do bitwy między siłami rządowymi a członkami grupy Maute o miasto Marawi na wyspie Mindanao. W walkach zginęło ponad 100 osób. Terroryci przejęli miasto na kilka miesięcy.

XINHUA/EAST NEWS



S

eria krwawych zamachów terrorystycznych na kościoły i hotele, przeprowadzona na Sri Lance w Niedzielę Wielkanocną 21 kwietnia 2019 roku, zaskoczyła i zszokowała cały świat. Śmierć w atakach, do których przyznały się niewielkie miejscowe ugrupowania islamistyczne działające na rzecz i w imieniu Państwa Islamskiego (IS), poniosło około 260 osób (w tym ponad 40 cudzoziemców), a niemal 600 zostało rannych. Płasuje to lankijski dramat w czołówce listy najkrwawszych ataków terrorystycznych na świecie w ostatniej dekadzie. Był to także największy pod względem liczby ofiar zamach dokonany przez IS od początku istnienia tej organizacji.

Wielkanocne ataki stanowią potwierdzenie obaw, że w całej Azji Południowo-Wschodniej toczy się zażarta walka między Państwem Islamskim a Al-Kaidą (AQ) o wpływ wśród lokalnych społeczności muzułmańskich. Ważnym elementem rywalizacji obu tych głównych struktur międzynarodowego dżihadu jest dążenie do radykalizacji miejscowych muzułmanów i włączenia ich w działania własnych globalnych sieci ekstremistycznych.

RYWALIZACJA O RZĄD DUSZ

Formalną odpowiedzialność za zorganizowanie zamachów na Sri Lance wzięły na siebie dwa miejscowe ugrupowania radykalnych muzułmanów: National Thowheed Jama'ath (Narodowe Stowarzyszenie Monoteizmu) oraz Jama'athe Milla'athe Ibrahim (Stowarzyszenie Wiary i Tradycji Abrahama). Oba znane były dotychczas niemal wyłącznie z hałaśliwych pikiet i demonstracji oraz werbalnych ataków na wrogów islamu, podejmowanych przede wszystkim przeciwko buddystom.

Wielkanocne zamachy, których celem stali się przede wszystkim lankijscy chrześcijanie, świadczą więc o fundamentalnej zmianie ideowych priorytetów i celów działania miejscowych ekstremistów islamskich. Ta przemiana nie byłaby jednak możliwa bez inspiracji i wpływów z zewnątrz – w tym wypadku Państwa Islamskiego. Ugrupowanie kali-



fa Ibrahima (Abu Bakr al-Baghdadi) zdołało bowiem w ostatnich latach stworzyć na Sri Lance duży i dobrze zakonspirowany przyczółek, wykorzystując do tego miejscowy muzułmański radykalizm. IS wyprzedziło konkurencyjną Al-Kaidę, która również niejako specjalizuje się w budzeniu dżihadystycznej świadomości wśród lokalnych społeczności islamskich w wielu miejscach świata. Najwyraźniej emisariusze kalifatu dotarli na Sri Lankę wcześniej lub też ich oferta okazała się bardziej atrakcyjna niż AQ.

W efekcie na wyspie od co najmniej trzech lat działało kilka zakonspirowanych komórek Państwa Islamskiego, które przygotowywały zamachy i szerzyły wśród miejscowych muzułmanów ideologię



ATAK TERRORYSTYCZNY NA SRI LANCE BYŁ NAJWIĘK- SZYM POD WZGLĘDEM LICZBY OFIAR ZAMACHEM DOKONANYM PRZEZ IS OD POCZĄTKU ISTNIE- NIA TEJ ORGANIZACJI

świętej wojny w wydaniu kalifatu. Cudzoziemscy operatorzy IS, w tym wielu doświadczonych w walkach bojowników z Bliskiego Wschodu, dysponowali pokaźnymi funduszami, a także odpowiednim know-how i zasobami materiałowymi, dzięki czemu mogli planować i przygotowywać operacje terrorystyczne.

Radykaliści wywodzący się spośród lokalnej społeczności muzułmańskiej odpowiadali za udzielanie schronienia organizatorom przedsięwzięcia, dostarczanie informacji niezbędnych do przygotowania ataku, a także wystawienie zamachowców ochotników. Wszyscy szahidzi (muzułmańscy zamachowcy samobójcy), którzy przeprowadzili wielkanocne ataki, byli rodowitymi Lankijczykami. Tamtejsze siły bezpieczeństwa potrzebowały aż dwóch tygodni na eliminację lub aresztowanie większości członków komórek IS na wyspie, liczą-

cych niemal 300 radykałów, głównie miejscowych muzułmanów. Ludzie ci byli doskonale zorganizowani i wyposażeni (mieli nawet własny obóz szkoleniowy na wschodzie wyspy). Wielu z nich było ponadto szkolonych do roli szahidów, co oznacza, że kalifat szykował kolejne zamachy na Sri Lance, być może wymierzone nie tylko w chrześcijan.

MUZUŁMAŃSKA APOKALIPSA

Radykalizacja muzułmanów ze Sri Lanki i włączenie się w globalną świętą wojnę pod sztandarami kalifatu nie jest czymś wyjątkowym. Proces umiędzynaradawiania celów i powiązań regionalnych bądź lokalnych społeczności radykałów islamskich w różnych częściach świata to typowa droga, którą przeszło w minionych dwóch dekadach wiele ugrupowań. W szczególny sposób można było obserwować ten proces →

w Azji Środkowej oraz Południowo-Wschodniej, m.in. na przykładzie talibów pakistańskich z Tehrik-i-Taliban Pakistan, afgańskich Islamistów z Emiratu Afgańskiego, a także tych uzbeckich czy tadżyckich.

Podobne mechanizmy można zaobserwować dziś na Sri Lance oraz w wielu innych krajach lub regionach Azji Południowo-Wschodniej. Wszędzie tam – od Kaszmiru, Indii i Bangladeszu, przez Mjanmę (Birmę), Malediwy, Tajlandię i Malezję, aż po Singapur, Indonezję i Filipiny – ma miejsce stopniowa radykalizacja tamtejszych społeczności muzułmańskich.

Często temu zjawisku sprzyjają specyficzne lokalne uwarunkowania historyczne, społeczno-polityczne i ekonomiczne: presja, a nawet prześladowania ze strony dominującej lub rządzącej wrogiej większości (etnicznej bądź religijnej), oraz fatalna sytuacja gospodarcza, powodująca wśród mieszkańców biedę i brak perspektyw życiowych. Proces radykalizacji muzułmanów w tej części Azji jest również stymulowany narastającą od ponad pięciu lat rywalizacją między Al-Kaidą a IS. Konkurują one przede wszystkim o wpływy wśród grup islamistycznych już działających, nierzadko od dekad, w wielu krajach azjatyckich. Obie starają się także – tak jak miało to miejsce na Sri Lance w przypadku IS – wychować własnych lokalnych sojuszników, dających największą gwarancję sukcesu w realizacji długofalowych strategii.

Spośród wszystkich rejonów działania Al-Kaidy i Państwa Islamskiego to właśnie Azja Południowo-Wschodnia, a zwłaszcza region afgańsko-pakistański, ma dla islamistów szczególne znaczenie. To tutaj, na obszarze częściowo odpowiadającym terytorium historycznej krainy Chorasana, ma się według muzułmańskiej tradycji apokaliptycznej zapisanej w apokryfach (hadisach) zrodzić ruch wiernych, który doprowadzi do wyzwolenia Jerozolimy z rąk niewiernych. I chociaż od 2014 roku rywalizacja między Państwem Islamskim a Al-Kaidą o tę część Azji toczy się głównie w Afganistanie, Pakistanie i Kaszmirze, to od pewnego czasu obserwuje się również gwałtowny wzrost aktywności islamskich grup ekstremistycznych w innych rejonach Azji Południowo-Wschodniej.

POD SZTANDARAMI KALIFA

Problem ten dotyczy nie tylko Sri Lanki. Na Filipinach, gdzie napięcia między chrześcijańską większością a muzułmanami mają długą tradycję, od dawna działają dwie duże grupy islamistyczne: Abu Sajef (wcześniej powiązana z Al-Kaidą, obecnie deklarująca wierność IS) oraz tzw. grupa



Maute. Ta ostatnia (znana też jako Islamskie Państwo Lanao, a dawniej używająca nazwy Islamski Front Wyzwolenia Moro) w 2017 roku zajęła na kilka miesięcy 200-tysięczne miasto Marawi na wyspie Mindanao. Ustanowiła tam stolicę nowo powołanej przez siebie filipińskiej prowincji kalifatu – Wilajet al-Falabin, wprowadzając szariat i prześladowując miejscowych chrześcijan.

Na Filipinach działają też komórki IS bezpośrednio podległe centrali tej organizacji, składające się – podobnie jak na Sri Lance – z doświadczonych cudzoziemskich bojowników przybyłych na archipelag, aby szerzyć dżihad. To właśnie te struktury odpowiadają zapewne za samobójczy zamach terrorystyczny na katedrę katolicką

NA FILIPINACH OD DAWNA DZIAŁAJĄ DWIE DUŻE GRUPY ISLAMISTYCZNE:

ABU SAJEF (DEKLARUJĄCA WIerność IS) ORAZ TZW. **GRUPA MAUTE**. FUNKCJONUJĄ TAM RÓWNIEŻ KOMÓRKI IS BEZPOŚREDNIO PODLEGŁE CENTRALI TEJ ORGANIZACJI, ZŁOŻONE Z CUDZOZIEMSKICH BOJOWNIKÓW



w mieście Jolo, przeprowadzony w styczniu 2019 roku. Podobnie teren Indonezji jest areną działania kilku ugrupowań islamskiego dżihadu, powstałych nierzadko wiele dekad temu. Należy do nich przede wszystkim, ciesząca się złą sławą Dżama'a Islami'ja (Grupa Islamska – GI), organizacja do dzisiaj będąca formalnie ekspozyturą Al-Kaidy na całą Azję Wschodnią, odpowiedzialna za wiele krwawych zamachów (m.in. na Bali w 2002 roku).

Inną aktywną indonezyjską grupą islamistyczną jest organizacja Mudżahedini Wschodniej Indonezji (znana też jako Mudżahedini Indonezyjskiego Timuru – MIT), wprost określająca się jako indonezyjska prowincja kalifatu. Będąc częścią Państwa Islamskiego, MIT pozostaje w opozycji wobec GI, a starcia między nimi nie należą do rzadkości. Warto też odnotować, że struktury GI operujące na Filipinach są w po-

dobnym konflikcie z grupami dżihadystycznymi tworzącymi tamtejszą filipińską prowincję kalifatu. Ideologia dżihadystyczna szerzy się również w Bangladeszu, gdzie w ostatnich latach znalazło schronienie niemal milion muzułmańskich uchodźców z sąsiedniej Mjanmy (Birmy), należących do grupy etnicznej Rohingya. Ich obecność narusza delikatną równowagę społeczno-polityczną i etniczno-wyznaniową Bangladeszu, co już wykorzystują radykałowie z Dżamaat-ul-Mudżaheddin Bangladesh (Stowarzyszenie Bożych Bojowników Bangladeszu), powiązani z IS.

Równie duży niepokój ekspertów budzi sytuacja na niewielkich Malediwach – wyspiarskim państewku na Oceanie Indyjskim, niemal w całości zamieszkanym przez muzułmanów, którzy zaskakująco szybko ulegają radykalizacji. Na archipelagu rosną wpływy IS – po 2014 roku szeregi kalifatu w Lewancie zasiłowało aż 200 obywateli liczącego około 400 tys. mieszkańców kraju. Ten optywający w dostatki raj dla zachodnich turystów jest powszechnie typowany jako kolejne po Sri Lance potencjalne miejsce zamachów w wykonaniu islamistów spod sztandarów kalifa.

KONIEC, KTÓREGO NIE BYŁO

Udana operacja terrorystyczna IS na Sri Lance została przeprowadzona niedługo po tym, jak padł ostatni bastion Państwa Islamskiego w Syrii. Terytorialna klęska kalifatu w Lewancie skłoniła wielu zachodnich polityków i dyplomatów do wygłaszania optymistycznych ocen i komentarzy dotyczących stanu wojny z kalifatem. Wielkanocny dramat dobitnie pokazał jednak, że Państwo Islamskie nie potrzebuje – podobnie jak Al-Kaida – własnego terytorium, aby móc skutecznie działać i realizować swe zbrodnicze cele. Już kilka lat temu stało się bowiem oczywiste, że kalifat IS to coś znacznie więcej niż tylko określone terytorium w samym sercu Bliskiego Wschodu. Dzisiaj to przede wszystkim budząca żywy odzew muzułmańskich mas ideologia oraz bezkompromisowo realizowana strategia na rzecz wprowadzenia na świat islamskiej wersji królestwa bożego. To także rozbudowana globalna sieć organizacji i grup islamistycznych, jednoznacznie uznających wiodącą rolę kalifa Ibrahima w walce o dominację islamu na świecie.

Upadek centrali kalifatu na Bliskim Wschodzie może paradoksalnie uczynić IS organizacją jeszcze groźniejszą, niż była dotychczas. Pokonana w Lewancie, upokorzona i pozbawiona źródeł swej finansowej potęgi, a także zmuszona do decentralizacji (czego dotychczas starała się uniknąć w odróżnieniu od sieciowej Al-Kaidy) – staje się mniej przewidywalna i jeszcze bardziej radykalna. Dzieje się tak również ze względu na rosnącą presję ze strony islamistycznej konkurencji, która po kilku latach regresu zaczyna odzyskiwać wigor. Wiele wskazuje na to, że zwłaszcza region Azji Południowo-Wschodniej może stać się w najbliższej przyszłości jednym z głównych (obok kontynentu afrykańskiego) miejsc żywiołowej eskalacji aktywności dżihadystycznej, prowadzonej pod sztandarami zarówno Al-Kaidy, jak i kalifatu. To zaś może oznaczać, że dramatów takich jak ten na Sri Lance będzie coraz więcej. ■



Raj utracony

Sri Lanka wydawała się jednym z bezpieczniejszych państw w regionie. Dlaczego islamiści wybrali ją na miejsce ataków terrorystycznych?

T A D E U S Z W R Ó B E L

Wielkanocne ataki w Sri Lance były największe od czasu zakończenia w tym kraju wojny domowej w 2009 roku. Lankijskie władze szybko jako sprawców wskazały miejscową organizację islamskich ekstremistów National Thowheed Jamaath (NTJ). Po kilku dniach potwierdziły się jednak podejrzenia, że mieli oni wsparcie zewnętrzne. Abu Bakr al-Baghdadi, lider tzw. Państwa Islamskiego (IS), na upublicznionym w internecie nagraniu wideo ogłosił, że zamachy były odwetem za działania wobec tego ugrupowania.

Fakt, że do ataków doszło na Sri Lance, stanowił zaskoczenie, bo dotąd ekstremiści islamscy nie byli na wyspie zbyt aktywni. Na tle ościennych państw wydawała się ona dość spokojna. Lankijskie władze nie przystąpiły do koalicji antyterrorystycznej wymierzonej w islamistów. Jednak bierność nie zapewniła ich państwu bezpieczeństwa, bo istniały wewnętrzne przyczyny radykalizacji części miejscowych muzułmanów, w tym młodych z zamożnych rodzin. Ten proces był dostrzegany od pewnego czasu. W listopadzie 2016 roku w lankijskim parlamencie pojawiła się informacja o 32 oso-

bach z tego środowiska, które dołączyły do IS. Tymczasem jednym z sygnałów, że miejscowi islamiści mogą zacząć stosować przemoc, był przypisywany NTJ atak z 26 grudnia 2018 roku na buddyjskie posągi w Mawanella, w dystrykcie Kegalle. Incydent ten wywołał antymuzułmańskie zamieszki.

DEMONY PRZESZŁOŚCI

Mieszkańcy Sri Lanki stanowią mozaikę etniczną i wyznaniową. Liczebność wyznawców islamu, określanych tam jako Maurowie, szacowana jest na około 10% i nie jest to społeczność



AFP/EAST NEWS

ATAKI NA SRI LANCE STANOWIŁY DUŻE ZASKOCZENIE, BO DOTĄD EKSTREMIŚCI ISLAMSCY NIE BYLI NA WYSPIE ZBYT AKTYWNI

jednolita. Wyróżnia się tam trzy grupy. Największą są tzw. lankijscy muzułmanie. Przypuszcza się, że to potomkowie arabskich kupców, którzy wchodzili w związku z miejscowymi kobietami, a także zamieszkujący wschodnie wybrzeża Tamilowie, którzy przeszli na islam. Drugą grupę stanowią potomkowie osiadłych na wyspie w epoce kolonialnej emigrantów z Indii. Najmniejszą część społeczności muzułmańskiej tworzą potomkowie przybyszów z Półwyspu Malajskiego.

Chrześcijaństwo pojawiło się natomiast na Ceylonie (nazwa Sri Lanka obo-

wiązuje od 1956 roku) wraz z europejskimi kolonizatorami – Portugalczykami (1505–1658), Holendrami (1658–1796) i Brytyjczykami (1796–1948). Cztery piąte spośród nich jest katolikami. Chrześcijaństwo przełamują wewnętrzne podziały etniczne, religijne i polityczne w społeczeństwie Sri Lanki. Wyznawcami tej religii są Syngalezi i Tamilowie, a także większość Burgów, czyli Euro-azjatów, którzy są z mieszanych związków. W odróżnieniu od muzułmanów

chrześcijanie nie stanowią odrębnej grupy narodowościowej.

Czas i miejsca ataków wybrano, by osiągnąć największy efekt propagandy za granicą. Przed wielkanocnymi zamachami na Sri Lance nie był dostrzegalny ostry konflikt chrześcijańsko-muzułmański. Większym problem zdawał się stary spór pomiędzy wyznającymi w większości buddyzm Syngalezami a Tamilami, wśród których dominuje hinduizm. Pierwsi stanowią około 75% lankijskiego społeczeństwa, Tamilami zaś jest około 15% mieszkańców wyspy. Zatargi między buddystami ➔

Żałobnicy zapalają świece podczas czuwania ku pamięci ofiar w Kolombo, 28 kwietnia 2019 roku.

a hinduistami mają przełożenie na politykę i stały się zarzewiem krwawego konfliktu wewnętrznego. W latach 1983–2009 na Sri Lance trwała brutalna wojna domowa z partyzantką tamilską.

Jedną z przyczyn, które do niej doprowadziły, była dyskryminacja Tamilów. Korzenie tego konfliktu sięgają epoki kolonialnej, gdy Brytyjczycy rozgrywali miejscowe podziały, by ugruntować władzę. Faworyzowali mniejszość tamilską kosztem Syngalezów. Gdy Cejlon uzyskał niepodległość, ci w rewanżu zaczęli marginalizować Tamilów. Buddyzm ogłoszono główną religią, a syngaleski językiem urzędowym. Niemniej jednak podczas wojny domowej podział społeczeństwa nie przebiegał według wyznania. Po obu stronach byli chrześcijanie i muzułmanie oraz członkowie innych mniejszości etnicznych. Aczkolwiek stanowili oni niewielki odsetek walczących.

W państwie zdominowanym przez buddyjskich Syngalezów mniejszości są marginalizowane. Ich przedstawiciele mają ograniczone szanse na karierę polityczną oraz dostęp do ważnych stanowisk państwowych. Przynależność do takiej grupy społecznej nie ułatwia też prowadzenia działalności gospodarczej. Frustracje wśród ludzi zamożnych sprawiają, że są oni podatni na propagandę islamistów. Dziewięcioro wykonawców zamachów w Niedzielę Wielkanocną pochodziło z wyższej klasy społecznej. Dwaj z nich byli synami handlarza przyprawami Mohameda Yusufa Ibrahima, czyli należeli do jednej z najbogatszych rodzin w Kolombo.

WOJNA NA GÓRZE

Premier Ranil Wickremesinghe ujawnił 25 kwietnia, że jego rząd wiedział o powrocie do kraju obywateli, którzy walczyli w Syrii, ale nie mógł nic zrobić, bo przynależność do zagranicznej organizacji terrorystycznej nie była przestępstwem w świetle lankijskiego prawa. Owa luka prawna pozwalała przysmykać oko na obecność na wyspie osób poszukiwanych w innych państwach. Lankijski system bezpieczeństwa zaś koncentrował się od kilkudziesięciu lat na zwalczaniu tamilskiego separatyzmu, który stanowił główne zagrożenie o charakterze we-



PREZYDENT MAITHRI-PALA SIRISENA ZARAZ PO ZAMACHACH ZNALAZŁ KOZŁY OFIARNE WŚRÓD PODLEGŁYCH MU URZĘDNIKÓW

wewnętrznym. Niemal od razu po dramatycznych wydarzeniach w Niedzielę Wielkanocną pojawiły się informacje stawiające w bardzo niekorzystnym świetle władze Sri Lanka. Otóż 4 kwietnia Stany Zjednoczone i Indie zasygnalizowały im, że na wyspie może dojść do ataków terrorystycznych. Wywiad północnego sąsiada wskazał, że celem islamskich ekstremistów mogą być ważne kościoły i indyjska ambasada. Ostrzeżenia trafiły na biurko inspektora generalnego policji Pujitha Jayasundara'e. Jego zastępca Priyalaal Dissanayake 11 kwietnia przesłał listownie informacje o nich do szefów agencji bezpieczeństwa. Nie podjęto jednak żadnych kroków zapobiegawczych. Co więcej, nie zareagowano na kolejne ostrzeżenia, które pojawiły się później, ostatnie nawet kilka godzin przed zamachami.

W mediach szybko zaczęto wskazywać przyczynę blamażu lankijskich służb bezpieczeństwa w trwającym od kilku miesięcy wewnętrznym kryzysie politycznym. Za jego początek można uznać wyznaczenie 26 października 2018 roku przez prezydenta Maithripalę Sirisenę na premiera byłego prezydenta Mihindę Rajapakse, bez formalnego odwołania ze stanowiska urzędującego Ranila Wickremesinghe'a. Ten zaś i rządząca Zjednoczona Partia Narodowa uznali działania głowy państwa za

nielegalne. Nie mogąc przevorsować kandydatury Rajpaksy, Sirisena próbował 9 listopada 2018 roku rozwiązać parlament. Ostatecznie w grudniu Sąd Najwyższy uznał działania prezydenta za niekonstytucyjne i Wickremesinghe utrzymał się u władzy.

W czasie kryzysu konstytucyjnego Sirisena doprowadził do zmiany podporządkowania policji. Zamiast ministrowi prawa i porządku podlega ona teraz ministrowi obrony. Sirisena przestał też zapraszać Wickremesinghe'a na spotkania Narodowej Rady Bezpieczeństwa, która jest organem wykonawczym rządu, odpowiedzialnym za utrzymanie bezpieczeństwa narodowego i mającym upoważnienie do kierowania siłami zbrojnymi oraz policją Sri Lanka. W Radzie poza prezydentem i premierem zasiadają ministrowie obrony, prawa i porządku, spraw zagranicznych i finansów, stali sekretarze w tych resortach, szef Sztabu Obrony, dowódcy rodzajów sił zbrojnych, inspektor generalny policji i szef wywiadu oraz osoby wyznaczone przez głowę państwa. Sirisena, nie zapraszając szefa rządu na posiedzenia, odciął go od tajnych informacji. Ponadto emerytowany marszałek polny Sarath Fonseka, który mimo związków z obozem prezydenckim zachowuje sporą niezależność, ujawnił jeszcze inną przyczynę braku reakcji na sygnały o zagrożeniu terrorystycznym. Powiedział, że istniał konflikt funkcjonalny między wywiadem wojskowym a policyjnymi śledczymi.

Prezydent zaraz po zamachach znalazł kozły ofiarne wśród podległych mu urzędników. Sirisena wymusił odejście inspektora generalnego policji, ze stanowiska zrezygnował sekretarz w resorcie obrony Hermasiri Fernando. Na wyspie ogłoszono stan wyjątkowy i zablokowano media społecznościowe oraz wprowadzono zakaz zasłaniania twarzy przez muzułmanki. Lankijskie służby bezpieczeństwa aresztowały dziesiątki osób podejrzanych o związki z ekstremistami. Mimo tych działań zamachy obniżyły wiarygodność władz Sri Lanka, obnażając słabość systemu bezpieczeństwa kraju, który zdecydowanie nie był przygotowany na współczesne zagrożenia. ■

Dżihad zastępczy



TRZY PYTANIA DO

*Jędrzeja
Czerepa*

Podczas akcji uwalniania turystów, których dżihadysty porwali w Beninie, zginęło dwóch francuskich żołnierzy. Czy państwa tego regionu stały się celem grup powiązanych z Al Kaidą lub tzw. Państwem Islamskim?

Bojówki dżihadystyczne działają swobodnie w całym Burkina Faso, a liczba ataków rośnie lawinowo. Większość z nich nie jest spektakularna i nie dotyczy obcokrajowców, więc takie informacje nie przebijają się do mediów. W 2016 roku było kilkanaście zamachów, w 2018 około 150, a w 2019 przeprowadzany jest już średnio jeden dziennie. Kraj staje się strefą „no-go” dla obcokrajowców. Burkina Faso znalazło się na celowniku dżihadystów w konsekwencji wojny w Mali z kilku powodów. Granica między oboma państwami jest dziurawa, powiedziałbym, że wręcz iluzoryczna. Północna część kraju to geograficznie ten sam pas Sahelu, co Senegal, Mali czy Niger i teren wędrowek Tuaregów, spośród których wyłoniła się jedna z głównych frakcji dżihadystów w tamtym konflikcie, Ansar ad-Din. Burkina Faso jako państwo słabe i biedne stało się naturalnym kierunkiem ekspansji dżihadu z Mali. Poza tym jest to przede wszystkim kraj muzułmański, w którym dwa razy – w 2014 i 2015 roku – ludność masowo wystąpiła przeciw autorytaryzmowi, żądając demokracji. Dla radykalnych zwolenników szariatatu to bluźnierstwo. Z kolei niedawne porwanie w Beninie to przykład „znaczenia terenu” – dżihadysty dokonują wypadów do sąsiednich państw, żeby pokazać, że mogą uderzyć daleko, a ich wrogowie nie powinni czuć się bezpiecznie.

W jakim stopniu islamistyczne ugrupowania powiązane z Al-Kaidą i tzw. Państwem Islamskim zdomowały się w tym regionie? Czy mogą stać się zagrożeniem dla Europy?

Na Saharze, w Sahelu i Zachodniej Afryce korzenie ekstremizmu islamskiego sięgają algierskiej wojny domowej. Do niedawna w dowództwach takich ugrupowań dominowali Algierczycy, obecnie są też Mauretańczycy i Tuaregowie. Kilka lat temu te ugrupowania zaczęły się otwierać na ludy afrykańskie, co było widać podczas konfliktu w Mali. Ruch na rzecz Jedności i Dżihadu w Afryce Zachodniej, jedna

z grup związanych z Al-Kaidą, która w 2012 roku dominowała w malijskim Gao, odwoływała się do dziedzictwa imperium Songhaj z XVI wieku. Przełomem było powstanie w 2015 roku Frontu Wyzwolenia Maciny w Mali, ugrupowania dżihadystycznego bazującego na ludności Fulbe, rozprzestrzenionej w całej Afryce Zachodniej, o silnych tradycjach antykolonialnych wojen z XIX wieku. W 2016 roku w Burkina Faso powstał ruch Ansarul Islam, też oparty na lokalnej ludności. Powołanie tych grup, powiązanych z Al-Kaidą, przesunęło środek ciężkości dżihadu w regionie z peryferii świata arabskiego w głąb Afryki.

Organizacje z Zachodniej Afryki są silnie umiędzynarodowione, ale w obrębie państw regionu. Ich robocze i kadrowe kontakty sięgają Somalii, Afganistanu i Pakistanu, a w wypadku tych powiązanych z tzw. Państwem Islamskim – Iraku i Syrii. Te drugie co najmniej dwukrotnie lansowały ideę zastępczej hidżry [w nawiązaniu do emigracji proroka Mahometa z Mekki do Medyny]. Tym, którzy nie mogli wyjechać na Bliski Wschód, aby walczyć o kalifat, jako udział w dżihadzie zaliczano działania w Libii lub Nigerii. Bezpośrednio po konflikcie w Mali były groźby wobec Hiszpanii i aresztowania w tym kraju współpracowników Ruchu na rzecz Jedności i Dżihadu w Afryce Zachodniej. Jak dotąd, na groźbach się skończyło.

W Paryżu rozgorzała dyskusja na temat skuteczności francuskiej interwencji wojskowej w Afryce Zachodniej. Skąd obecność Francuzów w tym regionie?

Interwencja francuska w Mali w 2013 roku nie miała neokolonialnego posmaku. Operacja zapobiegła kryzysowi w Nigrze i chaosowi w regionie. Inicjatywa Sahel G5, którą tworzą Burkina Faso, Czad, Mali, Mauretania, Niger, a także powstanie kilkutysięcznych sił do walki z dżihadystami to próba przerwania przez Francję ciężaru odpowiedzialności za spokój w regionie na innych. ■

Dr JĘDRZEJ CZEREPA jest analitykiem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzwgruber.

DYKTATURY DO LIFTINGU

Początek 2019 roku przyniósł upadek dwóch matuzaleatów północnoafrykańskiej, a zarazem arabskiej polityki. W Algierii masowe demonstracje doprowadziły do rezygnacji przez Abd al-Aziza Buteflikę z ubiegania się o piątą kadencję prezydencką. W Sudanie zaś po 30 latach dyktatorskich rządów Omar al-Baszir trafił do więzienia.

WITOLD REPETOWICZ

Kiedy w 1962 roku Algieria uzyskała niepodległość, władzę w tym kraju przejął Front Wyzwolenia Narodowego (FLN), lewicowa organizacja, która wcześniej podjęła zbrojną walkę z kolonialnymi rządami Francji. Do 1992 roku była jedyną legalną partią i choć przeprowadzano wybory parlamentarne i prezydenckie, to nie miały one charakteru pluralistycznego. Tymczasem rosła islamistyczna opozycja wobec świeckich rządów FLN, w której zresztą nie brakowało ostrych walk frakcyjnych, zwykle rozstrzyganych przez wojsko. Sam Buteflika doświadczył tego na własnej skórze.

PÓŁNOCNOAFRYKAŃSKI BREŹNIEW

Kariere polityczną zaczął w wieku 26 lat, kiedy w 1963 roku został szefem algierskiej dyplomacji. 16 lat później zo-



stał jednak odstawiony na boczny tor, by po kolejnych 20 latach wrócić i objąć urząd prezydenta – na cztery pięcioletnie kadencje.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia ówczesny prezydent Szadli Bendzedid, pod wpływem protestów, postanowił przeprowadzić pierwsze w historii Algierii wielopartyjne wybory. Najpierw, w czerwcu 1990 roku, odbyły się wybory lokalne, a w grudniu 1991 roku – parlamentarne. Skończyły się one katastrofą. Rządzący FLN uzyskał nieco ponad 23% głosów i tylko 15 miejsc w 231-osobowym parlamencie. Zwycięzcą okazał się Islamski Front Ocalenia (FIS). Aż 47% Algierczyków poparło islamistów, dzięki czemu trafiło do nich 188 mandatów. Trzecią partią, która weszła wówczas do parlamentu, był Front Sił Socjalistycznych (FFS), reprezentujący berberyjskich Kabylów. Ponad 5%



ALGERIA ASPIRUJE DO ROLI
MOCARSTWA, A JEJ SŁUŻBY
SPECJALNE I ARMIA MAJĄ
SILNĄ POZYCJĘ ZARÓWNO
W KRAJU, JAK I W REJONIE
SAHARY ORAZ SAHELU

EVAN SCHNEIDER / UN

Abd al-Aziz Buteflika
(z prawej) w rozmowie
z Ban Ki-moonem,
byłym sekretarzem
generalnym ONZ.
Algier, 2016 rok

głosów uzyskało zaś islamistyczne Bractwo Muzułmańskie, występujące w Algierii pod nazwą Ruch Społeczeństwa na rzecz Pokoju (MSP). FIS, który zresztą w wyborach lokalnych uzyskał 54%, dążył do przekształcenia Algierii w republikę islamską. Wojsko nie zgodziło się więc na takie wyniki i dokonało przewrotu, unieważniając wybory. FIS odpowiedział atakami terrorystycznymi, które szybko przeniosły się również na terytorium Francji. Po dziesięciu latach walk wojna domowa w zasadzie się zakończyła, ale najbardziej radykalne grupy pod przywództwem Abdulmaleka Drukdeła do dziś są aktywne jako Al-Kaida Islamskiego Maghrebu (AQMI).

Część islamistów postanowiła jednak włączyć się w algierski proces polityczny. W 1995 roku reżim wojskowy znów przeprowadził wybory prezydenckie, które wygrał gen. Liamine Zéroual. Dwa lata później przeprowadzono wielopartyjne wy-

bory parlamentarne, które wygrała nowa partia władzy – Zgromadzenie Narodowo-Demokratyczne (RND), przy czym FLN istniał dalej równolegle z RND. Głównymi ugrupowaniami opozycyjnymi były MSP oraz islamiści (bardziej umiarkowani niż FIS) z Ruchu Odrodzenia Islamskiego (MRI). Do parlamentu dostało się też kilka mniejszych partii lewicowych i świeckich, z których najsilniejszą pozostał FFS (5%).

W kolejnych wyborach prezydenckich Zéroual został zastąpiony przez Buteflikę, układ sił zaś w parlamencie nie uległ większym zmianom, oprócz tego, że FLN odzyskał prymat. W ostatnich wyborach parlamentarnych, które zresztą podobnie jak wcześniejsze, a także wybory prezydenckie, nie były uznane za przeprowadzone uczciwie, FLN i RND zdobyły łącznie ponad 40% głosów i 264 spośród 462 mandatów, islamiści zaś uzyskali 14% i 69 mandatów. Najsilniejsza opozycyjna



partia o charakterze świeckim dostała raptem nieco ponad 4% głosów.

Buteflika w 2013 roku przeżył wylew krwi do mózgu i stał się swego rodzaju północnoafrykańskim Breżniewem: nie pokazywał się publicznie, nie wypowiadał, ale rządził, w 2014 roku kandydował na czwartą kadencję, a w lutym 2019 roku ogłoszono, że będzie się ubiegał o piątą. Tego już było za wiele dla Algierczyków, którzy rozpoczęli masowe, pokojowe i bezkrwawe protesty. 2 kwietnia doprowadziły one do ustąpienia Butefliki. Wcześniej do dymisji podał się rząd.

KRWAWY DYKTATOR

Dziewięć dni później z władzą pożegnał się rządzący Sudanem Omar al-Baszir, ścigany od ponad dziesięciu lat przez Międzynarodowy Trybunał Karny za zbrodnie popełnione w Darfurze. Między sytuacją w Sudanie i Algierii są duże różnice, ale też podobieństwa. Algieria mimo wszelkich ułomności, w dużej mierze fikcyjnych wyborów, wieloletnich rządów tej samej partii, korupcji oraz wpływów wojska i służb specjalnych zapewniała swoim obywatelom więcej swobody niż reżim Al-Baszira. Według ostatniego rankingu organizacji Freedom House wprowadzie oba kraje są „niewolne”, ale Sudan od lat znajdował się w pierwszej dziesiątce „najgorszych z najgorszych”, podczas gdy Algierii niewiele brakowało do poziomu Maroka, uznawanego za „częściowo wolne”.

Sudan różniło od Algierii również to, że Al-Baszir był wspierany przez islamistów, w tym przez Bractwo Muzułmańskie. Do władzy doszedł w 1989 roku w wyniku przewrotu, w którym obalił demokratycznie wybrany rząd. Później organizował wybory prezydenckie, które były jednak totalną fikcją. W 2010 roku pozwolił na wielopartyjność w wyborach parlamentarnych, ale ich wynik również był z góry przesądzony. Wspierający Al-Baszira islamiści, powiązany z Bractwem Muzułmańskim Kongres Narodowy (NCP) zdobył 323 miejsca w 426-osobowym parlamencie. Głównymi partiami opozycyjnymi są zaś dwa ugrupowania wywodzące się z bractw sufickich – Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP), związana z bractwem Chatmija, i partia Umma, związana z bractwem Mahdija. Lider tej drugiej był premierem, którego w 1989 roku obalił Al-Baszir. Jako ciekawostkę można potraktować to, że jest on potomkiem znanego z Sienkiewiczowskiej powieści „W pustyni i w puszczy” Mahdiego, lidera sudańskiej rewolty przeciwko Wielkiej Brytanii w końcu XIX wieku. Bilans dyktatury Al-Baszira jest dla Sudanu fatalny: południowa część kraju odłączyła się i powstał Sudan Południowy, w Darfurze i Kordofanie miały miejsce rze-



Omar al-Baszir objął władzę w 1989 roku w wyniku zamachu stanu. Trzydzieści lat później stracił ją w ten sam sposób.

NA ROZWÓJ WYDARZEŃ W WIĘKSZOŚCI KRAJÓW OGARNIĘTYCH ZAWIERCHĄ ARABSKIEJ WIOSNY NEGATYW-NIE WPŁYNĘŁY SŁABOŚĆ TAMTEJSZEJ OPOZYCJI I INGERENCJA INNYCH PAŃSTW, MIĘDZY INNYMI KATARU I ARABII SAUDYJSKIEJ

zie i do dziś dochodzi tam do starć. Cały kraj jest pogrążony w biedzie i trawiony przez korupcję. To właśnie niezadowolenie z cen chleba doprowadziło do pierwszych protestów.

ARENA WOJEN ZASTĘPCZYCH

Sytuacja w Algierii i Sudanie skłania niewątpliwie do postawienia pytania, czy mamy do czynienia z nową Arabską Wiosną, której skutki mogłyby być równie opłakane jak te po 2011 roku. W Syrii, Libii i Jemenie do dziś trwają walki zapoczątkowane obaleniem lub nieudaną próbą obalenia dyktatora.

W Bahrajnie tłąca się rewolucja została stłumiona przez wojsko saudyjskie, zanim zdołała na dobre rozgorzeć, a w Egipcie po pełnych przemocy rządach Bractwa Muzułmańskiego doszło do wojskowej kontrrewolucji, wspartej zresztą przez Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Tylko w Tunezji udało się wprowadzić demokrację, choć i tam nie obyło się bez próby konsolidacji władzy przez Bractwo Muzułmańskie oraz pojawienia się dżihadystycznych i salafickich grup.

Jednym z czynników, które negatywnie wpłynęły na rozwój wydarzeń w większości państw ogarniętych zawieruchą Arabskiej Wiosny, była słabość tamtejszej opozycji. Odpowiednimi strukturami dysponowały tylko Bractwo Muzułmańskie oraz inne ugrupowania islamistyczne, często bardzo radykalne, powiązane z Al-Kaidą. Islamiści mieli również do dyspozycji meczety, w których prowadzili agitację na rzecz związanych z sobą partii. Drugim negatywnym czynnikiem była ingerencja innych państw, w szczególności Kataru, Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Turcji i w mniejszym stopniu Iranu. Przekształciły one państwa objęte Arabską Wiosną w areny wojen zastępczych.

W wypadku Sudanu rywalizacja regionalnych (i częściowo również globalnych) mocarstw już się zresztą zaczęła. Omar al-Baszir miał w przeszłości dobre relacje z Arabią Saudyjską i udzielił jej pomocy w wojnie w Jemenie. Przeciwnym przez Iran Husim walczy tam około 14 tys. Sudańczyków, których Saudowie przerzucają na pierwszą linię, chroniąc w ten sposób własne siły. W maju 2018 roku Sudan zaczął jednak sygnalizować chęć wycofania się z tej wojny. Wcześniej Al-Baszirowi złożył wizytę turecki prezydent (skonfliktowany z Arabią Saudyjską i wspieranym przez nią Egiptem) Recep Tayyip Erdoğan. Al-Baszir odwiedził natomiast Turcję w czerwcu 2018 roku, a w styczniu 2019 roku Katar, będący w stanie zimnej wojny z Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. W trakcie rozmów pojawił się plan zbudowania baz wojskowych tych dwóch krajów w Sudanie, co zaniepokoiło Arabię Saudyjską, ZEA i Egipt.

Turcję łączą bardzo bliskie relacje z Katarem i oba państwa wspierają Bractwo Muzułmańskie, z którym Al-Baszir również miał dobre układy. Obalenie tego dyktatora zmieniło jednak układ sił, a 17 kwietnia 2019 roku nowe władze wojskowe Sudanu odmówiły spotkania z delegacją katarską kierowaną przez szefa dyplomacji tego kraju i nakazały Katarczykom natychmiastowe opuszczenie Sudanu. Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie pośpieszyły natychmiast z pomocą dla Sudańczyków, oferując pakiet wart 3 mld dolarów.

W tej układance nie można też zapominać o bardzo aktywnych w Afryce Chinach oraz Rosji, która również miała dobre relacje z Al-Baszirow. Sudan gwarantował jej na przykład dostęp do Republiki Środkowoafrykańskiej, korzystającej z rosyjskich najemników. Przyszłość sudańskiej rewolucji wciąż jest więc niejasna. Z jednej strony kraj ten ma tradycje demokratyczne, partie, czyli to, czego nie miały państwa pogrążone w chaosie po 2011 roku. Również obalenie dyktatora nastąpiło relatywnie bezkrwawo, a on sam został uwięziony. Z drugiej strony zaś rewolucja sudańska wciąż się nie zakończyła. Woj-

skowa junta zapowiedziała dwuletni okres przejściowy i wciąż trwają tarcia między cywilną opozycją a nowymi władzami, dotyczące kalendarza przekazania władzy. Dla Arabii Saudyjskiej zapewne najlepszy byłby wariant egipski, czyli nowa dyktatura, która opierałaby się na wojsku, Katar i Turcja z kolei zapewne będą wspierać sudańskich islamistów. To wszystko wywołuje niepewność co do przyszłości Sudanu, choć niewątpliwie jest on w znacznie lepszym punkcie wyjściowym niż większość państw Arabskiej Wiosny.

WRÓŻENIE Z FUSÓW

Sytuacja międzynarodowa Algierii, aspirującej do roli regionalnego mocarstwa, różni się znacznie od tej dotyczącej Sudanu. Tamtejsza służby specjalne i armia mają silną pozycję nie tylko w kraju, lecz także w rejonie Sahary i Sahelu, gdzie rywalizują z Marokiem. Ostateczny sukces protestów będzie zależał jednak od tego, w jakim stopniu islamiści będą zdolni do przejęcia władzy, wojsko i dotychczasowe elity rządzące okazały się skłonne do jej oddania, a świecka opozycja będzie na tyle silna, by skutecznie rywalizować w wyborach.

Wybory prezydenckie, które pierwotnie miały się odbyć 18 kwietnia, zostały przełożone na 4 lipca i wiadomo, że nie będzie w nich startować tymczasowy prezydent Abdelkader Bensalah. Zaplecze Butefliki również straciło znaczenie, o czym świadczy aresztowanie Saïda Butefliki, młodszego brata byłego prezydenta, który zresztą przez ostatnie lata faktycznie za niego rządził. Kluczową rolę odgrywa teraz szef armii algierskiej gen. Ahmrud Gaid Salah.

Zdaniem algierskiej dziennikarki Ghady Hamouche jest czterech potencjalnych faworytów. Wśród nich były premier, Ali Benflis, do 2004 roku członek FLN, który dwukrotnie stawał do wyścigu wyborczego i przegrywał z Butefliką. Jest jednak człowiekiem układu rządzącego i jego wybór gwarantowałby utrzymanie status quo, ale na pewno nie usatysfakcjonowałby protestującej młodzieży. Jego głównym kontrkandydatem może być Abderrezak Makri, związany z Bractwem Muzułmańskim. Co z kolei groziłoby niepokojami podobnymi do tych, które wywołały rządy tego ugrupowania w Egipcie i mogłoby skłonić armię do dokonania przewrotu. Nie można by wtedy wykluczyć powrotu koszmaru lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia i oczywiście taka destabilizacja miałaby ogromne, negatywne skutki dla Europy. Hamouche wymienia również Abdelaziza Belaida oraz Alego Ghediriego. Ten pierwszy reprezentuje młodszą generację w FLN i jest otwarty na demokratyzację, a drugi to emerytowany generał, który sprzeciwiał się piątej kadencji Butefliki i wszedł w konflikt z gen. Salahem, ale nie jest związany z protestującymi. Jego wybór zapewne również oznaczałby kontynuację systemu w wersji „po liftingu”. ■

WITOLD REPETOWICZ w latach 2014–2018 był korespondentem wojennym w Syrii i Iraku, relacjonującym walki z Państwem Islamskim na różnych frontach. Jest również autorem dwóch książek „Nazywam się Kurdystan” oraz „Allah Akbar. Wojna i pokój w Iraku”.



RADOM

Hala MOSiR
UL. Narutowicza 9



KRZYSZTOF
KUŁAK

ALBERT
ODZIMKOWSKI

Piotr
PRZEPióRKA

Sławomir
KOŁTUNOWICZ

TOMASZ
JAKUBIEC

PATRYK
KACZMARCZYK

POLSAT
SPORT HD



BetonPLUS



Moskiewski model demokracji

Kazachstan to kraj o najdynamiczniej rozwijającej się gospodarce w Azji Środkowej. Z dużymi zasobami surowców i silną władzą, która próbuje balansować między Rosją a Chinami. Rządzący tym państwem mają jednak duże problemy z przestrzeganiem praw człowieka.

ROBERT SENDEK

Dzień Zwycięstwa należy w Rosji do najważniejszych świąt państwowych. Obchodzony jest 9 maja każdego roku. Główny punkt uroczystości stanowi wielka defilada wojskowa. Od czasu przyłączenia Krymu oraz rozpoczęcia konfliktu na wschodniej Ukrainie władze rosyjskie świętują w gronie nielicznych, starannie wyselekcjonowanych gości. W 2017 roku na placu Czerwonym pojawił się tylko prezydent Mołdawii, Igor Dodon. W 2018 roku z tej okazji do Moskwy przyjechali jedynie prezydent Serbii Aleksandar Vučić i premier Izraela Benjamin Netanjahu. W tym roku było podobnie: zagraniczny gość był jeden – były prezydent Kazachstanu, Nursułtan Nazarbajew.

LIDER NARODU

Nazarbajew jest postacią na swój sposób nietuzinkową. Objął władzę w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia i utrzymał ją, sprawując różne funkcje państwowe, przez ponad trzy dekady. Najpierw w charakterze premiera sowieckiego Kazachstanu, później przewodniczącego kazachskiej Rady Najwyższej, a wreszcie – prezydenta niepodległego już państwa. Ze stanowiska ustąpił dopiero 20 marca 2019 roku, nie dokończywszy piątej kadencji. Jego odejście mogło się wydawać zaskakujące, ale dokładniejsze analizy pozwalają stwierdzić, że był to krok starannie zaplanowany. Nazarbajew ustąpił, zapewniwszy sobie uprzednio kontrolę nad sceną polityczną Kazachstanu.



ZDANIEM KAZACHSKICH OPOZYCYJONISTÓW WŁADZA W ICH KRAJU JEST NAWET BARDZIEJ OPRESYJNA NIŻ W ROSJI

Oficjalnie nosi honorowy tytuł pierwszego prezydenta i lidera narodu, przyznany mu przez parlament już w 2010 roku. Jest szefem rządzącej partii Nur Otan, członkiem kazachskiej Rady Konstytucyjnej, honorowym senatorem, a także – co najważniejsze – dożywotnim przewodniczącym Rady Bezpieczeństwa Kazachstanu. W kazachskim systemie politycznym ta ostatnia instytucja pełni obecnie dość ciekawą funkcję. Nominalnie jest to organ doradczy prezydenta i do niedawna miał właściwie charakter fasadowy. Zmieniono to w 2018 roku i z organu doradczego Rada Bezpieczeństwa stała się dla prezydenta de facto organem kontrolującym: Kasym-Żomart Tokajew, pełniący obowiązki tymczasowego szefa państwa, jest szeregowym członkiem Rady,

Nazarbajew zaś – jej przewodniczącym. Dzięki wszystkim tym funkcjom, choć nominalnie nie rządzi, zachowuje kontrolę nad strukturami władzy. Analitycy dostrzegają tutaj inspirację systemem, który powstał w Singapurze: pierwszy premier tego kraju, Lee Kuan Yew, rządzący całe 31 lat (1959–1990), po ustąpieniu z urzędu piastował różne stanowiska honorowe, takie jak starszy minister czy minister mentor, i pozostał osobą, która sprawowała w kraju faktyczną władzę.

ZAKULISOWE ROZGRYWKI

Dosym Satpajew, kazachski analityk i politolog, przypuszcza, że całą procedurę ustąpienia Nazarbajewa przeprowadzono, aby uniknąć w Kazachstanie scenariusza uzbeckiego. Gdy bowiem



w 2016 roku wieloletni prezydent Islom Karimov zmarł nagle w trakcie kadencji, pojawiły się problemy dotyczące sukcesji. Uzbekistan, podobnie jak Kazachstan, nie jest demokracją w rozumieniu zachodnim, dlatego wybór prezydenta nie przebiega w sposób znany np. z naszego podwórka, lecz raczej jest wynikiem zakulisowych rozgrywek wśród elity.

Nowym prezydentem Uzbekistanu została wówczas osoba spoza kręgu bliskich współpracowników Karimova: premier Shavkat Mirziyoyev. Władza wymknęła się w ten sposób z rąk poprzedniego układu, co zakończyło się swoistą rozprawą z jego przedstawicielami. Część ministrów z rządu przy Karimovie, których Mirziyoyev uznał za rywali, została aresztowana, część wyeliminowana z procesu decyzyjnego. Starsza córka Karimova, Gulnora, wyładowała w kolonii karnej. Młodsza, Lola, od lat mieszka za granicą, ale jej mąż, Timur Tillyaev, biznesmen, został zmuszony do zamknięcia swych interesów w Uzbekistanie. Mirziyoyev nie wahał się przy tym publicznie nazywać członków rodziny Karimova szczurami. „Mam wrażenie, że ten model sukcesji nie wydawał się kazachskiej elicie najbardziej optymalny, dlatego właśnie zdecydowano się opracować własny scenariusz”, komentuje Satpajew.

Jedna sprawa to ustąpienie Nazarbajewa, inna zaś – wybór następcy. Władzę po ustąpieniu prezydenta tymczasowo objął przewodniczący senatu, Kasym-Żomart Tokajew. Nowy szef państwa ma zostać wyłoniony w wyniku wyborów prezydenckich, ale już na kwietniowym kongresie rządzącej Kazachstanem partii Nur Otan Nazarbajew wskazał swojego kandydata, właśnie Kasyma-Żomarta Tokajewa. Kandydaturę przyjęto – jakżeby inaczej – jednogłośnie. W związku z tym już pod koniec kwietnia w sieci zaczęto rozpowszechniać żartobliwy mem: „W Kazachstanie odbyły się wybory prezydenckie. Nazarbajew wybrał Tokajewa”.

TRUDNY SPADEK

Dziedzictwo trzydziestoletniego panowania Nazarbajewa nie jest jednoznaczne. Z jednej bowiem strony można uznać, że transformacja kraju z sowieckiej republiki w duże i znaczące na arenie międzynarodowej państwo udała się nadspodziewanie dobrze. Zwłaszcza w porównaniu z innymi państwami regionu. Kraj uniknął wielu problemów, z którymi musieli się borykać sąsiedzi: nie było tu ani wojny domowej, jak w Tadżykistanie, ani kolorowej rewolucji, która zmiołaby urzędujące władze (podczas gdy w sąsiednim Kirgistanie odbyły się aż dwie), nie



Władza lubi podkreślać, że Kazachstan to kraj demokratyczny. Nie jest to jednak demokracja oddolna, w której ludzie wybierają sobie rządzących, lecz odgórna (na zdjęciu były prezydent Kazachstanu, Nursułtan Nazarbajew).



było też większych napięć na tle narodowościowym. Kraj rozwija się – jak na warunki regionalne – stosunkowo szybko, pod względem gospodarczym najdynamiczniej spośród państw Azji Środkowej. Eksportuje ropę naftową, gaz ziemny i surowce mineralne. Kilka lat temu Nazarbajew zainaugurował program „Kazachstan 2050”, zakładający, że do połowy XXI wieku kraj znajdzie się w gronie 30 najbardziej rozwiniętych państw świata. Sformułowano w tym celu tzw. plan stu kroków, przewidujący konkretne reformy instytucji państwowych.

Z drugiej jednak strony w Kazachstanie widoczne są właściwie wszystkie negatywne zjawiska, które dotknęły cały region. Ukształtował



DECYDUJĄCY GŁOS MA NIE NARÓD, WYRAŻAJĄCY SWĄ WOLĘ PODCZAS WYBORÓW, LECZ JEGO PRZYWÓDCA

ma być z władzą, a nie odwrotnie. W związku z tym od dawna wiadomo, kto wygra czerwcowe wybory, gdyż proces wyborczy służy jedynie podkreśleniu tego, jak bardzo naród wspiera władzę. Ten scenariusz był już – z dużym powodzeniem – przerabiany w sąsiedniej Rosji, gdzie prezydent Władimir Putin wskazał jako swego następcę Dmitrija Miedwediewa, który później wybory prezydenckie rzeczywiście wygrał.

ARESzt ZA KARTKĘ PAPIERU

Rosja i Kazachstan mają ze sobą wiele wspólnego, nic więc dziwnego, że to właśnie Nazarabajew został zaproszony do Moskwy na obchody Dnia Zwycięstwa. Oba kraje należą do Wspólnoty Niepodległych Państw, współtworzą również Euroazjatycką Unię Gospodarczą, będącą swoistym odpowiednikiem Unii Europejskiej na obszarze postsowieckim. Ze względu na model sprawowania władzy organizacja ta bywa nazywana klubem dyktatorów. Zdaniem kazachskich opozycjonistów władza w ich kraju jest czasem nawet bardziej opresyjna niż w Rosji. Przykładem są sytuacje, w których rządzący nie wahali się strzelać do protestujących, jak np. w Żangaözen w 2011 roku, gdy podczas manifestacji robotników naftowych zginęło 14 osób.

O tym, jak bardzo rządząca Kazachstanem elita boi się utraty władzy, świadczą wydarzenia z 9 maja: w czasie, gdy Nazarabajew przyjmował razem z prezydentem Putinem defiladę na placu Czerwonym, w Kazachstanie przestały działać media społecznościowe: Facebook, Instagram, Youtube, Twitter oraz wiele serwisów informacyjnych. Prokuratura generalna Kazachstanu wydała nakaz, by nie brać udziału w nielegalnych manifestacjach. Wiele osób, które na ulice jednak wyszły, zostało aresztowanych, choć nie uczestniczyły w manifestacjach. O psychozie, która dopadła obecną władzę, może świadczyć przykład z początków maja: gdy w Uralsku, pod pomnikiem narodowego poety Abaja Kunanbajewa stanął młody chłopak, trzymający w ręku białą kartkę papieru, na której nie było żadnego napisu, aresztowano go profilaktycznie i wypuszczono dopiero po kilkugodzinnych przesłuchaniach. ■

się tu specyficzny system polityczny, który co prawda nie odbiega od lokalnej normy, ale z zachodniego punktu widzenia ma wiele zasadniczych mankamentów. Władza lubi podkreślać, że Kazachstan to kraj demokratyczny, nie jest to jednak demokracja oddolna, w której ludzie wybierają sobie rządzących, lecz odgórna. Decydujący głos ma bowiem nie naród, wyrażający swą wolę podczas wyborów, lecz jego przywódca. W sąsiedniej Rosji ten typ sprawowania władzy bywa nazywany przez ideologów systemu demokracją suwerenną. Jej główną cechą nie jest to, by w wyniku ścierania się racji i poglądów rozmaitych grup interesu wyłonić władzę reprezentującą poglądy większości, co jest typowym rysem demokracji zachodniej. Chodzi raczej o podkreślenie – jak to ujmują główni teoretycy tego nurtu – „jedności władzy i narodu”. Przy czym to naród

ALEKSEY NIKOLSKIY / SPUTNIK / EAST NEWS

SŁUGA NA CZELE NARODU

Biorąc pod uwagę tendencje we współczesnej geopolityce, sukces Wołodymyra Zełenskigo nie powinien dziwić. Pozostaje pytanie, czy nowy prezydent Ukrainy sprostą stawianym przed nim wyzwaniom.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Atmosfera wokół wyborów prezydenckich na Ukrainie przypominała burzę. Już na samym początku było wiadomo, że w walce o zwycięstwo liczy się przede wszystkim dwoje kandydatów – Petro Poroszenko oraz Julia Tymoszenko. Są oni obecni na ukraińskiej scenie politycznej od wielu lat. Petro Poroszenko objął urząd prezydenta w 2014 roku, tuż po rewolucji na Majdanie. Musiał zmierzyć się nie tylko z olbrzymimi oczekiwaniami ze strony wyborców, lecz także z wieloma problemami – począwszy od galopującej recesji oraz korupcji, a skończywszy na konflikcie w Donbasie i trudnych relacjach z Rosją. W tych czasach Poroszenko miał bazować na doświadczeniach z lat 2009–2010, kiedy trzymał tekę ministra spraw zagranicznych Ukrainy, oraz na szerokich kontaktach wynikających z jego działalności biznesowej.

Julia Tymoszenko, ikona Pomarańczowej Rewolucji, jako pierwsza kobieta stanęła na czele ukraińskiego rządu, przy czym funkcję premiera pełniła dwukrotnie. W późniejszych latach jej postać budziła wiele kontrowersji. Mimo to jej centrowprawicowa partia Batkiwszczyna cieszyła się poparciem zapewniającym stałe miejsce w Radzie Najwyższej Ukrainy.

Przy tak doświadczonych kandydatach Wołodymyr Zełenski mógł wywoływać niewybredne komentarze. Z wykształcenia jest prawnikiem, ale przez ostatnie kilkanaście lat był przede wszystkim aktorem. Występował w komediach romantycznych, jednak prawdziwą popularność zyskał dzięki głównej roli w serialu satyrycznym „Sługa narodu”. Jego fabuła skupia się na losach nauczyciela, który w wyniku różnych zbiegów okoliczności zostaje prezydentem. Kolejne odcinki ukazywały absurdalność oraz realne problemy, z którymi mierzy się Ukraina. Serial zdobył serca milionów widzów, ale nikt nie spodziewał się, że spełni się fikcyjny scenariusz.

Pod koniec 2017 roku otoczenie Zełenskigo zarejestrowało partię polityczną Sługa Narodu, a on zapowiedział start w wyborach prezydenckich. Niemal od razu zaczął zajmować wysokie miejsca w sondażach. W efekcie zwyciężył zarówno

w pierwszej, jak i w drugiej turze wyborczej, uzyskując kolejno 30,2% oraz 73,2% głosów. To pierwszy wypadek w historii, kiedy Ukraińcy z niemal wszystkich 24 obwodów jednogłośnie wybrali nowego lidera. Petro Poroszenko zwyciężył jedynie w obwodzie lwowskim, iwano-frankowskim oraz tarnopolskim, ale nawet w miejscach zamieszkałych przez najbardziej wierny elektorat nie uzyskał wyraźnej przewagi.

Sukces Wołodymyra Zełenskigo wynika przede wszystkim z powszechnej niechęci do starego układu. Wielkie nadzieje pokładane w rewolucji z 2014 roku zostały pogrzebane przez następujące po niej lata recesji. Ukraińcy doceniają starania Poroszenki w takich dziedzinach, jak modernizacja armii oraz wzmacnianie więzi z Zachodem. Wciąż widzą w nim jednak oligarchę oderwanego od ich codzienności. Zełenski natomiast jest dla nich człowiekiem spoza kręgu elit politycznych, niemal z ludu, który w prosty sposób może rozwiązać problemy nurtujące Ukrainę. Jest to trend, który daleko wykracza poza granice naszych wschodnich sąsiadów i – tak jak w innych europejskich krajach – może nieść ze sobą nie tylko oczekiwane zmiany, lecz także istotne zagrożenia.

TRUDNE POCZĄTKI

Nowy prezydent Ukrainy nie ma doświadczenia w polityce zarówno w wymiarze lokalnym, jak i międzynarodowym. I choć nie można odmówić mu charyzmy, będzie musiał wykazać się talentem do nauki. Prawdopodobnie pomogą mu bardziej doświadczeni specjaliści, których przyciągnie lub już przyciągnął do siebie dzięki swojej popularności. Jednym z nich jest Ołeksandr Danyluk, wieloletni doradca Poroszenki oraz minister finansów w latach 2016–2018. Ten polityk odpowiada za tworzenie programu Zełenskigo, kładącego nacisk na walkę z korupcją oraz reformę sądownictwa. Plan zakłada także wprowadzenie istotnych zmian w służbach bezpieczeństwa, łącznie z utworzeniem specgrupy zajmującej się walką z przestępstwami finansowymi.

A full-page photograph of Volodymyr Zelenskyy, the Ukrainian President, walking through a doorway framed by heavy red velvet curtains. He is wearing a dark blue suit, a white shirt, and a dark blue tie. He holds a red folder in his right hand and gestures with his left. The lighting is dramatic, highlighting him against the dark background.

**SUKCES
WOŁODYMYRA
ZEŁENSKIEGO
WYNIKA PRZEDE
WSZYSTKIM
Z POWSZECHNEJ
NIECHĘCI DO
STAREGO UKŁADU**



NOWY PREZYDENT UKRAINY MA NIEPODWAŻALNY ATUT – DYSPONUJE CZYSTĄ KARTĄ ORAZ POPARCIEM ZE STRONY WSZYSTKICH GENERACJI I KLAS SPOŁECZNYCH UKRAIŃCÓW

Zmiany te są bez wątpienia potrzebne. Aby je skutecznie wprowadzić, Zełenski musi zyskać przychyłność Rady Najwyższej Ukrainy (którą rozwiązał zaraz po inauguracji), a najlepiej wygrać nadchodzące wybory parlamentarne. Wstępne sondaże wskazują, że bez silnego koalicjanta nie będzie to łatwe zadanie. Mało prawdopodobne jest, żeby partia Sługa Narodu połączyła siły z Blokiem Petra Poroszenki „Solidarność”. W grę wchodzi sojusz z Batkiwyszczyną, ale biorąc pod uwagę doświadczenie Julii Tymoszenko oraz jej głębokie osadzenie w ukraińskich układach, taki duet może szybko zdyskredytować nowego prezydenta.

Politycy reprezentujący opcję prorosyjską wciąż utrzymują mocną pozycję na ukraińskiej scenie politycznej. Wywodzący się z Partii Regionów Ołeksandr Wilkuł oraz Jurij Bojko w pierwszej turze wyborów prezydenckich zdobyli łącznie ponad 15% głosów. Jest niemal pewne, że to poparcie zostanie wykorzystane w wyborach parlamentarnych. Nie ulega także wątpliwości, że Rosjanie uważnie przyglądają się działaniom Zełenskigo i będą próbowali na nie wpływać. Już podczas kampanii wyborczej pojawiły się informacje, że nowy kandydat na prezydenta Ukrainy jest ściśle powiązany z Kremlem, czego dowodem miała być korespondencja e-mailowa przechwycona przez grupę hakerów znaną jako Myrotvorets (Rozjemcy). Biorąc pod uwagę ich wcześniejsze działania, autentyczność opublikowanej korespondencji jest wątpliwa. Faktycznie jednak Zełenski był promowany w rosyjskich mediach. Niedoświadczony przywódca jest po prostu Moskwie na rękę.

Za nowym prezydentem Ukrainy przemawia argument, że nie potrzebuje rosyjskich pieniędzy. Za finansowaniem jego kampanii wyborczej stoi przede wszystkim Ihor Kołomojski, ukraiński magnat medialny znany z niechęci do Kremla. To właśnie na należącym do niego kanale telewizyjnym 1+1 emitowany jest serial „Sługa narodu”. Koneksi polityka z oligarchą są niepodważalne i to one będą pierwszym ważnym sprawdzianem dla administracji nowego prezydenta. W 2016 roku należący do Kołomojskiego PrivatBank, swego czasu największa ukraińska instytucja finansowa, został znacjonalizowany z powodu niewypłacalności oraz domniemyanych oszustw podatkowych. Niedawno ukraiński sąd stwierdził, że przejęcie zostało przeprowadzone nielegalnie, więc Kołomojski domaga się odszkodowania w wysokości 2 mld dolarów. Jeżeli Zełenski ugnie się pod żądaniem wieloletniego współpracownika, będzie musiał zmierzyć się z oskarżeniami o wspieranie korupcji.

KIERUNEK ZACHÓD

Podczas kampanii wyborczej Zełenski zapowiadał, że jego prezydentura będzie ukierunkowana na poprawę relacji z Moskwą. Podkreślał jednak, że nie kierują nim prorosyjskie sympatie i dołoży wszelkich starań, aby Donbas wrócił pod pełną kontrolę Ukrainy. Obietnice te będą trudne do spełniania, o ile z góry nie są skazane na porażkę, zwłaszcza że w kwietniu 2019

roku strona rosyjska zapowiedziała zakaz eksportu ropy na Ukrainę oraz zdecydowała o możliwości przyznania obywatelstwa wszystkim chętnym mieszkańcom obwodów zajętych przez separatystów. Władimir Putin zaznaczył, że rozporządzenie to może zostać rozszerzone na wszystkich obywateli Ukrainy, co w Kijowie odbierane jest jako kolejny zamach na suwerenność. W wywiadzie udzielonym kilka dni po wyborczym zwycięstwie Zełenski stwierdził, że długo myślał nad

więziami między Kijowem oraz Moskwą i obecnie kraje te łączy jedynie wspólna granica państwowa. Dopiero po odzyskaniu kontroli nad każdym jej odcinkiem nowy prezydent Ukrainy będzie skłonny do nawiązywania dialogu. Według Zełenskigo jakakolwiek poprawa stosunków uzależniona jest także od uwolnienia przetrzymywanych przez Rosjan jeńców wojennych oraz wycofanie się z dekrety paszportowego.

Paradoksalnie nowy prezydent Ukrainy jest dużo mniej stanowczy w wypowiedziach, jeżeli chodzi o wzmacnianie relacji z Unią Europejską oraz NATO. Zapowiedź ogólnonarodowego referendum w sprawie wejścia Ukrainy do obu organizacji oraz stwierdzenie, że „nie powinno się chodzić tam, gdzie człowieka nie zapraszają”, są dwuznaczne. Słowa te starał się prostować Ivan Aparshyn, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa i obrony, który zapewnił, że nikt nie planuje zmiany dotychczasowego kursu. Zastrzegł jednak, że trudno mu na razie mówić o jakichkolwiek konkretach.

Wobec tych wydarzeń Polska zachowuje życzliwy dystans. Komunikacja za pomocą oficjalnych kanałów z nową administracją Ukrainy przebiega bardzo oszczędnie, co może budzić zaskoczenie w przypadku pewnych sytuacji. Jedną z nich dotyczy zdjęcia, które z okazji Dnia Pamięci i Pojednania zostało opublikowane na oficjalnych kanałach społecznościowych Wołodymyra Zełenskigo. Przedstawia ono ukraińskiego polityka pozującego wspólnie z łączniczką UPA oraz bohaterem armii ZSRR. O ile można, a nawet trzeba zrozumieć odmienne spojrzenie Ukraińców na II wojnę światową, o tyle dziwi fakt, że nad Wisłą fotografia ta przeszła praktycznie bez echa. Wcześniej w podobnych sytuacjach polski rząd reagował stanowczo.

Trudno wyrokować na temat prezydentury Wołodymyra Zełenskigo na samym początku jego kadencji. Pewne jest, że świeżo upieczonemu politykowi przyszło rządzić w bardzo ciężkich czasach, być może nawet trudniejszych niż te, które przypadły jego poprzednikowi. Z jednej strony będzie musiał zmierzyć się z Rosją, która nie tylko nie zmiękcza swojego stanowiska, ale coraz bardziej otwarcie dąży do odbudowania utraczonych wpływów. Z drugiej jego pozycja w dużej mierze uzależniona jest od stosunków z Zachodem, który sam boryka się z poważnymi problemami. Pomimo ogromu wyzwań nowy prezydent Ukrainy ma jednak niepodważalny atut – dysponuje czystą kartą oraz poparciem ze strony wszystkich generacji i klas społecznych Ukraińców. Jest to potencjał, którego może pozazdrościć niemal każdy liczący się polityk. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Kurs kolizyjny

„Eskalacja napięcia pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Iranem nie jest niczym nowym, ale w ostatnim miesiącu postępowała wyjątkowo szybko i niebezpiecznie zbliżyła oba kraje do otwartej wojny. Po zeszłorocznym wycofaniu się Waszyngtonu z porozumienia nuklearnego można było przypuszczać, że będzie on dążyć do zmiękczenia stanowiska Teheranu i wypracowania korzystniejszej dla siebie umowy oraz, w perspektywie, obalenia nieprzychylnej mu władzy. Narzędziem umożliwiającym realizację tego scenariusza miały być sankcje, ograniczające lub nawet całkowicie niwelujące eksport irańskiej ropy. A irańskie złoża stanowią około jednej czwartej światowych rezerw tego surowca.

Amerykanie nie przypuszczali jednak, że ich strategia przyniesie odwrotny skutek. Na początku maja irański rząd zawiesił część porozumień z krajami Unii Europejskiej. Jednocześnie zagroził, że jeżeli w ciągu 60 dni Zachód nie wpłynie na swojego sojusznika zza oceanu, umowa zostanie zerwana, a prace nad wzbogacaniem uranu wrócą do stanu sprzed 2015 roku. W odpowiedzi na postawione ultimatum Amerykanie wzmocnili swoje siły w regionie. Lotniskowiec USS „Abraham Lincoln”, bombowce B-52 oraz rakiety Patriot miały pokazać, że Waszyngton dysponuje odpowiednim potencjałem i nie wyklucza pełnoskalowego konfliktu.

Problem w tym, że żadnej ze stron ta wojna nie jest na rękę. Na skutek sankcji Irańczycy zmagają się z coraz większą recesją, która odbija się na nastrojach społecznych w tym kraju. Zarazem Teheran prowadzi agresywną politykę zagraniczną, która w ciągu ostatnich lat wzmocniła jego pozycję. Sukcesy polityczne oraz militarne w Syrii i Iraku legitymują władzę, której dotychczas udaje się kierować gniew obywateli na zewnątrz. Teheran zdaje sobie jednak sprawę z tego, że otwarta konfrontacja pozbawi go wypracowanych wpływów, długotrwale zdestabilizuje kraj i najprawdopodobniej przeobrazą się w wyniszczającą wojnę partyzancką. Z powodów propagandowych władze Iranu muszą utrzymać ostrą retorykę, ale jednocześnie dążą do poprawy sytuacji ekonomicznej i, być może licząc na zmianę stanowiska przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, chcą przeczekać kadencję Donalda Trumpa.

Amerykanie również zdają sobie sprawę z katastrofalnych następstw konfrontacji. Nie tylko odcisnęłaby ona piętno na całym Bliskim Wschodzie, lecz także doprowadziła do kryzysu światowej gospodarki. Zachód musiałby wziąć odpowiedzialność za dotkniętych wojną cywilów i zmierzyć się z kolejną falą uchodźców. Mają tego świadomość zarówno przywódcy państw europejskich, którzy próbują deeskalować napięcie, jak i największy rywal Iranu – Arabia Saudyjska. Jest to o tyle znamienne, że od czterech dekad stosunki tych państw są fatalne.

Dotychczasowe wydarzenia to klasyczny przykład wojny psychologicznej. Toczy się ona jednak w regionie, w którym nawet najmniejsza iskra może wzniecić trudny do ugaszenia pożar. Tylko w ciągu ostatniego miesiąca doszło do trzech poważnych incydentów. W Zatoce Omańskiej nieznanymi sprawcami uszkodzili tankowce należące do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a w Arabii Saudyjskiej rebelianci Huti zaatakowali dwie przepompownie ropy. Kilka dni później, niecałe pół kilometra od ambasady Stanów Zjednoczonych w Bagdadzie spadła rakietą wystrzelona przez jedną z lokalnych bojówek. Irańczycy zaprzeczają oskarżeniom o podsycanie niepokoju, ale niezależnie od ich intencji, każde takie zdarzenie może rozpocząć wojnę. Niestety, na razie nie ma perspektyw na porozumienie, które pozwoliłoby obu stronom zachować twarz i zejść z kursu kolizyjnego. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI jest dziennikarzem i korespondentem zajmującym się problematyką społeczną Bliskiego Wschodu oraz państw postsowieckich.

SYRIA

ATAK NA ROSYJSKĄ BAZĘ HUMAJMIM

Członkowie ugrupowania Hajat Tahrir asz-Szam (wcześniej Front al-Nusra) zaatakowali 19 maja 2019 roku główną bazę lotniczą wojsk rosyjskich w Syrii, położoną w miejscowości Humajmim. Bojownicy wystrzelili w kierunku bazy sześć rakiet, ale zostały one przechwycone przez siły obrony przeciwlotniczej. W odpowiedzi na atak wojska rosyjskie zbombardowały pozycje syryjskich bojowników w miejscowości Kafr Nubl, w okolicach Idlibu, skąd, jak się przypuszcza, pociski miały zostać wystrzelone. Według rosyjskiego ministerstwa obrony bojownicy zdecydowali się na atak, choć siły rządowe (z którymi Rosjanie współpracują) 18 maja 2019 roku jednostronnie ogłosiły zawieszenie broni.

Hajat Tahrir asz-Szam to koalicja islamistycznych ugrupowań powiązanych z syryjską opozycją antyrządową. Prowadzi ona działania głównie w północno-zachodniej Syrii, w okolicach miasta Idlib. Według rosyjsko-tureckiego porozumienia z jesieni 2018 roku tereny te miały stanowić strefę zdemilitaryzowaną. Jak wynika z doniesień, porozumienia nie przestrzegają jednak ani Rosjanie, ani Turcy i na tym terenie toczą się walki. Ataki na rosyjską bazę w Humajmim ze strony sił antyrządowych powtarzają się co jakiś czas. Do poprzedniego doszło pod koniec kwietnia 2019 roku. RS



KATAR

Amerykański Departament Stanu potwierdził sprzedaż 24 śmigłowców bojowych AH-64E Apache do Kataru. Mowa o drugiej partii tych maszyn. Umowę na dostawę pierwszych 24 egzemplarzy podpisano w 2016 roku.



TURCJA

Na międzynarodowych targach zbrojeniowych IDEF 2019 w Stambule tureckie przedsiębiorstwo BMC zaprezentowało pierwszy egzemplarz seryjny czołgu podstawowego Altay T1. Do tureckich żołnierzy trafi w sumie tyśiąc wozów T1.

TADŻYKISTAN

ZBUNTOWANI BOJOWNICY



W kolonii karnej w mieście Wahdat w Tadżykistanie doszło 20 maja do buntu. Osadzeni tam bojownicy Państwa Islamskiego uzbrojeni w ostre przedmioty wzięli jako zakładników trzech

oficerów straży więziennej. Wśród inicjatorów buntu był Behruz Gulmurod, syn byłego szefa tadżyckiej jednostki specjalnej OMON **Gulmuroda Halimowa (na zdjęciu)**, który w 2015 roku został nawet ministrem wojny Państwa Islamskiego.

Podczas tłumienia buntu zginęło trzech strażników i 29 więźniów. Wśród nich znaleźli się członkowie Państwa Islamskiego, Islamskiej Partii Odrodzenia Tadżykistanu oraz ugrupowania Dżamaat Ansarullah. 35 osób zostało zatrzymanych i umieszczonych w izolatkach. Pośród zabitych byli muzułmańscy duchowni oraz działacze opozycyjni. Dziennikarze przypuszczają, że władze wykorzystały okazję, by rozprawić się z przeciwnikami politycznymi. SEND



NIGERIA

Chcą naszej pomocy?

Jeremy Hunt, brytyjski minister spraw zagranicznych, zapowiedział, że Wielka Brytania jest gotowa zwiększyć wojskową i niewojskową pomoc dla Nigerii.

Mowa przede wszystkim o wsparciu rządu nigerijskiego w walce z islamiistycznym ugrupowaniem Boko Haram, które operuje w północno-wschodniej czę-

ści kraju, na pograniczu z Nigerem i Kamerunem.

„Sądzę, że decydującym czynnikiem będzie gotowość nigeryjskiego rządu i armii do bliskiej współpracy

ZBROJENIA

Miliardy na wojsko

Wydatki zbrojeniowe poniesione na świecie w 2018 roku były największe od 30 lat.

Według najnowszego raportu Sztokholmskiego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), w 2018 roku wydano na wojsko w sumie 1822 mld dolarów. To największa suma od 1988 roku, czyli od momentu, gdy podobne statystyki zaczęto prowadzić. W porównaniu do roku 2017 globalne wydatki na wojsko wzrosły o 2,6% i w przeliczeniu na jednego mieszkańca Ziemi wynoszą aż 239 dolarów.

Połowa światowych wydatków na wojsko przypada na dwa państwa: USA, które w 2018 roku wydały na armię 649 mld dolarów, i Chiny z budżetem wojskowym 250 mld dolarów.

W pierwszej dziesiątce krajów o naj-

wiekszych wydatkach zbrojeniowych znajdują się jeszcze Arabia Saudyjska (67,6 mld dolarów), Indie (66,5 mld), Francja (63,8 mld), Rosja (61,4 mld), Wielka Brytania (50 mld), Niemcy (49,5 mld), Japonia (46,6 mld) i Korea Południowa (43,1 mld). Polska, przeznaczająca na wojsko kwotę rzędu 11,6 mld dolarów, zajmuje 19. miejsce,

zaraz za Izraelem i Iranem, a przed Pakistanem i Holandią. Nasz kraj wydaje na obronę najwięcej spośród państw środkowoeuropejskich. Następną w kolejności jest Rumunia, która ma budżet wojskowy ponad dwa razy mniejszy. W porównaniu z poprzednim zestawieniem, za rok 2017, Polska awansowała o pięć miejsc. SR



Polska wydaje na obronę najwięcej spośród państw środkowoeuropejskich.

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

EUROPA

Łatwiejszy transport

Przestawiciele 23 krajów członkowskich Europejskiej Agencji Obrony (European Defence Agency – EDA) podpisali 14 maja 2019 roku nowy program, dotyczący ułatwień w korzystaniu z wzajemnej przestrzeni powietrznej oraz w transporcie wojska. Umożliwi to płynniejsze przemieszczanie się m.in. personelu i sprzętu wojskowego,

służb niosących pomoc w klęskach żywiołowych, a także uprości organizowanie międzynarodowych ćwiczeń i manewrów.

Program ma zostać wdrożony do 2020 roku. Stanowi on wypełnienie sformułowanego na szczycie NATO w Warszawie w 2016 roku postulatu zwiększenia mobilności wojska na obszarze państw natowskich. DEK



z nami. Chcielibyśmy okazać wsparcie i pomoc, ale to suwerenny naród i musi chcieć naszej pomocy”, powiedział Hunt podczas wizyty w Maiduguri (północno-wschodnia Nigeria).

W kraju od lat trwa wojna nigeryjskiego rządu z Boko Haram. Efekty prowadzonej kampanii są jednak marne. Tamtejsza armia jest krytykowana za niewielką skuteczność w walce z dżihadystami oraz za brutalność. Zdaniem obserwatorów, w wielu miejscach działalność armii sprowadza się do przepędzania

ludzi z wiosek i kierowania ich do miast, gdzie znajdują się garnizony wojskowe. Taki sposób operowania nie sprzyja – według Hunta – rozwiązaniu konfliktu, a przy tym podkopuje zaufanie ludzi do rządowej armii. W wyniku tych działań przymusowo zostało przesiedlonych w ostatnich latach niemal 2 mln osób. Niska efektywność operacji antyterrorystycznych wynika z tego, że prowadzone są minimalnym kosztem, a żołnierze nigeryjscy są słabo opłacani i zdemoralizowani. ROB

HISTORIA

/ POWRÓT
DO PRZESZŁOŚCI

CIEKAWI POLSKI

**Żołnierze armii sojuszniczych
interesują się historią naszego kraju. Mówią,
że nie tylko pomaga im ona zrozumieć Polaków,
lecz także uświadamia, dlaczego zostali
skierowani tutaj na misję.**

MAGDALENA MIERNICKA

MAGDALENA MIERNICKA



SOJUSZNICY są naprawdę zainteresowani historią naszego kraju. Często podczas wspólnych wyjazdów żołnierze robią zdjęcia i zamieszczają je w mediach społecznościowych.



P

ancerna Brygadowa Grupa Bojowa, Batalionowa Grupa Bojowa NATO czy Wielonarodowa Dywizja Północny Wschód to tylko niektóre jednostki w Polsce, w których służą żołnierze armii sojuszniczych. W sumie jest ich w naszym kraju prawie 7 tys. Najliczniejszą grupę stanowią żołnierze US Army, ale

w Polsce można spotkać też wojskowych z Chorwacji, Rumunii czy Wielkiej Brytanii, którzy stacjonują w Bemowie Piskim. W samej tylko natowskiej dywizji, która mieści się w Elblągu, znajdują się przedstawiciele aż 17 narodowości.

Wielu z nich przyjechało do Polski z odległych zakątków świata. Dlatego są naszego kraju po prostu ciekawi. Często można ich spotkać spacerujących ulicami miast, a także w restauracjach, w których jedzą nie tylko pizzę czy burgery, lecz także nasze rodzime potrawy.

„Czasami koledzy, z którymi służę, podpytują mnie, co warto zobaczyć. Zazwyczaj polecam im wizytę w Gdańsku lub Toruniu, bo uważam, że jest tam niesamowity klimat. Zabytkowa architektura tych miast robi duże wrażenie szczególnie na żołnierzach ze Stanów Zjednoczonych. Na ogół jest to dla nich coś nowego, co do tej pory widzieli tylko w filmach”, mówi mjr Dariusz Guzenda, oficer prasowy Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód.

Wielu wojskowych odwiedza miejsca, gdzie niegdyś ważyły się losy Polski. Dla stacjonujących na Mazurach Amerykanów, Brytyjczyków, Chorwatów i Rumunów, standardem stały się wycieczki do XIX-wiecznej Twierdzy Boyen czy

Wilczego Szańca, gdzie mieściła się kwatera Adolfa Hitlera. „Polska ma wspaniałą historię. Widzieliśmy wiele miejsc, które się wiążą m.in. z II wojną światową, na przykład stare bunkry. Polska odegrała bardzo ważną rolę w historii całego świata. Dobrze tu być i móc to wszystko zobaczyć na własne oczy”, relacjonuje ssg. Michael Doling z US Army. Zdaje się, że naszych sojuszników najbardziej interesuje okres II wojny światowej. Ciekawią ich losy żołnierzy wyklętych, których wizerunki, jak mówią, często widzą na ubraniach Polaków.

GRUZY STOLICY

Do Warszawy zaprosiła ich Polska Fundacja Narodowa, żeby zwiedzili Muzeum Powstania Warszawskiego. Zaskoczyło ich to, czego się dowiedzieli na miejscu. O przebiegu walk, które toczyły się w mieście w 1944 roku opowiadał im Andreas Karabin, przewodnik. „Żołnierze byli zszokowani opowieścią o pierwszych dniach powstania na warszawskiej Woli. Nie mogli pogodzić się z tym, że wówczas zginęło tylu cywilów”, mówi przewodnik. „Nowością było dla nich to, że w 1944 roku wspierali nas Anglicy. Byli też zaskoczeni, kiedy zobaczyli w środku muzeum replikę amerykańskiego liberatora”, dodaje. Ta wizyta szczególnie przypadła do gustu sierż. Arturo Guzmanowi z US Army. „Historia o tym, jak ludzie bronili swojego miasta, była niesamowita. Słyszałem wcześniej o powstaniu, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że podczas walk tak istotną rolę odegrały kanały. Sam służę w Gwardii Narodowej, więc dla mnie była to bardzo cenna lekcja”, mówił.

Wielu emocji przysporzyło też spotkanie żołnierzy z kombatanami. Wojskowym z NATO



Mjr DARIUSZ GUZENDA, oficer prasowy Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód: „Zabytkowa architektura Gdańska i Torunia robi duże wrażenie szczególnie na żołnierzach z USA. Na ogół jest to dla nich coś nowego, co do tej pory widzieli tylko w filmach”.



MAGDALENA MIERNICKA

WIELU ŻOŁNIERZY ODWIEDZIŁO MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO.

NAJBARDZIEJ ZASKOCZYŁO ICH TO, ŻE MUZEUM JEST TAK DUŻE I ZNAJDUJE SIĘ W NIM CAŁE SPEKTRUM UZBROJENIA

swoje historie opowiedzieli płk Bronisław Maciaszyk „Józef”, uczestnik powstania warszawskiego, a także kpt. Tadeusz Socha „Dąb”, który służył w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty. „Bardzo się cieszę, że mogliśmy wysłuchać opowieści weteranów. Wojsko się zmienia, sprzęt się zmienia, ale nie zmienia się determinacja, z jaką żołnierze bronią swojej ojczyzny. Myślę, że możemy się wiele nauczyć od tych ludzi”, dodał sierż. Guzman.

Wzruszenia nie kryli też sami kombatanci. „Cieszymy się, że możemy się z wami spotkać. Dzięki temu, że służycie w Polsce, możemy czuć się bezpiecznie. Dziękujemy wam za to”, zwrócił się do żołnierzy NATO płk Maciaszyk. „W czasie pierwszej wojny światowej zginęło 14 mln ludzi, a podczas drugiej – 66 mln. Pamiętajcie, jesteście tu po to, aby ta sytuacja się nie powtórzyła”, dodał kpt. Socha.

Agnieszce Dydycz z Fundacji najbardziej utkwił w pamięci wyjazd żołnierzy do Trójmiasta. Zwiedzali wówczas m.in. Muzeum II Wojny Światowej, byli na pokładzie ORP „Bły-

skawica”, a także odwiedzili Muzeum Stutthof w Sztutowie, gdzie w czasie wojny mieścił się obóz koncentracyjny. „Kiedy opuściliśmy to miejsce, zapadła cisza. Nikt nie był w stanie skomentować tego, co zobaczył. Trzy autokary twardych, wyszkolonych do walki żołnierzy, wracało do domu bez słowa”, wspomina. Potwierdza to sierż. Guzman. „Z wrażenia aż zaparło mi dech w piersiach. To bardzo smutna i ważna część historii Polski i świata, ale nie może wydarzyć się ponownie”, komentował.

BIAŁA BRÓŃ I HUSARSKIE SKRZYDŁA

Sojusznicy interesują się też naszym uzbrojeniem, i to nie tylko tym współczesnym. „Niedawno żołnierze z dowództwa naszej dywizji pojechali do Bydgoszczy, aby odwiedzić Muzeum Wojsk Lądowych. Wrócili zachwyceni”, opowiada mjr Guzenda. Wielu z nich odwiedziło także Muzeum Wojska Polskiego. Co ich najbardziej zaskoczyło? „To niesamowite, że to muzeum jest tak duże. Znajduje się w nim całe ➔

SOJUSZNICY, NAWET CI Z NIEMIEC, BYLI ZASKOCZENI, ŻE WE WRZEŚNIU 1939 ROKU WALCZYLIŚMY NA DWÓCH FRONTACH

spektrum uzbrojenia. Bardzo podobały mi się husarskie skrzydła”, relacjonował spec. Timothy Lee ze Stanów Zjednoczonych. „Bardzo dużo czasu spędziłem przy wyposażeniu kawalerii. Sam jestem kawalerzystą, więc dla mnie to było ciekawe, aby się dowiedzieć, czym dysponowali moi poprzednicy”, dodał płk Bell z Wielkiej Brytanii.

O polskiej historii z żołnierzami armii sojusznicy często rozmawia mjr dr Zbigniew Zielonka z Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej. Kilka lat temu, jeszcze jako przedstawiciel Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych, służył w Afganistanie. Na prośbę przełożonych przygotował prelekcję o polskiej historii, którą wygłosił z okazji Święta Narodowego Trzeciego Maja. Jego wykład tak się spodobał, że wkrótce prowadził kolejne, przede wszystkim dla żołnierzy sojusznicych armii.

Kiedy wrócił do kraju, zaangażował się w nowe projekty. Opracował m.in. broszury historyczne dla uczestników szczytu NATO czy Światowych Dni Młodzieży, przez cały czas prowadził też wykłady o historii Polski. I robi to nadal, a jego słuchaczami teraz są żołnierze armii sojusznicych, którzy stacjonują w Polsce. „To wcale nie jest łatwe zadanie, aby w krótkim czasie – prelekcja trwa 70 minut – przedstawić przekrój historii Polski w ciekawy i przystępny sposób”, mówi oficer. Wykład zaczyna się od 966 roku, czyli od chrztu Polski, a kończy w roku 2004, kiedy Polska została członkiem Unii Europejskiej. Wykładowcy w czasie prelekcji m.in. pokazują fragmenty filmów – sceny batalistyczne z „Krzyżaków”, szarżę husarii z „Pana Wołodyjowskiego” czy fragment dokumentu pokazującego ostrzał Westerplatte przez niemiecki pancernik. Puszczają też piosenkę Jacka Kaczmarskiego „Mury” w wykonaniu Jeana-Michela Jarre’a czy utwór zespołu Sabaton „40:1” opowiadający o polskich bohaterach spod Wizny. „To mocny i charakterystyczny kawałek, szczególnie spodobał się Amerykanom, którzy od tej pory za każdym razem jak nas spotykali, krzyczeli »fourty to

one«”, mówi mjr Zielonka. Oficer potwierdza, że największe zainteresowanie wśród słuchaczy wzbudza II wojna światowa. „Sojusznicy, nawet ci z Niemiec, byli zaskoczeni, że we wrześniu 1939 roku walczyliśmy na dwóch frontach. Wiele żołnierzy nie zdawało sobie sprawy także z tego, co działo się w naszym kraju po zakończeniu wojny”, dodaje.

ATRAKCJA CZY NAUKA?

Sojusznicy są naprawdę zainteresowani historią naszego kraju. „Często podczas wspólnych wyjazdów żołnierze robią zdjęcia i zamieszczają je w mediach społecznościowych. Telefonują także do swoich rodzin i opowiadają o wrażeniach. Zapewniają, że wrócą do Polski z bliskimi. Dla nas to bardzo ważne, bo kiedy oni wrócą do siebie, staną się naturalnymi ambasadorami naszego kraju”, twierdzi Agnieszka Dydycz.

A co o polskiej historii myślą sami wojskowi? „Dla nas to bardzo ważne, żebyśmy wiedzieli, z jakimi sytuacjami musiała się zmierzyć Polska, chociażby po to, aby zrozumieć, po co my tu w ogóle jesteśmy”, mówi kpt. Marin Bulog z Chorwacji. „Jesteśmy sojusznikami, więc powinniśmy wiedzieć, jakie wydarzenia doprowadziły nas do miejsca, w którym się teraz znajdujemy. Musimy też znać historię, aby wiedzieć, co może przynieść przyszłość”, dodaje spec. Lee.

Podobną opinię wyraził ppłk Donny Hebel, dowódca 2 szwadronu 278 Pułku Kawalerii Pancernej, który stacjonował na Mazurach przez ostatnie dziewięć miesięcy. Podczas uroczystego pożegnania jednostki przypomniał w swoim przemówieniu m.in. sylwetki Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Pułaskiego, Tadeusza Kościuszki, a także bitwy pod Grunwaldem i Wiedniem oraz powstania, w których udział brali Polacy. „Polska przez całe tysiąclecia pokazywała swoją waleczność. Jesteśmy dumni z tego, że staliśmy się częścią jej historii i mogliśmy się szkolić u boku narodu z tak silnym etosem wojownika”, powiedział. ■



Sierż. ARTURO GUZMAN: „Historia o tym, jak ludzie bronili swojego miasta, była niesamowita. Słyszałem wcześniej o powstaniu, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że podczas walk tak istotną rolę odegrały kanały”.



MUZEUM MARYNARKI WOJENNEJ W GDYNI

ul. Zawiszy Czarnego 1B
81-374 Gdynia
tel. 58 620 13 81

www.muzeummw.pl

SALE WYSTAWOWE

**EKSPOZYCJA PLENEROWA
BRONI I UZBROJENIA MORSKIEGO**

OKRĘT-MUZEUM ORP „BŁYSKAWICA”

Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni
gromadzi zabytki związane z historią
i tradycją morskiego rodzaju sił zbrojnych

Edukatorzy

Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni
proponują lekcje, zabawy i gry muzealne





Por. FRANCISZEK
TOKARZ
w 1 Warszawskiej
Brygadzie Pancer-
nej im. Bohaterów
Westerplatte

ZA TO WARTO BYŁO SIĘ BIĆ

*Z Franciszkiem Tokarzem o obronie
Lwowa w 1939 roku, sowieckiej niewoli i służbie
w 1 Brygadzie Pancernej im. Bohaterów Westerplatte
rozmawia Piotr Korczyński.*

ARCH. FRANCISZKA TOKARZA

Na wojnę trafił pan niemal prosto ze szkolnej ławy. Jak wyglądały pierwsze dni września 1939 roku we Lwowie?

W sierpniu 1939 roku byłem na obozie przysobienia wojskowego. Mieszkaliśmy – a były to trzy bataliony – pod namiotami rozstawionymi na strzelnicy przy ulicy Kleparowskiej we Lwowie. 31 sierpnia mieliśmy się rozformować, ale dowódca naszego batalionu zarządził zbiórkę i powiedział: „Chłopcy, dzisiaj zrobimy ognisko, będzie grochówka na kolację, a rozformujemy się jutro z rana”. Tymczasem rano 1 września wybuchła wojna i wcielono nas do Obrony Narodowej. Obstawiliśmy we Lwowie wszystkie punkty strategiczne – pocztę, dworce – bo większość jednostek wojskowych wychodziła na front. Dowódcą mojej kompanii był por. Świderski – facet na miejscu. Najmilej jednak wspominam dowódcę naszego drużyny kpr. Czekiela. Był nie tylko moim przełożonym, lecz także nauczycielem życia! To był autentyczny lwowski baciak.

Czego się pan od nich nauczył?

Któregoś dnia, nie pamiętam już, czy był to 4, czy 5 września, gdy szedłem na posterunek, zatrzymał mnie na ulicy oficer. Przystojny, mundur jak spod igły, błyszczące oficerki. I tenże elegancik wołał do mnie: „Hej, wy, żołnierzu, ogólcie mnie!”. Grzecznie mu zameldowałem: „Panie poruczniku, ale ja jeszcze sam się nie gołę”. „Ale to jest rozkaz!”, odpowiedział mi tonem nieznoszącym sprzeciwu. Po dojściu na posterunek wziąłem pędzel do golenia, namydliłem porucznikowi brodę i... pojawił się nasz szef kompanii. Poprosiłem go, żeby podszedł i, nie zważając na oficerską szarżę, wypaliłem: „Panie sierżancie, jest wojna, a my się będziemy zajmować goleniem?”. Nie upłynęło 20 minut, kiedy nasz dowódca zarządził w kompanii zbiórkę. Świderski zakomenderował: „Panowie, ordynansów tutaj nie będzie! Jest wojna, każdy musi się obsługiwać w swoim zakresie”. Inną naukę dostałem od Czekiela. Któregoś wieczora przyszedł do mnie i zawołał: „Franek, bierz giwerę, idziemy na patrol!”. I poszliśmy – przez Wały Hetmańskie, Akademicką, do pasażu Mikolascha, gdzie mieściły się nocne kluby. Weszliśmy do jednego. Pierwszy raz w życiu byłem w takim miejscu. Kapral był z tych, co za kołnierz nie wylewają, więc na drugi dzień na kwaterze nie mogli mnie dobudzić. Pech chciał, że był alarm przeciwlotniczy. Kiedy wreszcie ocuciłem się pod kranem z zimną wodą, Czekiel ze śmiechem stwierdził: „Franus, nie wiedziałem, że taki mięczak jesteś”.

Kiedy zderzyliście się z prawdziwą wojną?

W połowie września, jeszcze przed wkroczeniem Sowietów, dostaliśmy rozkaz ewakuacji na południowy wschód. Wszystkie nasze bataliony chciano przerzucić do Rumunii. Dotarliśmy do Mikołowa, jakieś 30 km od Lwowa, i stamtąd nas zawrócili. Widocznie nie było już szans na przebiecie się do gra-

nicy. Kiedy wróciliśmy, okrążyli nas Niemcy. Co gorsze, wkrótce pod Lwów podeszli też Sowietci. Wprawdzie do miasta przedarły się pułki wileńskie, które zorganizowały obronę, ale to nie mogło w żaden sposób poprawić naszej sytuacji wobec sił sowieckich. W końcu por. Świderski zebrał nas i powiedział: „Chłopcy, tu już nic po nas. Każdy z was zna wszystkie kąty w tym mieście, wie, gdzie ma się schować i przeczekać”. Po tych słowach rozkazał włożyć cywilne ubrania i się rozejść.

Dla Lwowa rozpoczął się dramatyczny okres sowieckiej okupacji. Jak się pan odnalazł w tej rzeczywistości?

W kwietniu 1940 roku NKWD aresztowało mojego ojca. On służył u gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, więc dla Sowietów był wrogiem numer jeden. Nieświadomy jeszcze do końca, co oznacza władza sowiecka, poszedłem do aresztu zapytać o powód tego zatrzymania. Na posterunku szybko się zorientowałem, że i mnie chcą przytknąć, więc chciałem uciekać. Wtedy jeden z milicjantów, polski Żyd, którego znałem przed wojną, tak mnie stłukł, że do celi wciągnęli mnie po podłodze nieprzytomnego. Ojca wywieźli najpierw do Charkowa, a później – z kilkuletnim wyrokiem – trafił do łagru za Ural. Udało mu się przeżyć i wstąpił do armii gen. Andersa. Po ewakuacji z ZSRS przeszedł cały szlak 2 Korpusu. Zobaczyliśmy się dopiero po wojnie.

Pan podzielił jego los?

Moje losy potoczyły się zupełnie inaczej. Zeznania, które składałem, protokołowała żydowska dziewczyna i zrobiła to w taki sposób, że enkawudziści nie mogli znaleźć na mnie żadnego haka. Któregoś dnia strażnik zaprowadził mnie do pokoju śledczego, gdzie czekał major NKWD. Jak stwierdził, słyszał, że chciałem uciekać do Niemiec. Odpowiedziałem: „Towarzysz majorze, ci, co wam to powiedzieli, chyba sami chcieli tam uciekać. Wy nie znacie Germańców, a ja ich zdążyłem już poznać”. Popatrzył na mnie badawczo i powiedział: „Jesteś wolny”.

Władza sowiecka nie upomniwała się o pana?

Niedługo po zwolnieniu z aresztu dostałem wezwanie do stawienia się przed komisją wojskową. Oczywiście w wojenkomacie [instytucja zbliżona do wojskowych komend uzupełnień] nie przyznałem się, że służyłem w Obronie Narodowej. Młodych Polaków wcielano wtedy do batalionów roboczych Armii Czerwonej. Ja też tam trafiłem. Bilet z powołaniem dostałem w Poniedziałek Wielkanocny 1941 roku. Tego samego dnia zaprowadzono mnie i innych poborowych na dworzec towarowy we Lwowie, gdzie czekał na nas pociąg. Wsiadłem do ostatniego wagonu, już szczelnie wypełnionego takimi samymi „szczęściarzami” jak ja. Nagle usłyszałem znajomy głos: „Franu, co ty tutaj robisz?”. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem





PIOTR KORCZYŃSKI

WIZYTÓWKA

PŁK FRANCISZEK TOKARZ

O brońca Lwowa w 1939 roku. Aresztowany przez NKWD w kwietniu 1940 roku, wcielony następnie do batalionów roboczych Armii Czerwonej, w 1943 roku trafił do polskiej 1 Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Ciężko ranny w bitwie pod Stuziankami. Swoją służbę bojową skończył 10 maja 1945 roku w czeskiej Pradze.

wujka Mikołaja, brata ojca, który podobnie jak on pracował na kolei. Odpowiedział mi, że dostałem „zaszczytu” służby w Armii Czerwonej i zapytałem, czy nie wie, dokąd ten pociąg jedzie. Wujek przyniósł mi zawiąniętą z wielkanocną babką i kawałkiem kielbasy, na pożegnanie powiedział, że jedziemy do Winnicy. W pociągu aż kipiało od emocji – wielu płakało i rozpaczało nad swoim losem. Ja przynajmniej wiedziałem, dokąd jedziemy, więc siedziałem spokojnie. W pewnym momencie podszedł do mnie chłopak i zapytał: „Czemu tak siedzisz i nic nie mówisz?”. „Tutaj trzeba słuchać, a nie mówić”, rzuciłem, bo w każdym z wagonów już było enkawudowskie „ucho”. Stefan, bo tak miał na imię ten chłopak, szybko załapał, o co mi chodzi. Tak rozpoczęła się nasza przyjaźń, która trwała przez całą wojnę.

Faktycznie dojechaliście tam, gdzie mówił wujek?

Tak, a na miejscu zakwaterowano nas w starej stajni kołchozowej i podzielono na plutony. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to chmary brudnych i obdartych dzieci, które biegały między nami i żebrały: „Pan, daj chleba”. Jednemu chłopczykowi odkroilem kawałek świątecznej babki. Chwytał ją i od razu gdzieś pobiegł. Po chwili wrócił z kobietą i wskazał na mnie. To była jego matka. Podeszła do mnie i czystą polszczyzną powiedziała: „Dziękuję panu za ten

Żołnierze polscy w Iraku.
Pierwszy z prawej stoi Jan Tokarz – ojciec Franciszka.



ARCH. FRANCISZKA TOKARZA (2)

Kurs pancerny w szkole oficerskiej,
Modlin 1945 rok



dar”. Zmieszany zapytałem: „To tu są Polacy?”. Okazało się, że tak, ale wówczas już było ich niewielu.

Jak wyglądała służba w batalionach roboczych Armii Czerwonej?

Niby nazywali nas żołnierzami, ale tak naprawdę byliśmy więźniami zaprowadzanymi do pracy i z niej odprowadzonymi przez uzbrojonych enkawudzystów. Z Winnicy wywieziono nas aż do Besarabii, którą Stalin wtedy odebrał Rumunom. Nie obyło się przy tym bez walki. Wtedy przekonałem się o wartości naszych myśliwsko-bombowych samolotów Łoś, których przed wojną sporo sprzedaliśmy tamtejszemu lotnictwu. Gdy pracowaliśmy przy utwardzaniu sowieckich lotnisk, kilka razy obserwowaliśmy powietrzne walki i naloty, w których Rumuni używali właśnie łosów. Sowieckie maszyny nie miały z nimi żadnych szans – spadały jak muchy! Nie muszę chyba mówić, jak my, Polacy byliśmy z tego dumni. Szkoda tylko, że tych świetnych samolotów zabrakło we wrześniu 1939 roku w naszym lotnictwie...

A co się działo po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej?

Pracowaliśmy wtedy na Ukrainie, również przy budowie lotniska. Kiedy nastąpiło niemieckie uderzenie, zaczęła się ewakuacja. W czasie jednego z nalotów na drodze do Dniepro-

pietrowska zostałem ciężko ranny odłamkami bomby. Trzy z nich felczer wyciągnął mi z brzucha obciążkami, zabandażował mnie i kazał maszerować dalej. Te rany zagoiły mi się dopiero na Kaukazie. Dotarliśmy do miasta położonego jakieś 100–150 km przed Stalingradem. Tam niespodziewanie awansowałem z robotnika fizycznego na mechanika. Pewnego dnia przysiadłem na skarpie, z której rozciągał się widok na step, gdzie stało pełno samochodów. W pobliżu zatrzymał się jakiś podoficer i mówił sam do siebie: „Tyle maszyn z drobnymi usterkami, a nie ma kto ich naprawiać”. Ja się odezwałem: „Jak to nie ma! Są ludzie, tylko trzeba ich poszukać”. Był wyraźnie zaskoczony, ale odszedł bez słowa. Po chwili wrócił z oficerem. Kapitan podszedł do mnie i zapytał, czy znam się na samochodach. Potwierdziłem, co nie było zupełną konfabulacją, bo miałem za sobą gimnazjum mechaniczne. Wtedy dodał: „A w waszym oddziale są zsoferzy?”. Również potwierdziłem, wskazałem mu Stefana i jeszcze trzech kolegów. Wszyscy pożegnaliśmy się bez żalu ze szpadlem i kilofem.

Czy wtedy dowiedział się pan o umowie Sikorski-Majski i formowaniu armii gen. Andersa?

Ta wiadomość do nas, Polaków wcielonych do Armii Czerwonej, nie dotarła. O formowaniu polskiego wojska dowiedziałem się dopiero w 1943 roku i, jak się okazało, najpierw była to dywizja, a następnie korpus dowodzony przez gen. Berlinga. Ale nawet tam nie tak łatwo było nam się dostać. Pracowałem w fabryce zbrojeniowej w Republice Maryjskiej i kierownictwo nie chciało mnie zwolnić do wojska. By uzyskać bilet i powołanie, przekupiłem oficera wojenkomatu butelką moskiewskiej i uciekłem pociągiem do Moskwy. Stąd już szybko trafiłem do Sielc nad Oką – do polskiego obozu wojskowego. Jak przyszli „kupcy”, czyli oficerowie rekrutujący ludzi do różnych oddziałów, to mnie chcieli wcielić do artylerii. Sowiecki lejtnant w polskim mundurze namawiał mnie, bym został żołnierzem korygującym ogień dział, ale ja wiedziałem, że taka osoba znajduje się 200–300 m przed armatami, więc jest narażona na ogień nieprzyjaciela i własny. Odpowiedziałem mu, że nie znam się na matematyce i podszedłem do ciężarówki otoczonej gromadką chłopaków. Okazało się, że tam rekrutowali do pancerniaków. Usłyszałem chorążego, który narzekał, że nie ma dobrych kandydatów ani specjalistów. Wtedy zapytałem: „A ja nie mogę pójść?”. „A kim ty jesteś?”, zapytał. „A kim mogę być, panie chorąży? Jestem Polakiem”. „A służyłeś w Wojsku Polskim?”. „Ano służyłem, w obronie Lwowa”. Jak to usłyszał, twarz mu się rozjaśniła i krzyknął: „To choć, bracie!”. W ten sposób zostałem żołnierzem 1 Brygady Pancерnej.

Jak wyglądała ta służba?

Któregoś dnia kobieta oficer polityczny zaczęła mnie wypytywać, skąd jestem. Kiedy odpowiedziałem, że ze Lwowa, ucieszyła się: „I ja ze Lwowa jestem”. To mnie ośmieliło i spytałem ją o możliwość awansu. W odpowiedzi zapisała mnie na kurs dowódców czołgów. Wcześniej jednak przeprowadzono ze mną rozmowę. W swej naiwności wierzyłem, że w Wojsku Polskim jestem już bezpieczny. Opowiedziałem o swoich prze-

życiach ze Lwowa, o aresztowaniu ojca i o tym, że jest u Andersa. Na tym kursie był jeszcze jeden taki naiwniak – Józek Konstan, który się przyznał, że jego ojciec przed wojną był policjantem i w 1939 roku został rozstrzelany przez Sowie-
tów. Następnego dnia odczytano rozkaz, że Tokarz i Konstan odchodzą do pododdziału mechaników-kierowców. Jak się później okazało, oficer prowadzący kurs dowódców czołgów był enkawudzystą. Z perspektywy lat mogę jednak to podsumować: chwała Najwyższemu, że tak się stało! W brygadzie było wielu instruktorów sowieckich – frontowych czołgistów, którzy musieli wyskakiwać z niejednego płonącego czołgu. Prawie wszyscy to byli kierowcy-mechanicy, bo tylko oni mieli szansę wydostać się przez dolny właz z palącego się i wybuchającego T-34. Pozostali najczęściej ginęli na miejscu lub palili się żywcem. Miałem więc otrzymać specjalizację, która wiązała się z największą szansą na przeżycie. Okazało się, że mechanikiem byłem w pododdziale najlepszym, a kierowcą – najgorszym. W końcu wyładowałem w kompanii technicznej, z którą ruszyłem na front.

W bitwie pancерnej pod Studziankami został pan ciężko ranny. To najważniejsze dla pana zdarzenie z frontu?

Najmocniej w pamięci utkwiło mi inne zdarzenie z tego czasu. Któregoś dnia w czasie bitwy dowódca naszego plutonu rozkazał mi jechać po części zamienne. Musiałem więc prze-dostać się pod ogień artylerii nieprzyjacielskiej do promu, a następnie przepłynąć nim rzekę i dotrzeć do składu części. Wieczorem pojechaliśmy z kierowcą naszym studebakerem. Dotarliśmy szczęśliwie, choć spóźniliśmy się na kolację. Kiedy nad ranem mieliśmy wracać, wyszedłem na chwilę z ziemianki i zacząłem obserwować pobliską linię lasu. Nagle zauważyłem, że z drzew wyłaniają się trzy postacie i idą w moją stronę. Kiedy się zbliżyły, zobaczyłem, że to czerwonoarmista prowadzący dwóch niemieckich jeńców. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu wehrmachtowcy uśmiechnęli się i zaczęli krzyczeć po polsku: „My Polacy!”. To byli osiemnastoletni chłopcy, może jeszcze młodsi. Jeden nazywał się Lipiński, a drugi Zimmerman. Zaprowadziłem ich do naszego samochodu i dałem jeść. Okazało się, że przed wcieleniem do Wehrmachtu rodzice powiedzieli im, że słyszeli o formowaniu się w Rosji polskiego wojska i przykazali, żeby młodzieńcy się do niego dostali. Kiedy więc ci chłopcy dowiedzieli się, że w Studziankach Niemiec-
cy grenadierzy biją się z Polakami, uciekli i zostali złapani przez Sowie-
tów. Ich strażnikowi przykazałem wtedy, żeby coś głupiego mu do głowy nie wpadło i nie pociągnął z pepeszy po chłopakach. Przyrzekł, że doprowadzi ich bezpiecznie do szta-
bu. Mam nadzieję, że dostali się do naszego wojska, choć podobnie jak ja na początku, nie zdawali sobie sprawy, jakie to wojsko jest. Trzeba jednak pamiętać, że ono dużo pomogło polskim zesłańcom i takim jak ja – Polakom wcielonym do Armii Czerwonej. Przynajmniej nasi bliscy, którzy pozostawali wtedy jeszcze w Rosji, przestali umierać z głodu. Każda polska rodzina, która miała kogoś w 1 czy 2 Armii, dostawała dodatkową „pajkę” chleba i za to warto było się bić. O tym też trzeba pamiętać, kiedy chce się oceniać to wojsko. ■

Sledztwo wykazało, że pożar na budowie Dworca Głównego wywołali nieostrożni spawacze. Aresztowano pięciu pracowników Huty „Pokój” z Nowego Bytomia, którym zarzucono łamanie przepisów przeciwpożarowych. Wielu warszawiaków nie chciało jednak uwierzyć, że niemiecki wywiad nie miał nic wspólnego z pożarem. Wojenna psychoza narastała, tym bardziej że nie było dnia, by gazety nie donosiły o niemieckich prowokacjach czy represjach wymierzonych w Polaków zamieszkujących Rzeszę.



W „Polsce Zbrojnej” można było przeczytać m.in. o coraz bardziej niebezpiecznej pracy polskich celników w Wolnym Mieście Gdańsku i zarekwirowaniu przez niemiecką policję Domu Polskiego „Strzecha” w Raciborzu. Na łamach gazety z prześmiewczym komentarzem zacytowano również broszurę, którą Wehrmacht opublikował dla mieszkańców Protektoratu Czech i Moraw. Czesi mogli w niej wyczytać, że opieka, którą zostali otoczeni ze strony armii niemieckiej, pochodzi od Najwyższego, czego dowodzić miało... motto na klamrze pasów niemieckich żołnierzy: „Gott mit uns” – „Bóg jest z nami”.

ŻYWE TORPEDY I AGENCI

Doniesienia o niemieckich prowokacjach sąsiadowały z pełnymi otuchy artykułami o ofiarności społeczeństwa polskiego na rzecz obronności. „Polska Zbrojna” pochwałała na przykład inicjatywę „pomocnic domowych z osiedla Milanówek”, które zebrały pienią-

Przesilenie czerwcowe

Czerwiec 1939 roku był w Warszawie naprawdę gorący. Najpierw emocje wzbudziło otwarcie nowoczesnego toru wyścigów konnych na Służewcu. Później z kolei doszło do wybuchu pożaru na budowie Dworca Głównego. Prasa zawyrokowała, że był on wynikiem niemieckiego sabotażu.

dze na samolot wojskowy. Dzieci z podwarszawskich miejscowości kupiły rower i pełne wyposażenie dla żołnierza szwadronu cyklistów... Takich anonsów było sporo, ale niektórzy szli jeszcze dalej w swym poświęceniu dla ojczyzny. Wydłużała się lista ochotników do batalionu żywych torped, którą prasa rozpoczęła drukować miesiąc wcześniej. Swój

akces do samobójczych oddziałów deklarowały również kobiety. Jedną z ochotniczek zacytowała „Polska Zbrojna”: „Choć jestem niewiastą, oddaję życie po żołniersku”.

Jednocześnie pojawiły się doniesienia o renegatach, którzy byli na usługach Abwehry. „Polska Zbrojna” informowała, że w Poznaniu sąd wojskowy skazał na karę śmierci kpr. Józefa H.

POLSKA ZBROJNA — ŚRODA 7 CZERWCA 1939 ROKU

Wielki pożar dworca Głównego w Warszawie

Bobaterstwo żołnierzy św. Floriana

Wczoraj o godz. 6.20 powstał pożar na dworcu Głównym w hali stalowych nad stropem parteru. Dyżurny personel natychmiast wszystkie oddziały straży pożarnej miejskiej i kolejowej, które zaraz przybyły na miejsce wypadku. Dzięki wyteżonej pracy ratowniczej udało się już po godz. 9 pożar zlokalizować.

Wskutek silnego wiatru i suchej pogody pożar objął w krótkim przeciągu czasu całą halę odjazdową, w której w związku z prowadzonymi robotami znajdowały się rusztowania drewniane. Pod wpływem gorąca zdeformowała się konstrukcja żelazna i runął strop mniej więcej nad 1/3

chcą zabezpieczyć się tory za pomocą specjalnego rusztowania z szyn stalowych nad stropem parteru, a tory 3 i 4 oczyszcza się z gruzu, dążąc do podjęcia normalnej komunikacji na dworcu Głównym w ciągu dnia.

Dzięki temu, że pożar udało się szybko zlokalizować jedynie ucierpiała hala odjazdowa. Już sąsiadujący z nią hall kasowy, pokryty wielkim świetlikiem szklanym, nie uległ najmniejszemu uszkodzeniu. Tak samo sąsiadujące z przeciwległej strony bloki hotelowy i biurowy, które są na ukończeniu, zupełnie nie ucierpiały. Także nie ucierpiały makiety

Dowództwo wiadomości, przechodzących o Dowództwo

Wydzielił so „Rodzi jeszcze w niach leca co i Cier Opiata za w Rabce — Przyj

D

W pos

WYCIANKI PRASOWE POCHODZĄ Z „POLSKI ZBROJNEJ” Z CZERWCA 1939 ROKU.

SIŁA TRADYCJI

Pamięć o dokonaniach i patriotyzmie poprzedników buduje i wzmacnia etos żołnierzy, funkcjonariuszy i pracowników cywilnych Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

KONRAD PADUSZEK

Współczesne państwo nie może obyć się bez służb specjalnych. Przeciwdziałanie zagrożeniom wynikającym z działalności szpiegowskiej i przestępczej, wykonywanie zadań związanych z ochroną informacji niejawnych, ochroną kryptograficzną, kryptoanalizą oraz radiokontrwywiadem są domeną Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW) utworzonej 1 października 2006 roku. SKW ma jednak długi rodowód, dziedziczy bowiem i kultywuje tradycje kontrwywiadu wojskowego II Rzeczypospolitej Polskiej oraz Polskiego Państwa Podziemnego.



W nawiązaniu do tradycji kontrwywiadu II Rzeczypospolitej w 2015 roku na patrona Ośrodka Szkolenia Służby Kontrwywiadu Wojskowego wybrano płk. IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO, szefa Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, polityka i publicystę, bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego.

22 CZERWCA

Pamiętamy o słowach marszałka Józefa Piłsudskiego: „Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości”, tak więc święto SKW jest hołdem dla żołnierzy i pracowników kontrwywiadu II Rzeczypospolitej. Obchodzone 22 czerwca upamiętnia wyodrębnienie kontrwywiadu ze struktur wywiadu Oddziału II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego (NDWP) w 1920 roku, w okresie ciężkich walk z Rosją Sowiecką.

W nawiązaniu do tradycji kontrwywiadu II Rzeczypospolitej w 2015 roku na patrona Ośrodka Szkolenia Służby Kontrwywiadu Wojskowego wybrano płk. Ignacego Matuszewskiego, szefa Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, polityka i publicystę, bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego. W czasie walk o niepodległość i kształt terytorialny II Rzeczypospolitej pełnił służbę w Oddziale II NDWP, a następnie w lipcu 1920 roku, czyli w czasie apogeum wojny z Rosją Sowiecką, stanął na jego czele. Kontrwywiadem i wywiadem kierował do 1923 roku, budując i rozwijając służbę informacyjną II Rzeczypospolitej.

Jednym z największych jej sukcesów było złamanie – uchodzącego za niemożliwy do odczytania – kodu niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Pol-

scy matematycy pracujący w Biurze Szyfrów II – Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski – już w grudniu 1932 roku odczytali niemieckie depesze, a następnie zbudowali własną kopię Enigmy. Tuż przed wybuchem II wojny światowej Polacy przekazali Brytyjczykom i Francuzom swoją wiedzę na ten temat. Dzięki temu alianci zdobywali cenne informacje o działaniach wroga, co znacznie przyczyniło się do ich zwycięstwa.

Dziś Odznakę Honorową Służby Kontrwywiadu Wojskowego im. Mariana Rejewskiego przyznaje się osobom zasłużonym we wzmacnianiu bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

SYMBOLICZNA PIĘŚĆ

Służba Kontrwywiadu Wojskowego buduje swoją tożsamość na tradycji, w którą wpisuje się przekonanie o konieczności walki o wolność i niepodległość Rzeczypospolitej, cechujące zrywy powstańcze w XIX wieku przeciwko zaborcom i w XX wieku przeciwko okupantom niemieckim i sowieckim. Oddając cześć żołnierzom zbrojnej konspiracji Polskiego Państwa Podziemnego, SKW kultywuje tradycje Batalionu „Pięść”, stanowiącego część Zgrupowania „Radosław”. Powstał on tuż przed wybuchem powstania warszawskiego. W jego szeregi włączono żołnierzy Referatu 993/W „Wapiennik”, specjalnego oddziału bojowego będącego w dyspozycji kontrwywiadu Armii Krajowej i zajmującego się wykonywaniem wyroków sądów podziemnych. Żołnierze Batalionu „Pięść” w czasie powstania walczyli na Woli, Starej Wsi, a następnie w Puszczy Kampinoskiej.

Symbolem batalionu była zaciśnięta pięść z wizerunkiem Polski Walczącej. Wyrażała ona wolę walki z wrogami Rzeczypospolitej. Współcześnie wizerunek ten jest odznaką rozpoznawczą, którą noszą na mundurze funkcjonariusze SKW.

SKW sprawuje opiekę nad kwaterą batalionu na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, a kierow-

nictwo co roku w rocznicę powstania składa wieńce przy grobowcu, podobnie jak pod tablicami upamiętniającymi miejsca walk batalionu na terenie Warszawy oraz pod pomnikiem ku czci poległych żołnierzy Grupy „Kampinos”.

Z inicjatywy SKW i środowiska rodzin żołnierzy Batalionu „Pięść” odsłonięto tablicę pamiątkową na terenie Klubu Sportowego „Polonia” Warszawa upamiętniającą żołnierzy batalionu, którzy polegli 22 sierpnia 1944 roku w czasie walk o Dworzec Gdański.

Niezwykłym artefaktem jest sztandar batalionu wykonany 4 sierpnia 1944 roku przez siostry zakonne. Towarzyszył on żołnierzom kompanii „Zemsta” w powstaniu. Mieli go ze sobą w czasie walk na Woli, w boju o Stare Miasto, na etapie wycofywania się kanałami do Żoliborza oraz w Puszczy Kampinoskiej. Dopiero tam przymocowano go do drzewca i zaprezentowano przed frontem kompanii. Przez wiele lat uważano, że sztandar zaginął. Przetrwał jednak do naszych czasów dzięki siostrom zakonnym z ośrodka dla ociemniałych w Laskach. Pierwszy dowódca Zgrupowania „Kampinos” kpt. Józef Krzyczkowski „Szymon” dopiero w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku pokazał go komatantom Batalionu „Pięść”.

Kopia sztandaru, wykonana w Muzeum Powstania Warszawskiego, została uroczystie przekazana Służbie Kontrwywiadu Wojskowego z okazji jej święta. Współczesny sztandar został uroczystie nadany SKW 3 marca 2017 roku w Belwedrze, w czasie obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Matką chrzestną sztandaru Służby Kontrwywiadu Wojskowego została por. Maria Kowalewska „Myszka”, sanitariuszka w czasie powstania warszawskiego, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych.

BUDOWANIE ETOSU

Ważnym dniem w kalendarzu SKW jest 1 marca. Wtedy oddajemy cześć żołnierzom zbrojnej konspiracji antykomunistycznej, którzy nie pogodzili się z sowietyzacją ojczyzny po zakończeniu II wojny światowej – ofiarom terroru, więzionym, maltretowanym i zamordowanym w dawnym areszcie Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego przy ul. Wojciecha Oczki 1, gdzie znajduje się siedziba SKW.

Pamięć o dokonaniach i patriotyzmie poprzedników buduje i wzmacnia etos żołnierzy, funkcjonariuszy i pracowników cywilnych Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Pozwala to lepiej mierzyć się z wyzwaniami współczesnego świata. Żołnierze i funkcjonariusze SKW zabezpieczają kontrwywiadowczo Siły Zbrojne RP, w tym także polskich żołnierzy służących poza granicami kraju, m.in. w ramach polskich kontyngentów wojskowych. Znaczące sukcesy odnotowała zwłaszcza w realizacji ustawowych zadań związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa Polskim Siłom Zadaniowym w Afganistanie, przy czym podkreślenia wymaga bardzo owocna współpraca ze służbami specjalnymi państw NATO. ■

Dr KONRAD PADUSZEK jest adiunktem Akademii Sztuki Wojennej.



**PATROL POR. AGATONA
Z BATALIONU „PIĘŚĆ”
W DRODZE Z WOLI
DO ŚRÓDMIEŚCIA.
PIERWSZE DNI
SIERPNI 1944 ROKU**



ONI ZMIENIALI WOJSKO

*Z Juliuszem S. Tymem o kuźni
wojskowych kadr i tworzeniu polskiej doktryny
wojennej rozmawia Anna Dąbrowska.*

Pierwsza wyższa uczelnia wojskowa w powojennej Polsce – Wojenna Szkoła Sztabu Generalnego – została powołana 15 czerwca 1919 roku, siedem miesięcy po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości. Jakże były jej zadania?

Podczas budowania polskich sił zbrojnych uwidocznił się brak wyższych kadr dowódczych i oficerów sztabowych. Stąd potrzeba powołania uczelni, której zadaniem było kształcenie i doszkalanie oficerów, tak aby po jej ukończeniu mogli pełnić służbę w sztabach wielkich jednostek: dywizji piechoty oraz brygad kawalerii, a także grup operacyjnych, związków operacyjnych – frontów, a od 1 kwietnia 1920 roku armii. Ówczesna kadra wywodziła się z trzech armii zaborczych, a poza tym z Legionów Polskich czy Armii Polskiej we Francji, w których była różna organizacja i obowiązywały odmienne procedury dowodzenia. Duży nacisk kładziono na ujednolicenie

wiedzy i umiejętności wojskowych, dlatego przez pierwsze kilka lat działalności uczelnia kształciła i doszkalala w większości oficerów starszych, aby podczas jednorocznego kursu ukierunkować ich wiedzę na sztukę operacyjną, taktykę i dowodzenie. Potem stopniowo do szkoły, przemianowanej w 1921 roku na Wyższą Szkołę Wojenną, przyjmowano oficerów młodszych. W latach trzydziestych ubiegłego stulecia większość słuchaczy stanowili kapitanowie, rotmistrzowie i porucznicy, wykształceni już w niepodległej Polsce.

Przyjmowano szczególnie uzdolnionych i doświadczonych oficerów zawodowych o ukształtowanym, silnym charakterze...

Cały ówczesny system szkolnictwa wojskowego zakładał selekcję kandydatów, a do WSWoJ była ona największa. Warunki przyjęcia na uczelnię były następujące: co najmniej pięcioletnia służba w linii, zdolność do służby frontowej, bardzo do-

bra opinia służbowa, nieprzekroczony 30. rok życia, matura, nieposzlakowana opinia oraz oczywiście zaliczenie egzaminów.

W pierwszym okresie wykładowcami szkoły byli prawie wyłącznie Francuzi. Dlaczego?

Przed wszystkim brakowało polskiej kadry dydaktycznej i naukowej. Ponadto odradzające się Wojsko Polskie poszukiwało sprawdzonych rozwiązań dotyczących organizacji dowództw i sztabów oraz systemów dowodzenia. Postanowiono skorzystać z rozwiązań stosowanych w armii francuskiej, jednej ze zwycięskich armii I wojny światowej. Na jej doświadczeniach został oparty program nauczania w WSWoj. Przez pierwsze lata trzon kadry profesorskiej szkoły stanowili oficerowie Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce, której zadaniem była pomoc w organizacji, wyszkoleniu i wyposażeniu naszej armii. Wśród nich wyróżniał się płk Louis Faury, długoletni dyrektor nauk WSWoj i wykładowca taktyki ogólnej, który stworzył podwaliny dydaktyczne szkoły. Dopiero po 1928 roku i likwidacji misji Francuzów zastąpili polscy wykładowcy.

Na jakie zagadnienia w nauczaniu kładziono wówczas nacisk?

Na przedmioty wojskowe. W trakcie dwuletnich studiów dyplomowych nauczano podstaw sztuki wojennej, taktyki ogólnej oraz rodzajów wojsk i służb, sztuki operacyjnej oraz dowodzenia, rozkazodawstwa, historii wojen, geografii wojennej i politycznej, topografii i terenoznawstwa, ekonomii politycznej i języków obcych, a także jazdy konnej.

Oficerów starano się wykształcić wszechstronnie i poszerzano ich wiedzę także z przedmiotów humanistycznych...

To prawda, zapraszano na wykłady wybitnych naukowców, w murach szkoły gościli m.in. filozof prof. Tadeusz Kotarbiński, ekonomista prof. Edward Lipiński czy historyk płk dr Marian Kukiel. Główną siłą szkoły było dostarczanie wiedzy i umiejętności, ale też, a mo-

że przede wszystkim, zaszczepianie w słuchaczach idei samorozwoju. Dlatego po ukończeniu WSWoj najwybitniejsi spośród absolwentów nie tylko brali udział w kursach wojskowych, lecz także sami się doksztalali.

Jakie korzyści dawało ukończenie studiów?

Na początku tytuł oficera Sztabu Generalnego, a od 1928 roku – oficera dyplomowanego. Otwierał on drogę do kolejnych, w tym najwyższych stanowisk wojskowych. Ich objęcie zależało jednak od umiejętności poszczególnych oficerów, nie było automatycznie związane z ukończeniem nauki. Absolwenci WSWoj wyróżniali się na tle korpusu oficerskiego wiedzą i szerszymi horyzontami, byli często motorem zmian w wojsku. Ponadto ich atutami były jednolite wyższe wykształcenie oraz fakt, że reprezentowali wspólne kategorie myślowe i poglądy na sztukę wojenną.

Wśród absolwentów szkoły było wielu późniejszych słynnych dowódców.

Absolwentów można podzielić na kilka grup. Jedną z nich są oficerowie, którzy po opuszczeniu murów uczelni zostali wybitnymi dowódcami, m.in. gen. dyw. Stanisław Maczek, dowódca zmotoryzowanej 10 Brygady Kawalerii, a później twórca i dowódca 1 Dywizji Pancernej. Drugą grupę stanowili oficerowie, którzy po kilku latach służby wrócili na uczelnię jako wykładowcy akademicy. Wśród nich warto wymienić gen. bryg. Stanisława Sosabowskiego, wykładowcę operacyjnej służby sztabów, który w 1939 roku

dowodził 21 Pułkiem Piechoty Dzieci Warszawy. Po porażce 8 Dywizji Piechoty w walkach na północnym Mazowszu skupił wokół swojego pułku resztki innych oddziałów dywizji, przedarł się z nimi do stolicy i walczył w jej obronie. Potem przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie zorganizował 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową, której był dowódcą.

W tym gronie znalazł się również płk Aleksander Radwan-Prąglowski, →

WIZYTÓWKA

PŁK DR HAB. JULIUSZ S. TYM

Jest profesorem Akademii Sztuki Wojennej, która dziedziczy tradycję Wyższej Szkoły Wojennej. W latach 2016–2018 dyrektor Instytutu Strategii Wojskowej, a obecnie dyrektor Instytutu Historii Wojskowej. W centrum jego zainteresowań znajdują się historia sztuki wojennej i historia wojen XX wieku. ■



Pierwsza wyższa uczelnia wojskowa w powojennej Polsce – Wojenna Szkoła Sztabu Generalnego – została powołana 15 czerwca 1919 roku.

MICHAŁ NIWICZ

wykładowca taktyki ogólnej, autor jednego z pierwszych zbiorów ćwiczeń taktycznych na szczeblach od pułku do dywizji. W późniejszych latach pułkownik umiejętnie dowodził 17 Pułkiem Ułanów Wielkopolskich, a we wrześniu 1939 roku był szefem sztabu armii „Łódź”.

Ważną postacią był też gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba, długoletni komendant WSWoj.

Generał był świetnym organizatorem, oficerem o bogatym doświadczeniu w pracy naukowej i autorem wielu opracowań i rozpraw o tematyce wojskowej. Miał też dużą praktykę sztabową. Wyróżniał się wyobraźnią taktyczną. Swoje umiejętności potwierdził podczas kampanii 1939 roku, kiedy jako dowódca Armii „Poznań” zaplanował i zorganizował jedyną w czasie tej kampanii zwrot zaczepny w skali operacyjnej, który jest znany jako bitwa nad Bzurą. Warto pamiętać, że wśród absolwentów WSWoj znaleźli się także późniejsi znani działacze i mężowie stanu. Wynikało to z polityki marszałka Józefa Piłsudskiego, który chciał, aby zaufani wojskowi po zdjęciu mundurów kontynuowali pracę w służbie cywilnej. Stąd byłych wojskowych można w międzywojennej Polsce znaleźć na wszystkich szczeblach administracji państwowej – od starostów i wojewodów po dyrektorów departamentów i ministrów. Absolwentem WSWoj był m.in. trzykrotny premier Walery Sławek, późniejszy szef polskiej dyplomacji Józef Beck czy minister skarbu Ignacy Matuszewski.

Uczelnia miała też znaczący wpływ na założenia polskiej doktryny wojennej...

To prawda. Znaczna część założeń taktycznego użycia wojsk wypracowanych w II Rzeczypospolitej wyszła z murów WSWoj, a jej wykładowcy i absolwenci byli też autorami wielu artykułów publikowanych na łamach czasopism wojskowych m.in. „Bellony”, „Przeglądu Piechoty”, „Przeglądu Kawaleryjskiego”, „Przeglądu Artyleryjskiego” i innych, które przyczyniały się do rozwoju polskiej myśli wojskowej.

Czy absolwenci szkoły zdali egzamin w czasie II wojny światowej?

Byłych słuchaczy szkoły, którzy podczas kampanii 1939 roku zajmowali stanowiska sztabowe, cechowała umiejętność improwizacji i zorganizowania pracy sztabów w ciężkich warunkach bojowych, kiedy brakowało map, łączności, a nawet materiałów biurowych. Dlatego Kutrzeba o młodych oficerach dyplomowanych biorących udział w tej kampanii mówił: „Owa młodzież sztabowa zasłużyła sobie w armii polskiej na dobre imię”.

Po wojnie szkoła kontynuowała działalność w Wielkiej Brytanii, początkowo w Londynie, a następnie w Szkocji. Co wyróżniało naukę poza granicami kraju?

To były kursy wojenne, trwające zwykle pół roku, a nie pełne dwuletnie studia. Dlatego ich absolwenci nie otrzymy-



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

DO 1939 ROKU SZKOŁĘ UKOŃCZYŁO PONAD TYSIĄC ABSOLWENTÓW, WŚRÓD NICH WIELU PÓŹNIEJSZYCH SŁYNNYCH DOWÓDCÓW

wali tytułu oficera dyplomowanego. Dopiero po kilku miesiącach służby frontowej dowódcy mogli wystąpić o nadanie absolwentowi tytułu, praw i odznak oficera dyplomowanego, o ile sprawdził się w służbie. Na przykład oficer informacyjny sztabu 1 Dywizji Pancernej, a później szef sztabu 10 Brygady Kawalerii Pancernej, mjr Tadeusz Wysocki otrzymał tytuł, prawa i odznaki oficera dyplomowanego dopiero 2 lutego 1945 roku, po sześciu miesiącach służby na froncie. Wyjątkiem byli cichociemni. Po desancie do Polski, który był traktowany jako skok bojowy, automatycznie awansowali i otrzymywali jednocześnie tytuł oficera dyplomowanego. Przykładem może być mjr Teodor Cetys „Sław”, który ukończył wojenny kurs Wyższej Szkoły Wojennej w Londynie, a potem kurs dla cichociemnych. Zrzucony w kwietniu 1942 roku do Polski został szefem sztabu Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej i był jednym z autorów koncepcji operacji „Ostra Brama”. W sumie do 1946 roku na uczelni przeprowadzono sześć kursów wojennych, które ukończyło 296 absolwentów. Większość z nich pełniła służbę w sztabach polskich oddziałów walczących we Włoszech, Francji i w Niemczech. ■

Manewry wzięte w cudzysłów

**HISTORIA
PEWNEGO ZDJĘCIA**
Plut. Kierkowicz, właściciel
zdjęcia, po wybuchu II wojny
światowej znalazł się
w grupie żołnierzy 22 Pułku
uczestniczącej w obronie
Warszawy.



ARCH. RODZINY NUSBEKÓW

*Fotografia przedstawia żołnierzy
plutonu saperów z 22 Pułku Piechoty,
stacjonującego przed wojną w Siedlcach.*

Zdjęcie, na którym uchwycono najprzyjemniejszą dla żołnierza chwilę, czyli przerwę na posiłek, podpisano krótko: „Na manewrach 1928”. Na szczęście plut. Mikołaj Kierkowicz, do którego należała fotografia, pozostawił znacznie bogatszą relację z nią związaną. Przedstawia ona żołnierzy plutonu pionierów (saperów) z 22 Pułku Piechoty, stacjonującego przed wojną w Siedlcach. Na wspomnianych manewrach doszło do zabawnego zdarzenia. Pionierzy, wykonujący przewidziane w ćwiczeniach zadania, „znisz-

czyli” most nad rzeką, markując to odpowiednią tabliczką z napisem: „Most zerwany”. Sami zaś ukryli się w krzakach, aby zobaczyć, co robi nadciągający oddział „nieprzyjaciela”. Po chwili ujrzeni, jak ci ostatni napędzając desce i spokojnie przeszli przez most. Zdumieni pionierzy wyskoczyli z ukrycia, by interweniować, ale stanęli bezradni, kiedy zobaczyli, co pozostawił im „wróg”. Na desce było napisane wielkimi literami „PŁYNIEMY”. Nie wiadomo, jak sztab nadzorujący manewry odebrał ten przejaw poczu-

cia humoru u dowódcy przeprowadzającego się przez rzekę oddziału, ale żołnierze zapamiętali tę „wycieczkę w pole” jako jedną z bardziej udanych w czasie swej służby.

Sam właściciel zdjęcia, plut. Kierkowicz, w 22 Pułku Piechoty służył w latach 1928–1939 jako podoficer zawodowy. Po wybuchu II wojny światowej, do 28 września 1939 roku, walczył najpierw na Pomorzu, a następnie znalazł się w grupie żołnierzy 22 Pułku, której udało się przedrzeć do Warszawy i wziąć udział w jej obronie. PK

Jednooki generał

Urodził się w Brukseli jako Belg, czuł się Anglikiem, wychował się w Egipcie, walczył w Afryce Południowej i Francji, wreszcie został szefem misji wojskowej w Polsce. Dożył sędziwego wieku, mimo że na wojnach odniósł w sumie kilkadziesiąt ran. Mówiono o nim, że jest niezniszczalny.

ROBERT SENDEK



Portret sir Adriana Carton de Wiarta namalowany przez Williama Orpena w 1919 roku (ze zbiorów National Portrait Gallery w Londynie)

Wyruszyłem do Polski na trzy tygodnie, a zostałem na dwadzieścia lat – a dziś nawet trudno mi powiedzieć, który rok był najbardziej fascynujący”, wspominał w spisywanych u schyłku życia pamiętnikach. Adrian Carton de Wiart przeżył tyle, że wystarczyłoby na kilka życiorysów.

Wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy i z żołnierskim wąsem, wyróżniał się dwiema charakterystycznymi cechami, po których łatwo można go rozpoznać na starych, czarno-białych zdjęciach. Tymi znakami były czarna opaska na oku i pusty rękaw. To ślady wojennych przygód, których doświadczył wiele w ciągu długiego życia. Bolesne doświadczenia Carton de Wiart przyjął ze stoickim spokojem. Spisując pamiętniki i wspominając młodość, potrafił kpić ze swych ułomności. Miał ponoć jako młody żołnierz zwyczaj zakładania się z kolegami o to, czy będzie w stanie przedrzeć na pół talię kart. Zwykle wygrywał te za-

kłady, z czego zrobił sobie niezłe źródło dochodu. Ironicznie skomentował to w pamiętnikach: „najpewniej Wszechmogący krzywo patrzył, jak zdobywam pieniądze trikiem, i pozbawił mnie jednej dłoni”.

BELG Z EGIPITU

Wywodził się z majątnej i dobrze ustosunkowanej belgijskiej rodziny. Ojciec, Léon Carton de Wiart, był w Brukseli wziętym prawnikiem, matka zaś pochodziła z Irlandii. Jego kuzynem był Henry Carton de Wiart, na początku lat dwudziestych XX wieku premier Belgii.

Wychowany w Anglii, gdzie jego ojciec prowadził interesy, mały Adrian szybko zaczął się uważać za Anglika. Jak sam wspominał, nawet po francusku – czyli w języku ojca – nauczył się mówić z wyraźnym angielskim akcentem. Po śmierci żony Léon Carton de Wiart przeprowadził się do Egiptu, który dla młodego Adriana stał się prawdziwym domem. Chłopaka nie ciągnęło jednak

do interesów ani książek, fascynował go mundur. Jako nastolatek uciekł z domu i zgłosił się na ochotnika do wojska. Wziął udział w II wojnie burskiej w Afryce Południowej. Przypadł mu los, jaki był udziałem wielu angielskich oficerów tego czasu: służba w oddziałach kolonialnych imperium, najpierw w Indiach, potem w Afryce Południowej. O pierwszych latach swej służby wojskowej pisał bez ogródek: „Mój stosunek do służby w wojsku był wolny od ambicji robienia kariery. Interesowałem się wyłącznie teraźniejszością. Zależało mi przede wszystkim na utrzymaniu dobrej formy fizycznej, skuteczności, posiadaniu dobrych kuców, dobrych polowań, dobrej zabawie i przyjaciółach”.

W lipcu 1914 roku, a więc tuż przed wybuchem I wojny światowej, trafił do Somali Brytyjskiego, które było podówczas kolonią Zjednoczonego Królestwa. Trwała tam wojna z tzw. Szalonym Mułłą. To właśnie tam podczas jednej z potyczek stracił oko. Rekonwalescencję od-



Carton de Wiart brał udział w bitwach pod Ypres, Sommą, Passchendaele, Cambrai, a wreszcie pod Arras. Miał przy tym piekielne szczęście, gdyż przeżył wszystkie te kampanie.



Na fotografii z 1920 roku w towarzystwie polskiego pilota przy samolocie Bristol F.2B Fighter

GEN. CARTON DE WIART NIE BYŁ POLITYKIEM I NAWET SIĘ ZE SWĄ NIEWIEDZĄ W KWESTIACH POLITYCZNYCH NIE KRYŁ. JEGO ŻYWIŁEM BYŁA ARMIA, DZIAŁANIE, DOBRZE ODNAJDYWAŁ SIĘ W TRUDNYCH SYTUACJACH

ARCH. W. I. W.

był w Europie, a po powrocie do służby został skierowany na front zachodni. Brał udział w bitwach pod Ypres (stracił wówczas lewą rękę), Sommą, Passchendaele, Cambrai, a wreszcie pod Arras. Miał przy tym piekielne szczęście, gdyż przeżył wszystkie te kampanie w czasie, gdy średnia długość życia oficera liniowego wynosiła około dwóch tygodni. Jeden z postrzałów był szczególnie makabryczny: zabłąkana kula przeszła mu na wylot tył głowy, nie naruszając przy tym mózgu. „Pamiętką po tej ranie zostało mi łaskotanie z tyłu głowy, zawsze gdy strzyże mnie fryzjer”, pisał później. Za swe zasługi wojenne otrzymał m.in. Krzyż Wiktorii, najwyższe odznaczenie wojenne imperium brytyjskiego.

Z MISJĄ DO POLSKI

Gen. Carton de Wiart nie był politykiem i nawet się ze swą niewiedzą w kwestiach politycznych nie krył. Jego żywiołem była armia, działanie, dobrze odnajdywał się w sytuacjach trudnych.

Gdy wiosną 1919 roku został mianowany szefem brytyjskiej misji wojskowej w odrodzonej Polsce, przyjął to stanowisko bez wahania, choć o Polsce i Polakach nie miał bladego pojęcia. Po latach spędzonych w naszym kraju uznał jednak, że tak było lepiej: „Muszę przyznać, że wyjeżdżając, miałem spore wątpliwości, czy podołam moim obowiązkom jako szef misji wojskowej w Polsce, ponieważ właściwie nic o niej nie wiedziałem, ani o jej geografii, ani o historii, ani też o polskiej polityce. Szybko jednak uświadomiłem sobie, że właśnie ta ignorancja stanowiła mój największy atut, ponieważ przybywałem jako człowiek wolny od wszelkich uprzedzeń. Problemy starałem się rozwiązywać w kolejności ich pojawiania się, a ponieważ nie znałem polskiej historii, to nie mogłem przypuszczać, że się znowu kiedyś powtórzy”.

Brytyjska Misja Wojskowa w Polsce była ważnym elementem polityki Wielkiej Brytanii w Europie Środkowej. Dba-

ła ona o interesy imperium w niespokojnym regionie, miała jednak również znaczenie praktyczne dla Polski, gdyż na podstawie raportów oficerów misji rząd brytyjski podejmował decyzje dotyczące np. wsparcia dyplomatycznego, wysyłki broni czy prowadzenia wspólnych działań wywiadowczych. Trwała wówczas interwencja aliantów w bolszewickiej Rosji, dlatego działania dyplomatyczne i wywiadowcze na tym terenie miały dla rządu brytyjskiego wartość pierwszorzędą. Jako szef misji Carton de Wiart przekazywał własnemu rządowi informacje dotyczące sytuacji w Polsce, przebiegu konfliktów czy działań Armii Czerwonej. Niemalą część stanowiły w tym materiały wywiadowcze, uzyskane od oficerów sojuszniczego, polskiego wywiadu. Na podstawie rozmów z polskimi politykami Carton de Wiart formułował opinie i szkicował scenariusze wydarzeń. Dysponując tymi materiałami, rząd brytyjski podejmował decyzje o swych działaniach w regionie, zwykle





Misja aliancka we Lwowie, luty 1919. W pierwszym rzędzie od lewej: Stanisław Wańkowicz, Robert Lord, gen. Joseph Barthelemy, gen. Tadeusz Rozwadowski, gen. Adrian Carton de Wiart, mjr Giuseppe Stabile

MISJA CARTONA DE WIARTA W POLSCE PRZYPADŁA NA TRUDNY CZAS. KSZTAŁTOWAŁY SIĘ GRANICE KRAJU, TRWAŁY WOJNY I POTYCZKI NIEMAL ZE WSZYSTKIMI SĄSIADAMI

zresztą wbrew polskim interesom, co Carton de Wiart przyjmował z żalem.

Ze względu na charakter swej pracy generał utrzymywał kontakty z brytyjskimi przedstawicielami wojskowymi w krajach sąsiednich, dbał również o stosunki z władzami polskimi. Ułatwiali mu to zadanie polscy adiutanci, którymi byli Karol Radziwiłł i Paweł Sapieha. Dzięki nim poznał nie tylko najważniejszych polskich polityków, ale także polską arystokrację. Carton de Wiart często kontaktował się z Józefem Piłsudskim, o którym pisał tak: „W ciągu mojego życia spotkałem niejedną znakomitość. Piłsudski niewątpliwie plasuje się między nimi wysoko, a jako polityka umieściłbym go na samym wierzchołku”. Dostrzegał jednak również jego wady – uważał, że Marszałek był człowiekiem zawistnym i nie znosił sprzeciwu.

Misja Carton de Wiarta w Polsce przypadała na trudny czas. Kształtowały się granice wyzwolonego kraju, trwały wojny i potyczki praktycznie ze wszystkimi sąsiadami. Generał skomentował to w następujący sposób: „Nasza misja wojskowa przeżyła wiele interesujących

i pomyślnych chwil. Asystowaliśmy narodzinom nowej Polski, przyglądaliśmy się, jak budzi się do życia witalny, silny i pełen energii naród. Nauczyliśmy się dzielić radości Polaków”.

PAN NA WŁOŚCIACH

Ze względu na charakter swej pracy Carton de Wiart był nieustannie w podróży. Jeździł wzdłuż frontów, kontaktował się z decydentami. Zdarzały mu się przy tym sytuacje mniej przyjemne, np. gdy dwukrotnie – i to bez szwanku – przeżył katastrofę lotniczą. Brał udział w rozmowach nad rozwiązaniem konfliktu polsko-ukraińskiego w Galicji Wschodniej, spotykał się w tej sprawie m.in. z Semenem Petlurą.

W 1924 roku Adrian Carton de Wiart odszedł do cywila. Od księcia Karola Radziwiłła otrzymał posiadłość koło Prostynia, na bagnach prypeckich. Spędzał tam czas na polowaniach, spotkaniach z przyjaciółmi i gospodarzeniu, co bardzo polubił. „Znalazłem życie idealne, oferujące mi wszystko, o czym marzyłem od dzieciństwa”, pisał. Do Wielkiej Brytanii wyjeżdżał tylko na czas zi-

my. Polską był zachwycony i choć zdarzało mu się dziwić niektórym zwyczajom i zachowaniom Polaków, darzył ich ogromnym szacunkiem. Zawsze pisał o nich z sympatią i uznaniem, a jednocześnie bardzo szczerze: „Jestem przyjacielem Polaków i szczerze ich podziwiam, ale muszę przyznać, że uwielbiają oni sytuacje kryzysowe. Dopiero wtedy czują się jak ryby w wodzie”.

Ponieważ Prostyni znajdował się blisko granicy polsko-sowieckiej, podejrzewano, że Carton de Wiart prowadzi działalność szpiegowską. On sam skomentował to zgryźliwie: „Nikt jednak nigdy nie raczył mi wyjaśnić, co miałoby lub też kogo miałbym szpiegować pośrodku moczarów zamieszkiwanych tylko przez ptactwo wodne i dziką zwierzynę”.

Do służby w armii brytyjskiej Adrian Carton de Wiart wrócił latem 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny. Był świadkiem upadku Polski, przez Rumunię dotarł do ojczyzny. Wziął następnie udział w kampanii norweskiej, potem włoskiej. Po wojnie służył w Azji. Zmarł w 1963 roku. ■



KRZYSZTOF KUBIAK

Partyzanci z dachu świata

Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza 7 października 1950 roku wkroczyła do Tybetu. 85 tys. zaprawionych w wojnie domowej weteranów nie miało większych problemów z pokonaniem niecałych 10 tys. żołnierzy sił zbrojnych himalajskiej teokracji, których ciężką broń stanowiło 50 archaicznych dział. W 1951 roku Dalajlamie narzucono siedemnastopunktowe porozumienie dotyczące pokojowego wyzwolenia Tybetu. Stanowiło ono, że Pekin, przejmując odpowiedzialność za obronę kraju, nie będzie ingerował w jego sprawy wewnętrzne. Umowa nie została jednak dotrzymana i to spowodowało, że zaczęły powstawać zaczątki ruchu oporu. W 1956 roku wybuchło powstanie Tybetańczyków zamieszkujących prowincje Amdo i Kham, gdzie władze chińskie usiłowały dokonać radykalnych zmian w rolnictwie. Walkę podjęła organizacja Chushi Gandrug (Cztery Rzeki, Sześć Gór), która przysparzała Chińczykom dokuczliwych problemów. Wspierały ją skrycie Stany Zjednoczone.

W 1957 roku, w ramach prowadzonej przez CIA operacji „ST Circus”, grupa pierwszych sześciu Tybetańczyków została przerzucona drogą lotniczą z Nepalu na Saipan, gdzie poddano ich forsownemu szkoleniu. Po jego zakończeniu i skoku spadochronowym nad Tybetem rozpoczęli oni działalność. Obejmowała ona głównie rozpoznanie oraz werbunek i szkolenia ochotników, których w lecie 1958 roku było już około tysiąca. Ruch oporu zmienił wówczas nazwę na Ochotnicze Siły Obrony Buddyzmu. W lipcu Amerykanie przeprowadzili pierwszy zrzut broni dla tybetańskich partyzantów. Rozpoczęto też treningi kolejnych ochotników w górystym Kolorado. W marcu 1959 roku wystąpienia zbrojne rozszerzyły się na Lhasę.

Administracja okupacyjna odpowiedziała brutalnymi represjami, co skłoniło Dalajlamę do ucieczki do Indii, gdzie w Dharamsali zorganizowany został rząd na uchodźstwie. Amerykanie zintensyfikowali wówczas szkolenie. Przez bazę zwaną Camp Hale przewinęło się łącznie 295 Tybetańczyków. Kolejnymi zrzutami dostarczano już nie tylko karabiny, lecz także moździerze i działa bezodrzutowe. Chińczycy mieli jednak przewagę, a powstańcy nie przyswoili sobie taktyki walki małymi zespołami, pokładając wiarę w swą liczebność. To uczyniło ich wrażliwymi na uderzenia z powietrza. Przywódcy partyzantów nie byli też świadomi, że są tylko drobnym elementem wielkiej globalnej gry, a ich wiara w bezpośrednią wojskową interwencję amerykańską dowodzi prostoduszności i naiwności.

W 1960 roku sytuacja insurgentów stała się bardzo trudna, ale walka trwała nadal. Od sojusznika z dachu świata Amerykanie pozyskali m.in. unikatowe informacje o chińskim poligonie jądrowym Lop Nor. Był to jednak już jeden z ostatnich sukcesów. W 1965 roku administracja amerykańska, naciskana przez Indie oraz część pracowników własnej służby dyplomatycznej, wycofała się z bezpośredniego wsparcia powstańców, czego przejawem było zaprzestanie zrzutów. Usiłowano jeszcze utrzymywać kontakty rozpoznawcze, ale wkrótce potem prezydent Nixon rozpoczął poszukiwanie dróg nawiązania relacji z Chinami. Operacja „ST Circus” została ostatecznie wygaszona w 1971 roku, choć niektóre grupy bojowników przetrwały jakoby do 1974 roku. Pierwsze informacje na temat zaangażowania w Tybecie CIA ujawniła dopiero 17 lat później.

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ LUDZIE



PAMIĘĆ DODAJE SKRZYDEŁ

Tym biegiem oddają hołd kolegom
poległym podczas misji.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

LESZEK SIPIORSKI





Zanim zawodnicy wyruszą w trasę, wszyscy zbierają się pod kamieniem z tablicą upamiętniającą kolegów, którzy zginęli na misji w Afganistanie.



kpr. Grzegorz
Bukowski



sierż. Marcin
Pastusiak



Na linii startu stanęli żołnierze oraz cywile. Wzięli udział w VII Biegu Pamięci Poległych Żołnierzy Żandarmerii Wojskowej im. sierż. Marcina Pastusiaka „Pasty” i kpr. Grzegorza Bukowskiego „Bukosia”. Jak zwykle, kilkusobową reprezentację wystawił każdy z dziesięciu oddziałów Żandarmerii Wojskowej. „To wielkie wyróżnienie dla naszych synów”, przyznają matki poległych żołnierzy Barbara Pastusiak i Bożena Bukowska. „Co roku czekamy na ten bieg. Nie zapisujemy daty w kalendarzu, bo mamy ją w głowach”, dodaje Maja Bukowska, siostra „Bukosia”.

NASZE RODZINY

Ci żołnierze służyli w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej (OSŻW) w Mińsku Mazowieckim. Obaj nie wrócili z misji w Afganistanie. Kpr. Grzegorz Bukowski zginął w 2010 roku, ranny odłamkami eksplodującego pocisku rakietowego, gdy talibscy rebelianci ostrzelali bazę Warrior. Był kierownicą Operacyjnego Zespołu Do-

radczo-Szkoleniowego ds. Policji. Sierż. Marcin Pastusiak też służył w tym zespole jako młodszy operator. Zginął w 2011 roku, gdy w czasie patrolu pod kołami rosomaka, którym jechał, eksplodowała mina pułapka.

Żołnierze Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim pamiętają o kolegach, którzy polegali w trakcie wykonywania zadań poza granicami kraju (do tej pory na misję wyjechało ponad 1,7 tys. żandarmów, m.in. do Bośni i Hercegowiny, Afganistanu, Kosowa, Libanu, Syrii, Iraku, Gruzji i Republiki Środkowoafrykańskiej). Ulice na terenie jednostki zostały nazwane na ich cześć. O ich ofierze przypomina także kamień z pamiątkową tablicą. Ppłk Sławomir Chmiel, szef szkolenia OSŻW, dobrze znał poległych żandarmów. Był w komisji kwalifikującej żołnierzy do wyjazdu do Afganistanu, przed którą stawiał się Marcin. I dowodził batalionem, w którego skład wchodziła kompania Grzegorza. Ich rodziny poznał dopiero po śmierci żołnierzy, gdy zajmował się organizacją pogrzebów. Od tego momentu minęło kilka lat, w tym czasie mińscy żandarmi nawiązali z Barbarą Pastusiak i Bożeną Bukowską bliskie kontakty. „To są nasze rodziny”,



Barbara Pastusiak dziesięciokilometrową trasę, ze względu na chore kolano, pokonuje na rowerze.

LESZEK SIPORSKI (4)

„TEN BIEG DZIAŁA JAK NARKOTYK”, MÓWI BARBARA PASTUSIAK. CO ROKU POD KONIEC KWIETNIA WKŁADA POŁOWY MUNDUR MARCINA

mówi o nich Renata Dryl, psycholog w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej.

CIEŻKIE BUTY

Bieg pamięci poległych żołnierzy Żandarmerii Wojskowej odbywa się w Mińsku Mazowieckim co roku pod koniec kwietnia. Barbara Pastusiak wkłada wtedy połowy mundur Marcina. Przyleciał z Afganistanu razem z trumną. Z plecaka wyjmuje także koszulkę syna. Nigdy jej nie wyprała, ale minęło już osiem lat i, jak mówi, t-shirt „nie pachnie już Marcinem”. Wkłada wojskowe buty, przypina numer startowy „2”. Na szyi zawiązuje arafatkę. Też należała do Marcina, były na niej ślady jego krwi. Tak przygotowuje się do biegu. Dziesięciokilometrową trasę pokonuje na rowerze, bo chore kolano nie pozwala na duży wysiłek fizyczny.

Maja Bukowska, siostra Grzegorza, też zamierzała wystartować w tegorocznym biegu. Przez ostatnie miesiące przygotowywała się do tego – wzmacniała mięśnie na siłowni i re-

gularnie biegała. Jej najdłuższy dystans to sześć kilometrów. Nie odważyła się jednak stanąć na starcie tego wyścigu. „Może uda się w przyszłym roku”, deklaruje.

W tym roku nie zdecydował się wystartować też ppłk Arkadiusz Wojtacek, zastępca komendanta, szef sztabu. Żartuje, że uczestniczy tylko w biegach parzystych: w drugim, czwartym i szóstym. Zawsze w mundurze, a to o wiele trudniejsze niż start w stroju sportowym. Biegnie się trudniej, bo z każdym pokonanym kilometrem buty robią się coraz cięższe. W połowie dystansu pojawia się kryzys, ale trzeba zacisnąć zęby i nie poddawać się. Po szóstym kilometrze jest już łatwiej – coraz bliżej do mety.

W pierwszych edycjach biegu uczestniczył Konrad Suchecki. Był na tym samym patrolu, na którym zginął „Pasta”, tyle że jechał w kolejnym rosomaku. Wspomina, że „biegło się lekko, bo nikomu nie zależało na wyniku, tylko na tym, aby dotrzeć do mety i uczcić pamięć chłopaków”. Potem do uczestnictwa zostali dopuszczeni cywile, którzy mogli biec



WSPÓLNYMI SIŁAMI

w strojach sportowych. Od czwartej edycji bieg organizowany jest także w Kosowie, gdzie na każdej zmianie służą żandarmi z OSŻW z Mińska Mazowieckiego. Oni zawsze biegają w mundurach.

SZCZEGÓLNA MOTYWACJA

Zanim zawodnicy wyruszyli na trasę, wszyscy zebrali się pod kamieniem z tablicą, na której widnieje napis „Ku czci żołnierzy oddziału, którzy zginęli na misji w Afganistanie”, aby uczcić minutą ciszy pamięć poległych żandarmów i zapalić znicze. Wystartowali o godzinie 11.00: żołnierze ŻW, zaprzyjaźnionych jednostek wojskowych i służb mundurowych oraz cywile. Gdy Grażyna Bukowska, numer startowy „1”, wystrzeliła ze startowego pistoletu, 174 zawodników ruszyło na trasę. Musieli pokonać 10 km ulicami Mińska Mazowieckiego. „Gdyby spojrzeć na nią z lotu ptaka, można by się dopatrzyć kształtu karabinka”, mówi sierż. Mariusz Murawski, organizator biegu i prezes Klubu Sportowego „Zielono-Czarni”.

„Dla mnie to wyjątkowy bieg ze względu na szczególną motywację. Z Grzegorzem byłem na misji w Bośni i Hercegowinie. Dałem z siebie wszystko i w kategorii open zająłem szóste miejsce”, opowiada sierż. Murawski, który trenuje regularnie i tygodniowo przebiega ponad 70 km. Na mecie wszyscy uczestnicy dostali pamiątkowe medale, a zwycięzcy poszczególnych kategorii (było ich 12) – puchary i nagrody rzeczowe ufundowane przez sponsorów. Najstarszy zawodnik miał 64 lata, najmłodszy – 18. Biegło 77 cywilów (57 mężczyzn i 20 kobiet) oraz 96 przedstawicieli służb mundurowych (81 mężczyzn i 15 kobiet), w tym 64 żandarmów. Najlepszy zawodnik Maciej Badurek wpadł na metę zaledwie po 33 minutach i 33 sekundach. Najlepszy zawodnik w mundurze pokonał tę trasę w ciągu 41 minut.

Tegoroczna edycja zawodów miała swojego gościa honorowego. Była nim plut. Sylwia Bogacka, wicemistrzyni Letnich Igrzysk Olimpijskich 2012 w Londynie w strzelaniu z karabinu pneumatycznego z odległości 10 m, żołnierz Wojskowego Zespołu Sportowego Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Przyjechała do Mińska, aby kibicować zawodnikom. Rozumie ból matek, które straciły syna. „Żołnierze nie tylko walczą, abyśmy byli bezpieczni, lecz także pomagają nam na co dzień. Jeśli mogę wesprzeć ich rodziny, słowem czy tylko swoją obecnością, po prostu to robię”, mówi.

POŻEGNANIE Z SYNEM

„Może zabrzmi to zbyt patetycznie, ale w kolegach Grzegorza szukam jego części. To dla mnie ważne, że oni pa-

Organizatorem biegu byli Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim im. gen. bryg. Jana Tomasza Gorzechowskiego „Jura” oraz Klub Sportowy „Zielono-Czarni”. Imprezę tę wspierali: Komenda Główna Żandarmerii Wojskowej, Centrum Weterana Działających poza Granicami Państwa, Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Mińsku Mazowieckim. Patronat honorowy objęli burmistrz Mińska Mazowieckiego i starosta miński, a patronem medialnym została „Polska Zbrojna”. ■

miętają. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wraz z córką czerpiemy z tego biegu niesamowitą siłę”, przyznaje Bożena Bukowska. „Ten bieg działa jak narkotyk, jest jak red bull, dodaje skrzydeł”, dodaje Barbara Pastusiak.

Obie kobiety łączą bliskie relacje z kolegami ich poległych synów. Spotykają się nie tylko przy okazji oficjalnych uroczystości, lecz także prywatnie. Barbara Pastusiak za pieniądze z odszkodowania i zadośćuczynienia za śmierć syna zbudowała pod Jelenią Górą domek, który nazwała „Marcinkowo”. Zaprasza tam kolegów Marcina i innych weteranów. „To moi chłopcy”, mówi o żołnierzach z kompanii syna. Jedni byli z nim

na misji, inni służyli w koszarach w Mińsku Mazowieckim. Oni zawsze witają ją serdecznie: „Cześć, mamuska!”. Dziś są rozrzućeni po różnych jednostkach, ale zawsze spotykają się z okazji biegu oraz w „Marcinkowie”. Wspominają.

Koledzy „Pasty” odwiedzają Barbarę Pastusiak w „Marcinkowie” co najmniej dwa razy w roku. „Komendanci naszej jednostki zawsze wspierają te kontakty”, mówi Konrad Suchecki, który na ten wyjazd zabiera także żonę i trójkę dzieci. W Afganistanie stacjonował w bazie Qarabagh, więc nie był na pożegnaniu sierż. Pastusiaka w Ghazni, skąd trumna z jego ciałem odleciała do Polski. Gdy na wiosnę 2011 roku skończyła się VIII zmiana, pojechał z kolegami do Łodzi na grób Marcina. Wtedy poznał Barbarę.

„Nasze pobyty w »Marcinkowie« to także czas wspomnień o Marcinie: że lubił chodzić po górach, lepił najlepsze pierogi, był zapalonym fanem Widzewa Łódź. Są wspomnienia, śmiech, czasem także łzy”, opowiada st. kpr. Jarosław Muzyka. Odwiedził ostatnio Barbarę podczas zimowych ferii. Z „Pastą” był w jednym plutonie, razem wyjechali na jedną zmianę do Afganistanu.

„Na wiosnę pomagamy Barbarze posadzić w ogrodzie nowe rośliny, jesienią – przygotować działkę do zimy i zapas drzewa”, mówi st. kpr. Łukasz Goździk, który z Marcinem służył na jednej kompanii. Opowiada, że już cztery razy starował w biegu, choć spośród ćwiczeń fizycznych woli wyciskanie sztangi. Biegnie jednak, aby uczcić kolegę, bo taka potrzeba wypływa z głębi serca. Biegnie, bo wie, że na mecie czeka Barbara, która udekoruje go pamiątkowym medalem.

Po 15.00 teren jednostki OSŻW w Mińsku opuścili już ostatni zawodnicy. Barbara Pastusiak i Bożena Bukowska chcą jeszcze raz zapalić znicz pod tablicą upamiętniającą ich synów. Przez długą chwilę w milczeniu wszyscy patrzą na migające płomyki. „Nara”, rzuca na pożegnanie Barbara. Nigdy nie żegnała się z synem inaczej. ■

Wkręcenie w grę

Na paraolimpiadzie w Tokio ma szansę zagrać weteran poszkodowany, o ile na igrzyska zakwalifikuje się polska drużyna w piłce siatkowej na siedząco.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Podczas igrzysk Invictus Games w Sydney 2018 polscy weterani poszkodowani po raz pierwszy rozegrali mecze w piłkę siatkową na siedząco. Zajęli czwarte, najgorsze dla zawodników, miejsce. „To był udany debiut”, ocenia Bożydar Abadźijew, który od 2006 roku trenuje kadrę narodową w tej dyscyplinie. W trybie ekspresowym (trzy zgrupowania po dwa tygodnie) musiał przygotować drużynę weteranów poszkodowanych do startu na Invictus Games. Debiut był na tyle udany, że zaproponował grę w kadrze dwóm zawodnikom: plut. Tomaszowi Roźniatowskiemu i st. szer. rez. Janowi Koczkarowi. Jak mówi, obaj wykazali się odpowiednimi umiejętnościami, spełniają także kryteria klasyfikacji międzynarodowej pod względem niepełnosprawności.

W styczniu 2019 roku trener Abadźijew rozpoczął przygotowania narodowej drużyny w siatkówce na siedząco do mistrzostw Europy, które w lipcu zostaną rozegrane na Węgrzech. Odbędzie się już kilka zgrupowań, podczas których zaprezentowali się nowi zawodnicy, w tym Jan Koczkar i Tomasz Roźniatowski. „Chcę odświeżyć kadrę narodową, bo kilku graczy odchodzi ze względu na wiek. Potrzeba nam świeżej krwi”, mówi trener Abadźijew.

JESZCZE NIE CZAS

„Gdyby nie Invictus Games, nie wiedziałbym, że istnieje taka dyscyplina, jak siatkówka na siedząco”, przyznaje Jan Koczkar, który na I zmianie IFOR w Bośni i Hercegowinie w wyniku wybuchu miny przeciwpiechotnej stracił nogę. W Sydney nieźle sobie radził na boisku. Po powrocie do kraju wziął udział w dwóch kilkudniowych zgrupowaniach kadry narodowej w piłce siatkowej na siedząco. Uważa, że sporo się nauczył, ale uznał, że to jeszcze nie czas na uczestnictwo w tej



Plut. Tomasz Roźniatowski: „Udział w kadrze narodowej jest dla mnie spełnieniem marzeń. Dostałem szansę i zamierzam ją wykorzystać”.

reprezentacji, że musi nabrać doświadczenia. „Gra w piłkę siatkową na siedząco sprawia mi radość, to dyscyplina ogólnorozwojowa, a dla mnie świetna rehabilitacja”, mówi. Dlatego na co dzień trenuje w drużynie Parawolej Katowice, w której obok osób po amputacjach są zdrowi zawodnicy.

Po zakończeniu igrzysk Invictus Games plut. Tomasz Roźniatowski, który podczas IX zmiany PKW Afganistan stracił rękę, zapowiadał, że chce dalej trenować. „Udział w kadrze narodowej jest dla mnie spełnieniem marzeń, zawsze chciałem grać w reprezentacji Polski. Dostałem szansę i zamierzam ją wykorzystać”, mówi. Jak podkreśla, ma duże doświadczenie w siatkówce, bo grał w drużynie z pełnosprawnymi zawodnikami podczas mistrzostw Garnizonu Warszawa oraz mistrzostw Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Na co dzień trenuje w drużynie, która powstała w jednym z dzielnicowych ośrodków sportu w Warszawie.

TRUDNE ZADANIE

Tomasz Roźniatowski ma szansę zagrać na igrzyskach paraolimpijskich w Tokio w 2020 roku, jeśli do tych rozgrywek zakwalifikuje się polska drużyna. Trener Abadźijew ocenia, że to trudne zadanie, bo konkurencja jest duża. W Tokio wystartuje tylko osiem zespołów: gospodarze oraz drużyny, które zajęły trzy pierwsze miejsca na mistrzostwach świata. O pozostałe cztery miejsca toczy się walka – na igrzyska paraolimpijskie pojadą najlepsze zespoły z czterech stref, na które został podzielony cały świat. Na ostatnich kilku mistrzostwach Europy polska drużyna trzykrotnie była na szóstym miejscu. „Na pewno będziemy walczyć, aby znaleźć się w gronie ośmiu najlepszych europejskich drużyn, bo taka kwalifikacja zapewnia zawodnikom stypendia”, podsumowuje trener Abadźijew. ■





Zabijanie ma swą cenę, zwłaszcza jeśli nie wiąże się z otwartą walką, jaką prowadzą regularne wojska na froncie, lecz skrytobójczą egzekucją, nierzadko na kobietach czy młodocianych...

MATERIAŁY PRASOWE

BEZ PATOSU

PIOTR KORCZYŃSKI

Wojna partyzancka nie miała nic z romantyzmu, co czyniło ją jeszcze bardziej dramatyczną.

Niewiele powstaje filmów pokazujących rzeczywistość, z jaką zmagali się żołnierze polskiego podziemia niepodległościowego. Nic wspólnego nie mają z nią obrazy, w których aktorzy noszą wyprasowane w kant mundury przedwojennego Wojska Polskiego i są uzbrojeni po zęby w niemieckie, brytyjskie czy rosyjskie pistolety maszynowe. Koszą z nich całe oddziały esesmanów czy enkawudzystów kojarzących się bardziej z zombie niż prawdziwymi ludźmi.

DYLEMATY EGZEKUTORA

Wobec tych komiksowych rekonstrukcji filmy Wajdy, Munka czy Kutza z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku mają wręcz znamiona dokumentów. W popiele produkcyjniaków jest jednak kilka diamentów, wśród których wyróżnia się „Obława” z 2012 roku Marcina Krzyształowicza. Reżyser zadedykował ten film swemu ojcu i jego towarzyszom broni z oddziału AK, który walczył na Sądecczyźnie. I trzeba przyznać, że już od pierwszych kadrów „Obławy” widać, że Krzyształowicz wiedział, o czym robi film.

„Obławę” otwiera rozmowa dwóch mężczyzn, którzy idą przez las. Obaj pochodzą z Bytomia i dyskutują o meczu piłkarskim, na którym byli przed wojną:

– ...Z Borusjom Tylek szczelół. I niy ze pietnostu, ino ze dwudziestu.

– Ch... widziałeś. Z Borusją strzelił Schwiniak.

Przez dłuższą chwilę widać tylko plecy jednego z mężczyzn, więc może się wydawać, że to pogawędka dwóch kibiców, ale nagle ten, który mówi wyraźną śląską gwarą, zmienia temat:

– Niyporadzą dali iść.

– Masz rację, wystarczy.

Zgadza się z nim ten, którego plecy w starym podartym swetrze zasłaniały kadr. W tym momencie można już zobaczyć obu rozmówców. Pierwszy stoi na bosaka i ma na sobie mundur z emblematami SS. Drugi, w zniszczonym i brudnym ubraniu mierzy do niego z pistoletu. Wszystko jasne, to Ślązacy, ale po przeciwnych stronach barykady. Egzekutor z AK kpr. „Wydra” każe esesmanowi się odwrócić i iść dalej. Ten już wie, że to kres i przyznaje:

- Boją się.
- Idź, kur... – ponagla go «Wydra».
- Ja nawet nie jestem z Bytomia...
- Ale z SS!

W tym momencie „Wydra” strzela jeńcowi w tył głowy z wprawą zawodowego zabójcy. Kiedy wraca do leśnego obozu, widać, w jak trudnych warunkach egzystują żołnierze: w prowizorycznych szałasach gnieźdzą się wygłodniały ludzie w brudnych i podartych ubraniach. Dowódca, por. „Mak”, jest ciężko chory. Gdy „Wydra” melduje wykonanie zadania, ten w gorączce zleca mu kolejne. Tym razem ma zabić miejscowego konfidenta – bogatego właściciela młyna Henryka Kolondewicza. Problem w tym, że zdrajca jest przyjacielem „Wydry” ze szkolnej ławy...

„Obława” przywodzi na myśl głośną książkę Stefana Dąbskiego „Egzekutor”. Autor, żołnierz podkarpackiej Armii Krajowej, był jej „cynglem” – zabijał niemieckich i ukraińskich agentów gestapo, a po wojnie współpracowników komunistycznej władzy. Jego książka jest w istocie spowiedzią, w której bez ogródek nazywa swoją służbę w podziemiu jednym słowem: zezwierzęcenie. Szokujące? Oczywiście, ale zarazem jest to szczere postawienie sprawy. Zabijanie ma swą cenę, zwłaszcza jeśli nie wiąże się z otwartą walką, jaką prowadzą regularne wojska na froncie, lecz skrytobójczą egzekucją, nierzadko na kobietach czy młodocianych...

KRAJOBRAZ PO BITWIE

W „Obławie” Krzyształowicz pokazał też, jak istotna w nierównej walce podziemia z okupantem była postawa okolicznej ludności. To na mieszkańcach małych miasteczek i wsi spoczywał ciężar żywienia partyzantów i zaopatrywania ich w najpotrzebniejsze rzeczy codziennego użytku. W leśnych warunkach umycie się w ciepłej wodzie jawiło się jako luksus. Należy też pamiętać, że wieś była obciążona obowiązkowymi kontyngentami żywności dla Niemców, po które regularnie przyjeżdżali żandarmi. Bieda aż piszcziała, więc nierzadko zdarzali się tacy, jak filmowy Kolondewicz, którzy dla dodatkowego dochodu szli z okupantem na współpracę. Wieś była podzielona. Zdarzały się osady przyjazne partyzantom, ale też takie, do których lepiej było nie wchodzić. A kiedy dochodziło do starcia z Niemcami, okolicę mroziło jedno słowo: pacyfikacja.

Pozostając w okolicy, w której rozgrywa się „Obława”, warto opisać następstwa jednej z autentycznych potyczek AK z Niemcami. Mieszkaniec Rzepiennika Suchego o pseudonimie „Piątek” należał do AK i wykonywał wyroki śmierci na miejscowych kolaborantach. Rankiem 26 sierpnia 1944 roku był w Biecu i dowiedział się, że Niemcy z tamtejszego posterunku zaraz mają ruszyć na pobór kontyngentu w miej-

W NIERÓWNEJ WALCE PODZIEMIA Z OKUPANTEM BAR- DZO WAŻNA BYŁA PO- STAWA OKOLICZNEJ LUDNOŚCI. TO NA MIESZKAŃCACH MAŁYCH MIASTECZEK I WSI SPOCZYWAŁ CIĘŻAR ŻYWIENIA PARTYZANTÓW I ZAOPATRYWANIA ICH W NAJPOTRZEBNIEJ- SZE RZECZY

scowościach od Rzepiennika Suchego do Gromnika. Zobaczył zaprzęgnięte w konie dwie bryczki i gotujących się do wyjazdu siedmiu żandarmów. Te niemieckie zaprzęgi tak mu się spodobały, że postanowił je zdobyć dla siebie i towarzyszy. Popedałował szybko na rowerze drogą do Rozembarku (obecnie Rożnowice) i zaalarmował oddział partyzancki. Żołnierze Batalionu AK „Barbara” znaleźli się tam w związku ze szkoleniowym zgromadzeniem oddziałów w ramach akcji „Burza”.

Partyzanci szybko przygotowali zasadzkę przy tej części szosy, która była oddalona od domostw i rozgraniczała trzy wsie – Rozembark, Sitnicę i Rzepiennik Suchy. Na czujce postawili młodego i niedoświadczonego żołnierza. Gdy nadjechali Niemcy, zauważyli wychylającego się z ukrycia człowieka

z karabinem i otworzyli do niego ogień. Zostali wtedy skoszeni z ustawionych w zaroślach karabinów maszynowych. Akowcy schwytali spłoszone konie, pozbierali broń, pościągali z trupów mundury, buty i odjechali zdobycznymi zaprzęgami. Po nich z pobliskich domów przyszli chłopcy i zabrali to, co zostało.

Anna Guzik, jedna z mieszkanki wsi, znalazła nad strumieniem ciężko rannego niemieckiego żołnierza i pobiegła zawiadomić o tym współpracującego z Niemcami Jana Sitka. Ten zaś kazał jej wrócić i przywieźć swoim zaprzęgiem ranne go do siebie. Kobieta nie miała w gospodarstwie konia, więc do wozu zaprzęgała krowę i zanim dojechała do domu Sitka, Niemiec zmarł. W tym czasie inny ocalały żołnierz dotarł przez pola do Ołpin, gdzie o wszystkim opowiedział w miejscowym posterunku. Trzy dni później do Rzepiennika Suchego zjechały motocykle i ciężarówki żandarmerii niemieckiej. Żandarmi podpalili strzechy chałup. Spalili też dom Anny Guzik, a ją samą chcieli aresztować, ale udało się jej uciec. Z całej wsi Niemcy zarekwirowali wszystkie świnie i bydło. A na koniec wywieźli z ciężarówki 19 zakładników z powiązanymi drutem kolczastym rękoma i rozstrzelali na miejscu zasadzki. Byli to więźniowie aresztowani przez gestapo i przetrzymywani w jasielskim więzieniu. Po egzekucji, z narażeniem życia sfotografował ich Władysław Czyżyk. Te zdjęcia posłużyły po wojnie do identyfikacji pomordowanych.

Taka była cena zdarzenia, które do lokalnej historii przeszło jako bitwa na granicy trzech wsi. Dziś w miejscu potyczki stoi pomnik poświęcony pomordowanym przez Niemców zakładnikom z Jasła. W obrazie Krzyształowicza por. „Mak” mówi do sanitariuszki: „Za kilka dni ruszy na nas obława”, i od tego momentu ten wojenny film zmienia się w horror, w którym kpr. „Wydra” stara się ocalić w sobie resztki człowieczeństwa. ■



ANDRZEJ FĄFARA

Czterdziestu poległych

Desant aliantów w Normandii, największa tego rodzaju operacja w historii wojen, która miała miejsce 75 lat temu (6 czerwca 1944 roku), został przesunięty o jeden dzień z powodu marnej pogody. Specjalnie się temu nie dziwię. Moi znajomi z Paryża dwukrotnie wybrali się w czerwcu w okolice Caen i za każdym razem prawie nie wychodzili z hotelu. Opowiadali, że w tym niewątpliwie pięknym regionie nie ma sklepu czy restauracji, przed którymi nie stałby obowiązkowo pojemnik na parasole.

Mimo pogodowych komplikacji desant okazał się wielkim sukcesem alianckich sił. Nie brakowało oczywiście trudnych momentów podczas operacji D-Day, jak ją nazywali Amerykanie. Na pięciokilometrowym odcinku plaży o kryptonimie „Omaha” żołnierze US Army natrafili na bardzo silny opór Niemców, który dopiero po dziesięciu godzinach został przełamany. Koszty zwycięstwa były jednak ogromne: 3 tys. zabitych.

Mocne wrażenie robi las krzyży na amerykańskim cmentarzu w Colleville-sur-Mer. Wszystkie zostały wykonane z białego marmuru. Są identyczne, takie same na grobach szeregowców i generałów. Mogił w Colleville jest prawie 10 tys., gdyż pochowano tam nie tylko tych, którzy zginęli 6 czerwca 1944 roku, lecz także poległych w kolejnych dniach walk o Normandię. Spoczywa tam m.in. gen. Theodore Roosevelt junior, syn prezydenta USA. Był on jedynym generałem, który walczył ramię w ramię ze swoimi podkomendnymi podczas desantu na normandzkich plażach. Zginął jednak nie od kuli, lecz na atak serca miesiąc po D-Day.

Moi znajomi z Paryża, ci od podwójnej wyprawy do Normandii, opowiadali mi, że francuskie media nigdy nie zapominają w czerwcu o kolejnych rocznicach lądowania aliantów na północnych plażach. Wspominali też, że kiedyś w tamtejszej telewizji młoda dziennikarka zapytała z głupia frant, z jakiego niby powodu zaprasza się na uroczystości rocznicowe takie małe kraje jak Polska. Zgromadzeni w studiu weterani zbesztali panią redaktor za niewiedzę i wyjaśnili jej, że udział Polaków, choć niepierwszoplanowy, był jednak dość istotny.

W operacji uczestniczyły polskie okręty (m.in. słynne „Piorun” i „Błyskawica”), a także dywizyjony myśliwskie i bombowe stacjonujące w Wielkiej Brytanii. Spektakularnym sukcesem Polaków było zniszczenie olbrzymich (13 mln litrów) niemieckich zapasów paliwa. Na liście poległych w walkach o Normandię widnieje ponad 40 polskich nazwisk. Wspomniany lapsus francuskiej dziennikarki miał tę dobrą stronę, że kolejne prowadzące już może nie zadadzą podobnego pytania. Stuprocentowej pewności jednak nie mam...

Zyskają najciężej ranni

**Dzięki nowelizacji ustawa o weteranach zapewni
lepszą pomoc poszkodowanym misjonarzom.**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Kompleksową opiekę medyczną dla najciężej poszkodowanych, bezpłatne turnusy rehabilitacyjne oraz wyższe dodatki zapowiedział minister Mariusz Błaszczak, gdy przedstawiał propozycje zwiększenia pomocy dla tej grupy osób. Rząd przygotował nowelizację ustawy o weteranach. Zmiany w przepisach resortu obrony konsultował przez kilka miesięcy ze środowiskiem żołnierzy.

SZERSZE WSPARCIE

Na nowelizacji ustawy najbardziej skorzystają najciężej ranni weterani, z uszczerbkiem na zdrowiu przekraczającym 30%. Dostaną wyższy dodatek, średnio o 30% (np. dla osób z uszczerbkiem na poziomie od 80% dodatek wzrośnie z 80 do 130% najniższej emerytury). Będą oni także uprawnieni do opieki medycznej bez względu na limity finansowania określone przez Narodowy Fundusz Zdrowia (różnica zostanie opłacona z budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej). Będą mogli wraz z najbliższym członkiem rodziny korzystać bezpłatnie z turnusów readaptacyjno-kondycyjnych, podczas których wezmą udział w zajęciach sportowo-rekreacyjnych, warsztatach psychologicznych oraz zabiegach rehabilitacyjnych. To oferta dla rannych misjonarzy, którzy nie wymagają specjalistycznego leczenia w szpitalu.

MON proponuje też rozszerzenie pomocy finansowej na naukę. Każdy weteran poszkodowany ma do wyboru: szkołę ponadpodstawową, studia pierwszego lub drugiego stopnia, magisterskie lub podyplomowe. Po zmianach weterani poszkodowani

z 30-procentowym i wyższym uszczerbkiem na zdrowiu będą mogli otrzymać dofinansowanie na dwie z wymienionych form kształcenia.

Gdy ustawa o weteranach zostanie znowelizowana, żołnierze zawodowi mający status weterana poszkodowanego będą mieli prawo do dodatkowych pięciu dni urlopu wypoczynkowego. Weterani i weterani poszkodowani dostaną prawo do bezpłatnego wejścia do państwowych muzeów oraz obiektów sportowych, którymi zarządzają samorządy terytorialne. Wszyscy weterani poszkodowani zyskają ulgi na przejazdy komunikacją miejską oraz transportem zbiorowym (dotychczas takie prawo mieli tylko pobierający rentę inwalidzką). Zmniejszy się również opłata za pobyt w Domu Weterana. Weteran poszkodowany, pensjonariusz tej placówki, przeznaczy na ten cel maksymalnie połowę swojego miesięcznego dochodu. Projekt nowelizacji ustawy zrównuje uprawnienia żołnierzy i pracowników wojska do bezpłatnego korzystania z turnusów leczniczo-

**NOWE PRZEPISY
ZWIĘKSZĄ GRUPĘ
ŻOŁNIERZY, KTÓ-
RZY BĘDĄ MOGLI
SIĘ STARAĆ O STA-
TUS WETERANA**



-profilaktycznych. Członek rodziny, który będzie im towarzyszył podczas turnusu, otrzyma 50% zniżki.

DODATEK DLA WSZYSTKICH

Nowe przepisy zwiększą także grupę żołnierzy, którzy będą mogli się starać o status weterana. Dotyczy to uczestników międzynarodowych komisji kontroli i nadzoru w Korei, Wietnamie, Kambodży i Laosie oraz osób, które brały udział w akcjach ratowniczych, poszukiwawczych i humanitarnych. Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju szacuje, że o status weterana może się ubiegać około 300 osób, a weterana poszkodowanego – około pięciu. Są to ludzie w podeszłym wieku. Ustawa z 2011 roku pominęła tę grupę misjonarzy.

„Znowelizowana ustawa zapewni nam lepsze warunki rehabilitacji, co przełoży się na poprawę naszego funkcjonowania w codziennym życiu”, mówi st. chor. sztab. w st. spocz. Tomasz Kloc, prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Rannych i Poszko-

dowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Na wniosek stowarzyszenia resort postanowił objąć wsparciem finansowym wszystkich poszkodowanych weteranów, również tych z mniejszym uszczerbkiem na zdrowiu. Dodatek weterana dostaną osoby dotychczas pominięte, z uszczerbkiem nieprzekraczającym 9% – jest ich około 420. Wsparcie dla nich będzie jednak odpowiednio mniejsze.

Przyjęta w 2011 roku ustawa o weteranach (weszła w życie 30 marca 2012 roku) wymagała pilnej nowelizacji. Kilka lat jej obowiązywania pokazało bowiem, że przepisy nie w pełni odpowiadają potrzebom poszkodowanych weteranów. Jesienią 2018 roku zmiany w prawie zaproponował prezydent Andrzej Duda. Uchwalona wówczas przez posłów nowelizacja umożliwiła żołnierzom, a także funkcjonariuszom, którzy łącznie z przerwami odbywali służbę w polskich misjach dłużej niż 60 dni, otrzymanie statusu weterana. Taki status ma teraz około 20 tys. osób, weterana poszkodowanego zaś – blisko 800 żołnierzy i funkcjonariuszy.

MON podkreśla, że celem obecnej nowelizacji jest stworzenie bardziej efektywnego systemu udzielania pomocy i wsparcia żołnierzom rannym na misjach

NIE TYLKO USTAWA

Na konferencji zapowiadającej nowelizację ustawy o weteranach minister obrony Mariusz Błaszczak przedstawił inne działania resortu na rzecz tego środowiska.

Minister zapowiedział m.in. uruchomienie w ramach Wojskowego Instytutu Medycznego specjalnego oddziału dla weteranów poszkodowanych – Centrum Leczenia Weteranów, w którym zostaną oni objęci do końca życia specjalistyczną kompleksową opieką medyczną.

Dla weteranów poszkodowanych, których uszczerbek na zdrowiu wynosi poniżej 30%, zostaną wprowadzone bezpłatne turnusy readaptacyjno-kondycyjne. Będą oni mogli skorzystać z tej formy pomocy raz na trzy lata.

Minister obrony narodowej obiecał, że resort ponownie sfinansuje udział weteranów poszkodowanych w igrzyskach sportowych Invictus Games, które zostaną rozegrane w maju 2020 roku w Hadze. W poprzedniej edycji tych międzynarodowych zawodów, która w 2018 roku odbyła się w Australii, po raz pierwszy wzięła udział polska drużyna.

Do współpracy z weteranami minister Błaszczak powołał w resorcie pełnomocnika, którego zadaniem jest m.in. analiza pozwów o odszkodowania, skierowanych przeciwko resortowi przez najbar-

dziej poszkodowanych weteranów. W tej grupie jest kilkunastu byłych żołnierzy, których uszczerbek na zdrowiu wynosi powyżej 80%.

MON zapowiedziało zorganizowanie dwóch konkursów dla organizacji pozarządowych, które podejmą działania wspierające weteranów. Mają one dotyczyć m.in.:

- pomocy i opieki nad weteranami oraz ich rodzinami,
- uczczenia pamięci i oddania hołdu poległym oraz zmarłym żołnierzom i pracownikom wojska – uczestnikom działań poza granicami państwa,
- integracji i budowania szacunku do weteranów w społeczeństwie,
- profesjonalnego wsparcia środowiska weteranów i ich rodzin poprzez warsztaty terapeutyczno-psychologiczne,
- kształtowania postaw i zdobywania kompetencji pozwalających na skuteczne radzenie sobie z problemami będącymi efektem udziału w misjach poza granicami państwa.

Na realizację tych zadań minister obrony narodowej przeznaczył 1 650 500 zł.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

W TROSCE O WETERANÓW

**MON chce poprawić sytuację żołnierzy
poszkodowanych na misjach.**

Poprawa sytuacji weteranów poszkodowanych na misjach to jeden z priorytetów resortu obrony narodowej. Nie chodzi jednak wyłącznie o zmiany ustawowe – w tym wyższe świadczenia oraz rozszerzenie katalogu pomocy medycznej i świadczeń rehabilitacyjnych dla tej grupy żołnierzy. Powołany przez ministra obrony Mariusza Błaszczaka pełnomocnik ds. współpracy z weteranami ma bowiem zająć się także przeanalizowaniem możliwości ugodowego zakończenia spraw sądowych o odszkodowania wytoczonych przeciwko resortowi obrony przez najbardziej poszkodowanych weteranów. Większość została wszczęta przed 2015 rokiem, więc sądy, choć nie kwestionują poważnego stanu zdrowia weteranów, w sprawach powołują się na argument przedawnienia.

Jak informuje Ministerstwo Obrony Narodowej, obecnie, zgodnie z obowiązującym prawem, Skarb Państwa jest reprezentowany przez Prokuratorię Generalną, a nie MON. Niekorzystne dla weteranów rozstrzygnięcia wynikają przede wszystkim z braku zainteresowania ugodowym rozwiązaniem spraw przez kierownictwo MON-u w czasach rządów PO-PSL.

W praktyce oddalenie powództwa w podobnych sprawach nie wyklucza jednak możliwości zawarcia przez resort obrony narodowej i weteranów ugód, które mogłyby uregulować kwestię wysuwanych przez nich roszczeń. Dlatego minister obrony wydał decyzję o przyjrzeniu się takim sprawom i ewentualnej możliwości zawarcia odpowiednich porozumień z poszkodowanymi żołnierzami. PG

Pełnomocnik ds. współpracy z weteranami ma zająć się przeanalizowaniem możliwości ugodowego zakończenia spraw sądowych o odszkodowania wytoczonych przeciwko resortowi obrony przez najbardziej poszkodowanych weteranów.

Jakie egzaminy na studia wojskowe?

**Kandydaci na studia wojskowe
będą wkrótce zdawać egzaminy
wstępne. Co ich czeka?**

W czterech wojskowych akademiach: lotniczej w Dęblinie, wojsk lądowych we Wrocławiu, technicznej w Warszawie i marynarki wojennej w Gdyni rok akademicki 2019/2020 będzie mogło rozpocząć 1482 kandydatów na oficerów. Akademia Wojsk Lądowych planuje przyjąć na pierwszy rok 365 osób, gdyńska aka-

demia – 120, a Lotnicza Akademia Wojskowa w Dęblinie – 108. Wojskowa Akademia Techniczna z kolei przygotowała 889 miejsc dla podchorążych pierwszego roku. Chętnych jest jednak dużo więcej – do 31 marca na wojskowych uczelniach zarejestrowało się w sumie 5059 osób (AWL – 1769 kandydatów, LAW – 562

osoby, WAT – około 2330, w AMW – 398).

Wszystkich zainteresowanych czekają egzaminy wstępne. Szczegółowe ich zasady określa zarządzenie ministra obrony narodowej. Wiadomo, że wszędzie rekrutacja będzie się odbywać

**W WOJSKOWYCH
AKADEMIACH
ROK AKADEMICKI
2019/2020
BĘDZIE MOGŁO
ROZPOCZĄĆ
1482 KANDYDA-
TÓW NA OFICE-
RÓW**

na podstawie skali punktowej. Największe znaczenie będą miały oceny uzyskane przez ochotnika na świadectwie dojrzałości. W każdej uczelni punktowane też będą oceny z egzaminu maturalnego z języka angielskiego. Jeśli dana osoba nie zdawała go na maturze, będzie musiała podejść do sprawdzianu językowego w wybranej przez siebie uczelni.

Przyszłych żołnierzy czeka też egzamin ze sprawności fizycznej. W każdej z uczelni będzie on wyglądał nieco inaczej. W WAT np. test będzie się składał z trzech konkurencji sprawdzających siłę, szybkość i wytrzymałość. Kandydaci →

będą musieli zaliczyć podciąganie na drążku (kobiety zwis na drążku na ugiętych rękach), bieg na 50 m oraz bieg na dystansie 1000 m (kobiety 800 m). Przyszłych studentów Szkoły Orląt czekają cztery konkurencje: bieg na 100 i 1000 m, pompki (kobiety) i podciąganie na

drążku (mężczyźni) oraz pływanie na dystansie 50 m stylem dowolnym. Umiejętności pływackie będą także sprawdzane w Akademii Marynarki Wojennej. Oprócz tego egzamin obejmie podciąganie na drążku (kobiety pompki), bieg na 1000 m i bieg wahadłowy

10x10. Kandydatów, którzy w gdyńskiej akademii będą się ubiegać o studia na kierunku mechatroniki w specjalności prace podwodne, czeka też dodatkowy test wydolności fizycznej, taki sam dla kobiet i mężczyzn.

W dęblińskiej Lotniczej Akademii Wojskowej jed-

nym z warunków przyjęcia kandydata na żołnierza zawodowego – specjalność pilot – będzie także pozytywne ukończenie szkolenia sprawdzającego predyspozycje do pełnienia służby w powietrzu. Weryfikacja kandydatów zakończy się rozmową kwalifikacyjną. PG ■

Kolejne szkoły w programie MON-u

Piętnaście szkół dołącza do monowskiego programu dla klas wojskowych. Ich uczniowie rozpoczną naukę we wrześniu 2019 roku.

Nabór szkół zainteresowanych udziałem w monowskim programie „Certyfikowane wojskowe klasy mundurowe” ruszył pod koniec stycznia. Prowadzony był przez Biuro do Spraw Proobronnych MON. Ostatecznie do trzeciej edycji programu zostało zakwalifikowanych 15 szkół ponadpodstawowych z całej Polski. Pod uwagę były brane m.in. osiągnięcia w zakresie szkolenia wojskowego uczniów, dotychczasowa współpraca z podmiotami wojskowymi, posiadana przez szkołę baza szkoleniowa, a także kompetencje i doświadczenie nauczycieli przedmiotów wojskowych. Liczyła się także lokalizacja danej placówki. Jednym z założeń programu jest bowiem równomierne rozmieszczenie na terytorium kraju szkół certyfikowanych przez MON. Docelowo na terenie każdej z 86 wojskowych komend uzupełnień ma działać co najmniej jedna szkoła prowadząca jednolite, zgodne z programem MON-u szkolenie wojskowe uczniów. Obecnie placówki objęte programem resortu obrony działają na terenach administrowanych przez 77 WKU, po rozpoczęciu trzeciej edycji programu sieć certyfikowanych szkół rozszerzy się do 82 rejonów.

Uczniowie szkół zakwalifikowanych do tej edycji rozpoczną realizację programu po wakacjach. W pierwszym, dwuletnim etapie czeka ich w sumie 185 godzin zajęć teoretycznych i praktycznych, organizowanych przy wsparciu m.in. jednostek woj-

skowych, w tym również centrów szkolenia. Drugi etap programu – doradztwo zawodowe i możliwość przejścia kwalifikacji wojskowej – obejmie ostatnie półrocze nauki (1 lutego 2021 – 30 czerwca 2021 roku). Po zakończeniu nauki w szkole, podczas wakacji, uczniów czeka trzeci etap (1 lipca 2021 – 31 sierpnia 2021 roku). Wówczas ochotnicy z orzeczoną podczas kwalifikacji zdolnością do czynnej służby wojskowej będą mogli odbyć skróconą służbę przygotowawczą, zakończoną przysięgą wojskową.

Przez cały czas trwania programu szkoły biorące w nim udział będą mogły liczyć na wsparcie wojskowych instruktorów, dostęp do obiektów i sprzętu wojskowego oraz dotacje celowe na zakup sprzętu i wyposażenia dla uczniów. Placówki, które zrealizują cały program, otrzymają status szkoły certyfikowanej przez MON.

Autorski program Ministerstwa Obrony Narodowej „Certyfikowane wojskowe klasy mundurowe” realizowany jest od września 2017 roku. Jego celami są: ujednolicenie szkolenia wojskowego w ramach przedmiotu edukacja wojskowa, kształtowanie postaw proobronnych i patriotycznych młodzieży oraz przygotowanie uczniów ochotników do różnych rodzajów służby wojskowej. W dwóch dotychczasowych edycjach bierze udział ponad 5 tys. uczniów ze 107 szkół. PG ■



Docelowo na terenie każdej z 86 wojskowych komend uzupełnień ma działać co najmniej jedna szkoła prowadząca jednolite, zgodne z programem MON-u szkolenie wojskowe uczniów.

Spokój nieśmiertelnika

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu
i pamięci bliskich”.

Wyrazy głębokiego współczucia, szczerze kondolencje,
słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie

Ojca

dla Pana płk. rez. Edwarda Orzeszki

składają dyrekcja Departamentu Innowacji
i Rozwoju Technologicznego,
koleżanki i koledzy z Biura Cybertechnologii,
Symulacji i C4ISR
Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Panu płk. Arturowi Wilińskiemu

z powodu śmierci

Teścia

składają dyrekcja oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych.

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu
i pamięci bliskich”.

Wyrazy szczerzego współczucia oraz głębokiego żalu

dla Pani Violetty Błaszczuk

i Jej Rodziny

z powodu śmierci

Mamy

w obliczu tej bolesnej straty
składają dyrektor oraz pracownicy
Wojskowego Biura Emerytalnego w Gdańsku.

Panu mjr. Adamowi Bieńkowi

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
16 Tczewskiego Batalionu Saperów w Nisku.

**Panu ppłk. Michałowi Gutkowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych,
żołnierze i pracownicy RON IWspSZ.

Pani Lucynie Mogielnickiej

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Panu ppłk. Michałowi Gutkowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
i najszersze kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają szef, żołnierze i pracownicy
Oddziału Komunikacji Społecznej IWspSZ.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
po śmierci
Mamy
sierż. Adamowi Banaszkowi
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
resortu obrony narodowej 9 Batalionu Dowodzenia
w Białobrzegach.

Panu mjr. Janowi Deręgowskiemu
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów.

Panu Jerzemu Ciekowskiemu
szczerze wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci
Matki
składają koleżanki i koledzy
z wydziału organizacyjnego
Rejonowego Zarządu Infrastruktury w Lublinie.

Panu kpt. Krzysztofowi Zagulskiemu
w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów.

Panu ppłk. Robertowi Przybyłkowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy
Departamentu Kadr MON.



Pamiętamy

mjr Marek Kaletka
2 czerwca 1994 roku
UNIFIL Liban

mł. chor. Jarosław Maćkowiak
2 czerwca 2011 roku
PKW Afganistan

plut. Tomasz Krygiel
8 czerwca 2004 roku
PKW Irak

kpr. Andrzej Zielke
8 czerwca 2004 roku
PKW Irak

st. chor. Jan Kiepusa
10 czerwca 2013 roku
PKW Afganistan

plut. Miłosz Górka
12 czerwca 2010 roku
PKW Afganistan

kpr. Grzegorz Bukowski
15 czerwca 2010 roku
PKW Afganistan

por. Robert Marczewski
21 czerwca 2008 roku
PKW Afganistan

mjr Witold Kowalczyk
23 czerwca 1994 roku
UNPROFOR Jugosławia

ppor. Wiesław Kuciński
23 czerwca 1994 roku
UNPROFOR Jugosławia

plut. Paweł Stypuła
26 czerwca 2010 roku
PKW Afganistan

szer. Jerzy Suchodół
29 czerwca 1979 roku
UNEF II Egipt

Wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Taty

Pani Monice Meli

składają komendant, żołnierze
i pracownicy resortu obrony narodowej
16 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Olesznie.

**Panu ppor. Tomaszowi Mroczkowskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy w tych trudnych chwilach
po śmierci

Córki

składają żołnierze i pracownicy RON
6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych w Śremie.

Z głębokim smutkiem i żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
płk. dypl. w st. spocz. Stanisława Widła,
szefa Oddziału Zabezpieczenia
w latach 2006–2007.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia.
Szef Oddziału Zabezpieczenia,
żołnierze i pracownicy RON

Głębokie wyrazy współczucia z powodu śmierci

Taty

Pani Iwonie Kosce

składają żołnierze i pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

„Śmierć jest spoczynkiem podróznego,
kresem mokołu wielkiego”.

**Panu kmdr. Jarosławowi Skrzyszewskiemu
oraz Jego Najbliższym**

szczerze kondolencje i wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają inspektor Marynarki Wojennej
oraz koledzy i koleżanki z Inspektoratu MW.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 28 kwietnia 2019 roku zmarł w Warszawie
śp.

płk dr inż. Marian Piotr Kazubski
ps. „Nowaczyk”, „Sęp”

urodzony 14 października 1921 roku w Lesznie.
Od grudnia 1939 roku współorganizator struktur
Obwodu Garwolin Związku Walki Zbrojnej.
Od maja 1942 roku służył w 1 Batalionie
Wojskowej Służby Ochrony Powstania
w 1 Rejonie Obwodu Śródmieście
Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej.
W Powstaniu Warszawskim walczył na Czerniakowie
w składzie 2 Batalionu „Tum”
Zgrupowania AK „Kryśka”.
14 września 1944 roku ciężko ranny
podczas ataku na Klub Sportowy „Syrena”.
Wieloletni prezes Związku Inwalidów Wojennych RP
oraz zastępca przewodniczącego Rady do Spraw
Kombatantów i Osób Represjonowanych.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą
Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej,
Medalem Wojska czterokrotnie
oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jego pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Panu Markowi Kowalczykowi

szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, kadra, żołnierze
i pracownicy resortu obrony narodowej
22 Wojskowego Ośrodka Kartograficznego.

Panu st. chor. Robertowi Kuźmickiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

**Pani Krystynie Szachnowskiej-Pierechod
oraz Jej Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Męża

składają szef, kadra i pracownicy
Zarządu Planowania i Programowania Rozwoju
Sił Zbrojnych – P5
Sztabu Generalnego WP.

**Panu płk. Pawłowi Dudzie
oraz Jego Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego WP.

Głębokim smutkiem napełniła nas
wiadomość o śmierci

**Pana płk. Bogdana Niewitowskiego.
Żonę i Najbliższym**

słowa otuchy i wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia
składają szef, żołnierze i pracownicy
Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu gen. dyw. dr. Krzysztofowi Motackiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze Dowództwa
Wielonarodowej Dywizji Północny-Wschód.

Panu gen. dyw. dr. Krzysztofowi Motackiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. Piotrowi Ranci

wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef oraz żołnierze i pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Katowicach.

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność”.

**Panu ppłk. Piotrowi Ranci
oraz Jego Najbliższym**

w tych trudnych chwilach wyrazy głębokiego
współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Chorzowie.

Pani mgr Teresie Ulanowskiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Męża

płk. rez. Zbigniewa Ulanowskiego

składają rektor-komendant, żołnierze zawodowi
i pracownicy
Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie.

**Panu płk. Arturowi Nikonowiczowi
oraz Jego Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego WP.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.

Panu ppłk. Piotrowi Ranci

wyrazy głębokiego żalu i współczucia oraz szczerę
kondolencje z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Katowicach.



GOOD MORNING, DĘBLIN

**Piknik wojskowy z okazji 100. lecia
współpracy polsko-amerykańskiej
5-6 lipca 2019**

**Miejsce: teren 1. Dęblińskiego Batalionu Drogowo Mostowego
(przykoszarowy plac ćwiczeń "Wisła"), ul. Saperów 5 w Dęblinie**

Otwarcie bram koszar 10.00-18.00

w programie:

- punkty promocyjne i pokazy dynamiczne pododdziałów Wojska Polskiego
- dioramy grup rekonstrukcji historycznych
- inscenizacje historyczne
- prezentacje muzeów wojskowych i stowarzyszeń historycznych
- pokazy lotnicze zespołu akrobacyjnego Białe-Czerwone Iskry i grupy Pterodactyl Flight

Więcej na muzeumsp.pl
oraz na [f @goodmorningdeblin](https://www.facebook.com/goodmorningdeblin)

wstęp wolny



ORGANIZATOR



WYDARZENIE OBJĘTE
PATRONATEM HONOROWYM:

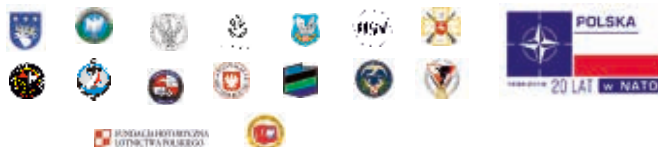


PATRONAT MEDIALNY

**POLSKA
ZŁOTKA**

KAGERO

PARTNERZY





MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24

